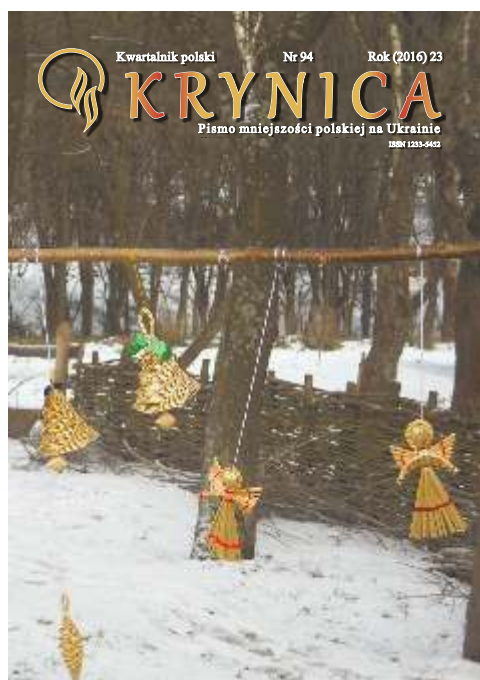




*Między gwiazdką choinką prezentem
Między stołem dzwonkiem kolędą
Kutią kartką pierogiem
Bombką krzątaniem jemiolą
Mniej miejsca niżli
W chatach zamkniętych
Betlejem
W grotach
Obcości i chłódzie
W poniżeniu żłóbka*

*I tylko duszy czekaniem
Wybielone ściany
Pomieścić mogą
Czasu Twego
Przyjście*

Wyobraźmy sobie pięknie opakowane pudełko, przewiązane barwną wstążką, w którym nic nie ma... Wyobraźmy sobie wspaiały dom, umeblowany luksusowymi meblami, błyszczący czystością, ale chłodny i pusty, bo nikt w nim nie mieszka... Podobnie rzecz się ma z obchodzeniem świąt. Najpierw generalne porządki: mycie, szorowanie, trzepanie, czyszczenie. Potem zakupy. Bo to i prezenty trzeba kupić, i smaczne jedzenie, i napoje, i choinkę, i ozdoby na nią itd., itp. A potem krzątania na kuchni. Gotowanie, pieczenie, smażenie... A przecież jeszcze prezenty trzeba zapakować! W ruch idą nożyczki, klej, kolorowe wstążki, karteczki z napisem: „Dla Basi”, „Dla Kasi”, żeby się przypadkiem nie pomieszały. I oczywiście trzeba ubrać choinkę, sprawdzić czy działają światełka, powiesić wszystkie te piękności... A potem czas usiąść do Wigilii, bo to już pierwsza gwiazdka na niebie, a nie wszystko jeszcze gotowe... I znowu biegniemy, znowu śpieszymy się, znowu ręce mamy pełne roboty...

Zwykle tej przedświątecznej krzątanie towarzyszy napięcie nerwowe, pokrzykiwania, wzajemne pretensje. Często dochodzi do kłótni, do spięć. Biegamy, śpieszymy się, narzekamy, że nikt nie chce nam pomóc, że bołą nas nogi. Zaś wieczorem dosłownie padamy ze zmęczenia i zasypiamy kamiennym snem, aby od rana na nowo podjąć trud przedświątecznych przygotowań.

Czy aby będąc tak całkowicie pochłonięci tą krzątaniem nie zapominamy o tym Najważniejszym – o duchowym wymiarze Świąt Bożego Narodzenia? Czy ten duch towarzyszy nam we wszystkim, co robimy w okresie przedświątecznym? Czy żyjemy radością oczekiwania na cud Bożego Wcielenia? Czy tą radością dzielimy się z innymi? Czy rośnie ona w nas wraz z przybliżaniem się owego Dnia? Czy nasza dusza jest również czysta i piękna jak nasze mieszkanie i gotowa na przyjęcie Najważniejszego Gościa?

Nie pozwólmy, by przygotowania do Świąt i samo ich świętowanie przypominało owe pudełko z piękną kokardą, które wewnątrz jest puste, czy też ów dom, który choć piękny – ziele pustką i chłodem.

Niech blask ozdób choinkowych nie przyćmi nam blasku Gwiazdy Betlejmskiej.

Niech słowa składanych sobie wzajemnie życzeń nie przytłumią dźwięku Słowa, które staje się Ciałem.

Niech radość z prezentów nie przesłoni nam tej Radości, której źródłem jest Nowonarodzony.

Wesołych Świąt! Wesołych ową anielską radością, która w każdym wierzącym sercu brzmi hymnem na cześć Boga-Człowieka: *Gloria in excelsis Deo!*

Wszelkiego dobra w Nowym 2017 Roku!

Dorota JAWORSKA

KRYNICA

kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (red. naczelny)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Oleksij Brasławiec

Stali korespondenci:

Teresa Dutkiewicz (Lwów)
Jan Ciechanowicz (Wilno)
Wiktoria Wachowska (Żytomierz)
Michał Micel (Nowy Jork)

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu
Red. tech. Mychajło Rojik
Zdjęcie na 1–4 str. okładki:
Dorota Jaworska
Zdjęcie na 3 str. okładki:
Henryk Prochowski



SENAT
RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ

„Projekt współfinansowany w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą”

Koordinator projektu:
Fundacja Wolność i Demokracja



Kontakt z redakcją:
tel/fax: +380 (44) 570 19 45
e-mail: dorota57@ukr.net
www.kresy24.pl

SPIS TREŚCI:

WYDARZENIA

Korczak w topografii Kijowa (<i>Jan Brusturski</i>)	2
Jubileusz Polaków Borodianki (<i>A. Kosowski</i>)	3
Polskie strofy (<i>Andżelika Plaksina</i>)	4
Pamiętamy (<i>AP, Wiktoria Radik</i>)	5
Rozdanie Nagród „Świadek Historii” (<i>KOS</i>)	6
Niepodległa (<i>Stanisław Panteluk</i>)	7
Pamięć (<i>Dorota Jaworska</i>)	8
Dom na nieludzkiej ziemi Pani Klementyny (<i>Anita Staszkiwicz</i>)	10
Uczniowie z Ukrainy (<i>Zdzisław Mirecki</i>)	13

GOSPODARKA

Warszawskie felietony Mikołaja Oniszcuka	14
W Stowarzyszeniu Eksporterów Polskich	16

WSPÓŁPRACA

Fotografia nie zna granic (<i>Agnieszka Szafirska</i>)	18
--	----

HISTORIA

Polskie dzieje Kijowa (cz. I) (<i>Marian Kałuski</i>)	22
---	----

POSTACI

Witold Kamiński – cuda hydropatii (<i>Dr Jan Ciechanowicz</i>)	34
--	----

LOSY I DROGI

Moje katyńskie Wigilie (<i>Stanisława Dec-Sojowa</i>)	42
---	----

WSPOMNIENIA Z KIJOWA

Urywki z niewydanego pamiętnika (<i>Bolesław Bielawski</i>)	44
Kijów – wspomnienia (<i>Barbara Stępniewska</i>)	49

PROZA

„Ostatni «empajer»” (<i>Piotr Dymitr Wiszniewski</i>)	52
---	----

POEZJA

„Weź do tobołka garść radości...”. Wiersze Zbigniewa Michalskiego	58
---	----

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Nowe publikacje z zakresu historii kultury (<i>DJ</i>)	64
--	----

DLA MŁODZIEŻY

„Mędracy”, „Kulig” (<i>Edward Guziakiewicz</i>)	66
---	----

JANUSZ KORCZAK W TOPOGRAFII KIJOWA

Wychowawca, pedagog, lekarz, pisarz, publicysta, działacz społeczny, współpracownik Polskiego Radia – Janusz Korczak (właściwe nazwisko Henryk Goldszmit) wszedł do światowych encyklopedii przede wszystkim jako prekursor walki o prawa dziecka i ich troskliwy opiekun. Był z nimi do ostatniej chwili życia.

5 sierpnia 1942 r. Janusz Korczak razem z dziećmi z Domu Dziecka został wyprowadzony z warszawskiego getta, zapędzony do wagonu i wywieziony do hitlerowskiego obozu zagłady Treblinka. Wszyscy zginęli w komorach gazowych.

Z inicjatywy Międzynarodowego Stowarzyszenia Przedsiębiorców Polskich na Ukrainie oraz środowisk polskich stolicy Ukrainy, w ramach procesu dekomunizacji jedną z ulic miasta nazwano imieniem Janusza Korczaka. Dlaczego? Ponieważ los tego bohaterskiego polskiego pedagoga wiąże się z miastem nad Dnieprem.

Otóż w 1914 r. Korczak został powołany do wojska, początkowo jako ordynator polowego szpitala dywizyjnego na Ukrainie, następnie zaś został lekarzem pediatrą w przytułku dla dzieci ukraińskich pod Kijowem. Utrzymywał również kontakty z domem wychowawczym dla chłopców polskich w Kijowie, który prowadziła Maryna Rogowska-Falska a z którą później długo współpracował. Tutaj napisał jedną ze swoich najważniejszych książek pt.: „*Dziecko w rodzinie*” – pierwszą część tetralogii „*Jak kochać dziecko*”.

Stary Doktor – jak później, już w Warszawie, siebie nazywał, zwracając się do dzieci w swoich „*Gadaninkach radiowych*” – stał się twórcą oryginalnego systemu

pracy z dziećmi, opartego na partnerstwie, samorządnych procedurach i instytucjach oraz inspirowaniu samowychowania.

I oto 1 października br., w Dniu Nauczyciela, na placu przed kijowską szkołą nr 163 (ul. Korczaka 30) było niezwykle gwarnie. Grzmiała reprezentacyjna dęta orkiestra „Юність” pod batutą Mychajła Nesteruka z Kijowskiego Pałacu Młodzieży. Uczniowie trzymali na uwięzi (później poszybowali pod niebiosa) różnobarwne baloniki ozdobione cytatami Starego Doktora.

Prowadząca uroczystość dyrektor Instytutu Polskiego w Kijowie Ewa Figel zapraszała do mikrofonu licznych przedstawicieli różnych instytucji, w tym dyplomatów z Polski, Izraela i Niemiec. Wzruszające przemówienie wygłosiła przewodnicząca Ukraińskiego Stowarzyszenia J. Korczaka, dyrektorka muzeum pisarza Switłana Petrowska.

Całe przedsięwzięcie pt.: „*Święto ulicy Korczaka*” skierowane było w szczególnie sposób do dzieci, uczniów szkoły oraz mieszkańców dzielnicy, celem przybliżenia im postaci patrona ich ulicy. Stąd też do programu święta weszły: prezentacja dorobku literackiego Korczaka, w tym ukraińskiego tłumaczenia jego powieści „*Król Maciuś Pierwszy*”, czytanie jego utworów, warsztaty twórcze, zawody sportowe, spektakl teatralny „*Skrzydła*” oparty na motywach twórczości Korczaka. Zaprezentowano także film „*Korczak*” Andrzeja Wajdy.

Dla gości święta i mieszkańców ulicy przygotowano wspaniały koncert z udziałem znakomitego chóru dziecięcego „Щедрик”. Polskie piosenki zaśpiewała Zastępna dla Kultury Polski i Ukrainy Wiktoria Radik.

Jan BRUSTURSKI



Podczas inauguracji „Święta ulicy Korczaka”

JUBILEUSZ POLAKÓW BORODIANKI

Wesoło i hucznie świętowano 5. rocznicę założenia Związku Polaków w rejonie borodiańskim obwodu kijowskiego, gdzie z dawien dawna mieszkało i mieszka wielu Polaków.

Prezes Związku Polaków w Borodiance, Arseniusz Milewski, inaugurując uroczystą akademię złożył przybyłym serdeczne gratulacje z okazji jubileuszu a następnie przypomniał historię regionu.

Aż do rozpadu Związku Radzieckiego, Polacy nie mieli żadnych szans na założenie jakichkolwiek zrzeszeń czy organizacji, które mogłyby pielęgnować rodzime tradycje, kulturę, język. Dopiero dzięki odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości zamieszkująca tu wspólnota polska uzyskała realną możliwość odrodzenia swojej tożsamości. Młode państwo ukraińskie stworzyło perspektywę rozwoju wszystkim narodowościom, w tym polskiej.

„Aczkolwiek – jak zaznaczył Pan Prezes, – żeby odrodzić swoją tożsamość narodową nie wystarczy samo tylko zezwolenie. Trzeba działać, rozwiązywać konkretne sprawy, trzeba w tym kierunku pracować. Ważny jest też dobry przykład, zachęta. I oto 5 lat temu Związek Polaków na Ukrainie zainspirował nas do założenia swego ośrodka. Wspólnie z panem Walentym Kowalskim zrealizowaliśmy pomysły swoich rodziców i dziadków – odrodziliśmy tradycje i kulturę naszego narodu na tych terenach, terenach Borodiańszczyzny.

Droga do założenia organizacji nie była prosta, czasami mieliśmy mnóstwo pomysłów, a czasami ręce nam opadały, ale urzeczywistniliśmy nasze zamierzenia. Obecnie mamy swoją szkołę sobotnią, odradzamy swoją pamięć narodową, badamy historię swoich przodków mieszkających na tych terenach.

W historii rejonu borodiańskiego mamy bolesną kartę, przypominającą o tragedii polskiej wsi Raska, zniszczonej przez nazistów w 1943 roku. Cmentarzem, który po niej pozostał, opiekuje się dziś grono patriotów na czele z Walentym Kowalskim.

Niezwykle ważne jest dla nas zachowanie tradycji. Podniosło świętujemy Dzień Języka Ojczystego. W tym roku po raz pierwszy wzięliśmy udział w «Narodowym Czytaniu», pod Patronatem Pary Prezydenckiej RP. Założyliśmy również swój amatorski teatrzyk.

Wszystkie nasze małe sukcesy pobudzają nas do dalszej działalności. Pragniemy, żeby Ukraina i Polska nadal rozwijały swoje braterskie, dobrosąsiedzkie relacje i zawsze jesteśmy gotowi sprzyjać temu swoją codzienną pracą”.

Kończąc swoje wystąpienie Prezes Arseniusz Milewski podziękował Ambasadzie RP na Ukrainie, działaczom ZPU oraz władzom lokalnym.

Mer Borodianki podziękował członkom Związku Polaków Borodianki za aktywny udział w rozwiązywaniu wspólnych problemów regionu i wręczył dyplomy.

Attache konsularny Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Pani Alicja Tomaszczyk pogratulowała Związkowi sukcesów i życzyła Jubilatów dalszego rozwoju. Prezes ZPU Antoni Stefanowicz wysoko ocenił pracę organizacyjną prezesa ZPB i wręczył najbardziej aktywnym członkom organizacji Dyplomy Uznania. A potem zebrani burzliwymi oklaskami nagradzali występy grup twórczych z Borodianki i zaproszonych zespołów artystycznych.

Gratulujemy Jubilatów!

A. KOSOWSKI
Zdj. A. Płaksina



Wesoło i hucznie świętowano 5. rocznicę założenia Związku Polaków w rejonie borodiańskim obwodu kijowskiego

POLSKIE STROFY

Najpiękniejsze wiersze znanych polskich poetów zabrzmiały na jubileuszowym XXV Konkursie Recytatorskim im. Adama Mickiewicza dla Polaków z Zagranicy „Kresy 2016”. W Kijowie konkursu przeprowadzono już po raz szesnasty. Zorganizował go z ramienia Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie stołeczny „Dom Polski”. Tegoroczny konkurs przeprowadzono w Państwowym Muzeum Wybitnych Działaczy Kultury Ukrainiejskiej im. M. Łysenki w dniach 28-30 października br.

W dniu wystąpień konkursowych dyrektor Domu Polskiego w Kijowie Maria Siwko, witając gości i uczestników Konkursu zaznaczyła, jak dla Polaków mieszkających poza granicami Rzeczypospolitej jest rzeczą niezwykle ważną, aby promować kulturę i język ojczysty.

Jury, w skład którego weszły: Wiceprezes FOPnU Teresa-Maria Dutkiewicz, Konsul Alicja Tomaszczyk i przedstawiciel Ambasady RP w Kijowie Iga Kaca, wysłuchało wystąpień 71 recytatorów z trzech grup wiekowych, którzy przybyli z różnych zakątków Ukrainy i „przebrnęli” przez sito eliminacji szkolnych czy regionalnych. Przy ocenie recytatorów Jurorzy brali pod uwagę przede wszystkim dobór repertuaru, wartości artystyczne utworów, możliwości wykonawcze recytatorów, technikę i właściwą wymowę oraz siłę wyrazu artystycznego.

W tym roku bogate w ćwiczenia dwudniowe warsztaty, pomagające wypracowaniu prawidłowej wymowy, prowadzili profesjonalni aktorzy Teatru Lalek z Olsztyna Elżbieta Grad i Adam Hajduczenia.

Jak zawsze bardzo wzruszające były występy dzieci z najmłodszej grupy (do 12 lat). Pierwsze miejsce w tej

grupie Jury przyznało Cyrylowi Sabadaszowi, drugie – Władysławie Miedwiediewej i trzecie miejsce Danie Nikołajenko.

W drugiej kategorii, gdzie uczestniczyły dzieci w wieku od 12 do 16 lat, pierwsze miejsce przyznano Zofii Popławskiej, zaś drugie i trzecie – Agłaji Zubryczewej i odpowiednio Aleksandrowi Pawlukowi.

Szczególną uwagę Jury poświęciło starszej grupie, bowiem jej zwycięscy wezmą udział w XXV Spotkaniach Laureatów „KRESY 2016” w Białymstoku. Uczestników tej grupy powinni byli obowiązkowo wykonać jeden utwór Adama Mickiewicza.

Laureatami III grupy (młodzież i dorośli od lat 16) zostali:

- I miejsce zdobyła Maryna Myroniuk (w jej wykonaniu zabrzmiały wiersze A. Mickiewicza „Świtezianka” i M. Żółckiego „Komfort działa”);
- II miejsce – Żanna Loretta Białoszycka (A. Mickiewicz „Dzwon i dzwonki”, J. Tuwim „Ślusarz”);
- III miejsce – Maria Cyciurska (A. Mickiewicz „Romantyczność”, W. Szyborska „Ballada”).

Wielu uczestników nagrodzono dyplomami za umiejętności artystyczne. Wszyscy miłośnicy słowa polskiego otrzymali pamiątkowe dyplomy i książki.

Młode talenty sprawiły ogromne wrażenie na Jury i słuchaczach. Zachwyliła ich doskonała polszczyzna. Jest to ogromna zasługa pedagogów. Słowa wdzięczności należą się także pracownikom „Domu Polskiego” w Kijowie, na czele z panią Marią Siwko, którzy stwarzają doskonałe warunki dla artystycznego rozwoju dzieci i młodzieży.

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora



Wszyscy miłośnicy polskiego słowa otrzymali pamiątkowe dyplomy i książki

PAMIĘTAMY

W dniu Wszystkich Świętych i Dniu Żałobnym (2 listopada) Polacy odwiedzają cmentarze, aby ozdobić groby swoich bliskich kwiatami i zapalić znicze. Corocznie placówki dyplomatyczne organizują uroczystości na polskich cmentarzach i w miejscach upamiętniających Polaków w Kijowie.

Niniejsze rok nie był wyjątkiem...

AP

Zdj. Paweł Bobołowicz

1 listopada 2016 r. Oddanie hołdu ofiarom totalitaryzmu na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni.



Jak co roku, w przededniu Dnia Wszystkich Świętych przedstawiciele kilku polskich organizacji, zrzeszonych w Związku Polaków Ukrainy, tradycyjnie uczestniczyli w akcji „Sprzątamy polskie groby – 2016”. Niezbędny sprzęt (worki, rękawiczki, narzędzia) oraz znicze zabezpieczyło Międzynarodowe Stowarzyszenia Przedsiębiorców Polskich na Ukrainie. Akcję zaszczylicili swoją obecnością Konsul Generalny RP w Kijowie Tomasz Dederko i Konsul Alicja Tomaszczyk. Ksiądz Sławomir Wartalski zorganizował nagranie przebiegu akcji dla polskiej telewizji i radia.

Mimo ulewnego deszczu udało się uporządkować 45 grobów, w tym Kwaterę Żołnierzy Polskich Armii J. Piłsudskiego, grób Stanisława Szałackiego – pierwszego prezesa ZPU, placyk, gdzie odprawiana jest Liturgia św. oraz przyległe doń ścieżki i aleje Cmentarza Bajkowa w Kijowie.

Wiktor RADIK

Zdj. Paweł Bobołowicz



Uczestnicy akcji spotkali się przy bramie katolickiej części cmentarza

ROZDANIE NAGRÓD „ŚWIADEK HISTORII”

Nagroda „Świadek Historii” ustanowiona została w Polsce przez Instytut Pamięci Narodowej jeszcze osiem lat temu. Już drugi rok z rzędu przyznawana jest również zagranicznym stowarzyszeniom, instytucjom, organizacjom społecznym i osobom szczególnie zasłużonym dla upamiętniania historii Polski.

W tym roku nagrodą, którą wręczono w dniu 10 listopada, uhonorowani zostali przedstawiciele środowisk polskich i polonijnych z Białorusi, Francji, Ukrainy i Wielkiej Brytanii.

We wspaniałej scenerii wewnątrz warszawskich Łazienek Królewskich prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr Jarosław Szarek wręczając tegoroczne nagrody powiedział: *„Ci, których nagradzamy, Świadkowie Historii, byli nie tylko świadkami, ale i utrwalali świadectwa innych, a także uczyli innych o polskich dziejach. Jesteście naszymi emisariuszami i ambasadorami sprawy polskiej. I za to Wam dziękujemy”*.

Jesteśmy dumni z tego, że wśród tegorocznych ośmiu laureatów szczególnie zasłużonych dla promowania polskiej historii znalazły się aż trzy osoby z Ukrainy, a mianowicie:

Nadzieja SLESARIEWA-WIKTOROWSKA – jedna z czołowych działaczek Stowarzyszenia Osób Represjonowanych, wieloletnia działaczka ruchu polskiego na Ukrainie;

Andrzej AMONS – prokurator wojskowy w stanie spoczynku, pułkownik, badacz historii zbrodni katyńskiej, stalinowskich represji, w tym zbrodni sowieckich

na terenie Bykowni. Działacz Kijowskiego Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego im. Adama Mickiewicza;

Jerzy WÓJCICKI – działacz Stowarzyszenia Kresowiaczy w ukraińskiej Winnicy, oddający serce pielęgnowaniu i upamiętnianiu miejsc powiązanych z Polakami, którzy stali się ofiarami Wielkiego Terroru. Redaktor naczelny gazety „Słowo Polskie”.

Gratulując laureatom prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr Jarosław Szarek przypomniał: *„Wiele milionów osób pozostało poza granicami Polski, niektórzy z własnej woli, jak Polonia w USA, inni znaleźli się poza granicami kraju w wyniku trudnej historii – przesunięcia granic, zesań. Polskość na Wschodzie była wystawiona na bardzo dużą próbę, hartowała się w ciężkich warunkach. W czasach komunizmu Polacy ze Wschodu płacili dużą cenę za pozostanie Polakami. [...] W latach 30., w okresie tzw. Operacji Polskiej w ZSRR, której 80. rocznicę będziemy obchodzić w przyszłym roku, przyznawanie się do polskiej tożsamości, do związku z Kościołem katolickim, było bardzo niebezpieczne. Jak oceniają historycy, w 1937 roku od 110 do 200 tys. naszych rodaków zostało zamordowanych na terenie Związku Radzieckiego tylko za to, że byli Polakami. IPN zrobi wszystko, żeby ta zapomniana tragiczna historia znalazła się w podręcznikach, żeby o tym pamiętano.”*.

KOS

Zdj. Internet



Laureaci II edycji Konkursu „Świadek Historii” dla osób spoza Polski (od lewej): Andrzej Amons (z Ukrainy), Irena Godyń i Danuta Stanisława Pniewska (z Wielkiej Brytanii), Małgorzata Młynarczyk (z Francji), Nadzieja Slesariewa-Wiktorowska i Jerzy Wójcicki (z Ukrainy), Jerzy Żurawowicz i Igor Chodas (z Białorusi) podczas uroczystości wręczenia Nagród „Świadek Historii”

NIEPODLEGŁA

11 listopada przypada jedno z najważniejszych świąt dla wszystkich Polaków – Narodowe Święto Niepodległości, obchodzone dla upamiętnienia odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 roku.

Dzień ten ustanowiono Świętem Niepodległości ustawą z 23 kwietnia 1937 r. Podczas okupacji hitlerowskiej w latach 1939–1944 świętowanie było niemożliwe, a po roku 1945 władze komunistyczne brutalnie tłumiły czynione w tym dniu próby organizowania manifestacji patriotycznych.

11 listopada 2016 r. z okazji 98. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie JE Jan Piekło wydał przyjęcie w kijowskim hotelu „Hilton”. Przybyli na nie przedstawiciele najwyższych władz Ukrainy, duchowieństwa, korpusu dyplomatycznego z wielu krajów, deputowani RNU, członkowie organizacji społecznych, w tym reprezentujących środowiska polskie na Ukrainie, jak również przedsiębiorcy i dziennikarze.

Wspaniałym i wzruszającym akcentem inauguracyjnym stało się odśpiewanie hymnów państwowych Polski i Ukrainy przez młodzieżowy chór uniwersytecki „Switycz” z Nieżyna, który jest laureatem wielu międzynarodowych festiwali (kier. artystyczni: Ludmiła Szumska i Ludmiła Kostenko, Zasłużone dla Kultury Ukrainy).

Witając uczestników przyjęcia Pan Ambasador wprowadził zebranych w atmosferę wydarzeń poprze-

dających datę 11 listopada 1918 roku. W skrócie przedstawił drogę, jaką przebył naród polski walcząc o niepodległość. Przypomniawszy jak w wyzwolonym Kijowie ramię w ramię maszerowali po Kreszczatyku żołnierze Piłsudskiego i Petlury. Przywołał postać spoczywającego na warszawskiej Woli bohatera Ukrainiejskiej Republiki Ludowej gen. Marka Bezruczki, który ofiarnie bronił Zamościa przed bolszewicką nawałnicą.

„Dziś znów zawisła przed nami groźba rosyjskiej neoimperialnej polityki – zaznaczył mówca. Po Gruzji Ukraina stała się kolejną ofiarą planów Kremla. Stało się dokładnie tak, jak przepowiedział w Tbilisi, jeszcze w 2008 roku, nasz prezydent Lech Kaczyński: z początku Gruzja, potem Ukraina! Uprzedzał on, że Rosja wkrótce może «jąć się» za kraje nadbałtyckie a potem zapragnie powrócić swoje wpływy w Europie Środkowej. Aczkolwiek chcę podkreślić, że z walce o zachowanie niepodległości Ukraina nie jest samotna. Polska wspierała i będzie wspierać Ukrainę, jako że jesteśmy głęboko przekonani o tym, iż nie będzie bezpiecznej Europy bez demokratycznej i wolnej Ukrainy”.

Wicepremier Ukrainy Stepan Kubiw, dziękując za wsparcie i pomoc okazywaną Ukrainie przez Polskę, w tym i na Majdanie, konstatował: *„Wojna na Wschodzie to kontynuacja obrony europejskich wartości, to dziesiątki, setki ofiar, które składają ukraińscy obywatele w imię pokoju i stabilności w Europie”.*

Stanisław PANTELUK

Zdj. Andżelika Płaksina



Wicepremier Stepan Kubiw (z lewej) przypomniał chwile przeżyte wspólnie z Panem Ambasadorem Janem Piekłom (z prawej) na Majdanie i wręczył mu trzymotmowy latopis, ilustrujący te wzniosłe wydarzenia

PAMIĘĆ

W dniu 15 października 2016 r. w Kijowie odbyła się Międzynarodowa Naukowo-Praktyczna Konferencja „*Polacy na Ukrainie: drogi i losy. (Upamiętnienie 80. rocznicy deportacji do Kazachstanu)*”.

Konferencja została zorganizowana przez Federację Organizacji Polskich na Ukrainie, przy wsparciu m.in. Ambasady RP w Kijowie, Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Ministerstwa Edukacji i Nauki Ukrainy, Instytutu Historii Narodowej Akademii Nauk Ukrainy oraz Narodowego Uniwersytetu Zasobów Biologicznych i Zasobów Naturalnych Ukrainy.

Konferencję przeprowadzono w siedzibie Narodowego Uniwersytetu Zasobów Biologicznych i Zasobów Naturalnych Ukrainy.

Moderator konferencji dr. hab. Zinowij Rużyło – dziekan wydziału konstruowania i projektowania powitał przybyłych na konferencję. Następnie głos zabrali: profesor dr hab. Serhij Kwasza – przewodniczący komitetu konferencji, prorektor ds. edukacji i pracy wychowawczej; Tomasz Dederko – Konsul Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Kijowie; Anita Staszkie-wicz ze Stowarzyszenia Wspólnota Polska; Emilia Chmielowa – Prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie.

Podczas obrad przedstawione zostały referaty naukowców, urzędników państwowych, wykładowców akademickich, dziennikarzy, liderów organizacji polskich z Ukrainy, doktorantów polskich i ukraińskich uczelni. Omówiono następujące zagadnienia:

1. Polska mniejszość narodowa na Ukrainie: historia i współczesność;
2. Polacy i Ukraińcy pod naciskiem radzieckiej maszyny represyjnej: wymiar deportacji w kontekście pamięci historycznej;
3. Polska droga do Kazachstanu. Losy na tle epoki;
4. Dziedzictwo kulturowe Polski i Ukrainy oraz jego rola w kształtowaniu świadomości narodowej;
5. Współpraca międzynarodowa w procesie kształtowania polityki pojednania i „przezwycięzania przeszłości”.

Na wstępie książd Ludwik Kamilewski udzielił błogosławieństwa przybyłym na Konferencję.

Referat Anity Staszkie-wicz „*Tożsamość narodowa Polaków deportowanych do Kazachstanu. Wspomnienie Pani Klementyny Sokołowskiej*” otworzył plenarną część konferencji. (Tekst wystąpienia na str. 10-12.)

O skutkach wynarodowienia Polaków w czasach radzieckich w referacie pt.: „*Polacy z Podola pod naciskiem systemu karnej represji*” mówił Walerij Istoszyn – docent wydziału biologii medycznej Winnickiego Narodowego Medycznego Uniwersytetu im. M. Pyrogowa.

O przetrwaniu Polaków w warunkach deportacji opowiedziała w swoim wystąpieniu mgr Terasa Dutkiewicz – redaktor naczelny czasopisma FOPnU „*Nasze drogi*”.

W referacie pt.: „*Sześć lat, dwa miesiące i kilka dni...*”, wygłoszonym przez Dorotę Jaworską – redaktora naczelnego kwartalnika dla Polaków Ukrainy „*Krynica*”, ukazano losy polskiej rodziny kresowej na zesłaniu w Kazachstanie. Referat powstał na podstawie wspomnień Ryszarda Kożucha.



Organizatorzy i uczestnicy konferencji na wspólnej fotografii

Kolejnymi prelegentami byli:

Włodzimierz Kuczyński – „*Deportacje ludności polskiej z Ukrainy do Kazachstanu w 1936 roku*”;

Stanisław Ellis – „*Deportacje. Tragiczna strona historii mojej rodziny*”;

Ołena Kropywko – „*Polacy i Ukraińcy w procesach deportacji ludności z zachodnich obwodów USRR*”;

Ks. Prałat Ludwik Kamilewski – „*Życie Polaków w Kazachstanie*”.

Walentyna Jusupowa w swoim wystąpieniu mówiła o Fundacji Joachima Lelewela. Jednym z kierunków jej działalności jest zbieranie i publikowanie materiałów o tzw. polskich autonomiach w ZSRR przed II wojną światową i wysiedleniach do Kazachstanu w 1936 r. oraz tzw. operacji polskiej NKWD w 1937 r. W celu głębszego zrozumienia tragedii, jaką przeżyli Polacy zesłani do Kazachstanu uczestnikom konferencji zdemonstrowano film „*Przez czerwoną granicę*”, jaki powstał w 2012 roku. Współproducentem tego filmu

była Fundacja Joachima Lelewela i Towarzystwo Miłośników Historii Wojskowości Kalina Krasnaja. Film opowiadający o deportacjach Polaków z Ukrainy do Kazachstanu w 1936 r. powstał na podstawie powieści Piotra Kościńskiego „*Przez czerwony step*”.

Kolejnym prelegentem był Andrzej Amons, który wygłosił referat pt. „*Deportacje Polaków z Zachodniej Ukrainy*”.

Wszystkie wystąpienia były niezwykle starannie przygotowane i bardzo wzruszające. Mają one niezwykle ważne naukowe i moralne znaczenie dla dzieła zachowania dla potomnych tragicznej historii Polaków, którzy przez nieludzki system sowieckich represji skazani zostali na Golgotę zesłania.

Organizatorzy znakomicie przygotowanej i przeprowadzonej na bardzo wysokim poziomie konferencji planują wydanie publikacji, w której zamieszczone zostaną teksty wygłoszonych na niej referatów.

Dorota JAWORSKA

„Wiadomość o powrocie Polaków do Polski dotarła do Tartyka po południu, chyba czternastego kwietnia 1946 roku.

Ależ była radość! Ludzie, szczególnie młodzi, tańczyli i śpiewali do późnej nocy. Starsi, zgromadzeni dla uzyskania pełniejszych informacji i omówienia problemów związanych z wyjazdem, wspólną modlitwą dziękowali Bogu za łaskę i Niepokalaną opiekę.

Dla wyjaśnienia braków na listach osób powracających do Polski ktoś natychmiast wyruszył do centrali. Już z samego rana następnego dnia wyjaśniło się, że były to zwyczajne pomyłki. Rozpacz zamieniła się w radość.

Chociaż nie u wszystkich. «Naczalstwo» było niemal zrozpaczone i nie ukrywało tego. Bo kto teraz będzie pracował, by wykonać ów «gosudarstwiennyj plan». Na Kazachów liczyć nie można, bo było ich zbyt mało, a poza tym byli odporni na wszelkie «zachęty» ze strony «naczalstwa». A gorące dni czasu orki i siewu jeszcze się nie skończyły i każda para rąk zdolnych do pracy i każdy wół były niemal na wagę złota. Chyba dlatego «priedsiedatiel» nie zgodził się na oddelegowanie «podwód» do odwiezienia Polaków i ich mienia do Biezymiany. Pozwolił jedynie na wyremontowanie dwóch niesprawnych wozów i obiecał dać dwa woły pod warunkiem, że jeszcze tego samego dnia ktoś je przyprowadzi z powrotem.

Kazachowie z zazdrością patrzyli na nas i na naszą radość. Widać było po nich, że są świadomi tego, że oni nigdy nie doświadczą takiego uczucia, że nie widzą dla siebie szans, że nie mają nadziei.

Mężczyźni przez noc przygotowali do użytku dwa wozy. Jeden z nich był drabiniasty, a drugi skrzyniowy. Rano ludzie zaczęli znosić swój dobytek na plac przy «koniuszni», na wprost naszego okna. Było tego niewiele, ale i tak były trudności ze zmieszczeniem go na dwóch wozach. Musiało być na nich jeszcze miejsce dla chorych i dla zbyt starych lub zbyt młodych, by 35-kilometrową trasę mogli pokonać na piechotę.

Do stacji dotarliśmy po południu. Były tam już tłumy Polaków. Wszyscy koczowali na dworze, niektórzy już od poprzedniego dnia. Noc, jak to w kwietniu, była bardzo zimna, więc wszyscy, którym wypadło spędzić ją na dworze, byli przemarznięci. Obudzili się wcześnie, bo chłód nie pozwalał spać – wielu nieopatrznie zbyt wcześnie pozbyło się części swoich łachmanów.

Dzień zapowiadał się pogodny i ciepły. Był to dzień przeznaczony na kąpiel, odwieszenie odzieży i dezynfekcję wagonów. Do bydlęcych wagonów cuchnących karbolem lub czymś podobnym, czego użyto do odkażania, zaczęto wpuszczać ludzi koło południa.

Po paru godzinach umajone i rozśpiewane wagony ruszyły. Nie pamiętam, czy to było «Te Deum...», czy «Boże coś Polskę...», ale śpiewał cały pociąg. Tak po sześciu latach, dwóch miesiącach i chyba kilku dniach kończyła się nasza tułaczka po kraju zatracenia.

Wracaliśmy!”

Fragment wspomnień zesłańca Ryszarda Kożucha

DOM NA NIELUDZKIEJ ZIEMI PANI KLEMENTYNY

„Wszystko, co wiem o Ukrainie, Polakach na Ukrainie i historiach ludzi, również p. Klementyny Sokołowskiej (dziś już świętej pamięci), jest konsekwencją całego mojego zawodowego życia, całej zawodowej drogi. Pracowałam na Ukrainie jako nauczyciel języka polskiego, konsul RP w Charkowie, a dziś zajmuję się z perspektywy Warszawy (w Stowarzyszeniu Wspólnota Polska) współpracą z organizacjami polskimi”

Anita Staszkievicz

Dom rodzinny

Pani Klementyna przyszła na świat jako córka Adolfa Kazimirowicza i Emilii Rolskiej. Urodziła się 1925 roku w Wołoczyskach*.

Pani Klementyna zachowała w swej pamięci wspomnienia o spokojnym, ciepłym i polskim domu. Rodzice-Polacy, szlachetni i dobrzy, żyli według przykazań, „byli bardzo religiozni” – podkreśla staruszka. Ojca poważali we wsi, skończył cztery klasy, a było to wtedy dużo. Miał pole i to było najważniejsze, ale umiał wszystko zrobić, nawet „wzuttia naprawić”, taka „złota rączka”. Pan Adolf miał dobre serce, nigdy od nikogo nie wziął kopiejki, powtarzał, że innym jest jeszcze gorzej.

Matka Pani Klementyny, Emilia Rolska, była piękną i mądrą kobietą. We wspomnieniach najstarszej córki jawi się jako mitologiczna Hestia, prawdziwa opiekunka domowego ogniska. Jej królestwem była kuchnia. To, co dała ukochana ziemia męża Adolfa ona przerabiała na cudowne przysmaki. Do dziś Pani Klementyna pamięta te zaczarowane zapachy prostej, jednocześnie wykwintnej matczynej kuchni.

W domu rodzice rozmawiali tylko po polsku, czytało się polskie książki. Najwięcej było „kantyczek”, bo ważniejszych od Najświętszej Pani i Jezusa w domu nie było. To ta Święta Para codziennie rano witała małą Klimcię i jej starszą siostrę Genię. To Im ostatnim mówiły „dobranoc”.



Mam wrażenie, że ta osiemdziesięcioletnia dziś kobieta nosi w sobie żal do losu, że tak szybko pozbawił ją tej oazy spokoju, bo miała zaledwie jedenaście lat jak wyjechali do Kazachstanu... to jakby ptakom zabronić latać, kwiaty pozbawić wody, a człowieka pozbawić powietrza? Pozostaje pytanie do Siły Nadprzyrodzonej, bo czucie i rozum to przerasta.

Codzienne, wspólne modlitwy w domu Adolfa i Emilii zmierzały z dnia na dzień do niedzielnego spotkania z Bogiem w kościele, w Zawalijkach. Każdej niedzieli ojciec zaprawiał konie i cała rodzina jechała na Mszę świętą do sąsiedniej wioski. Ten kościół był jak drugi dom, bo tatko miał klucze do drzwi wejściowych, bo grał na organach. Ale to był dom, gdzie człowiek całą pełnią żywi swoją duszę.

Życie toczyło się, a dzieci z utęsknieniem czekały na święta. „My świątkowali tak, jak potrzebnio, tilky po polsku” – opowiada Pani Klementyna. W pamięci staruszki najbardziej utkwiły święta Bożego Narodzenia. Świat taki był wtedy biały i zimny, a w domu ciepło, pachniało... najpierw sprzątanie, gotowanie postnych straw, przystrajanie drzewka. Ojciec w snopy pszenicy lub żyta porozstawiane po kątach „komnaty” wkładał opłatek. Śpiewając kolędy, łamali cienki chleb – dzielili się swoimi radościami i smutkami.

W oczy Pani Klementyny napływają łzy, spływają powoli wyrzeźbionymi drogami, ścieżkami Jej długiego życia. Słona woda idealnie wpasowuje się w wyrysowaną mapę zmęczonej twarzy staruszki, jakże bezbronnej.

Dziecko, które pierwszy raz ma wyrecytować wiersz przed publicznością przeważnie się denerwuje. Zapomina początku, środka, bądź końca strofki, jąka się, robi pauzy tam, gdzie ich absolutnie być nie powinno... Z taką właśnie nieśmiałością dziecka, mrużąc oczy, bo chęć przypomnienia kwestii jest wielka, Pani Klementyna wyrecytowała „Katechizm polskiego dziecka”:

*„Kto ty jesteś? – Polak mały,
Jaki znak twój? – Orzeł biały,
Kogo kochasz? – Kocham Boga, nawet wroga”.*

Ciekawe, czy spokojnie śpiącego na lwowskim posłaniu Władysława Bełzę poruszył ostatni wers Katechizmu Emilii Rolskiej?

Rozstania

Wiosną wstaje zaspany świat – niedźwiedź, by włożyć na nowo kolorowe szaty. Zaraża świeżością, lekkością mniej i bardziej przyzwyczajonych do zmienności jego oblicza. Bardzo powoli rozpalają się w ludzkich sercach, żeby lato miało co robić.

Czyż jednak w tym kołowym roku na cztery dzielonym nie ma każdy swoich tylko wiosennych poranków, słonecznego, letniego południa, jesiennych wieczorów i zimowych nocy?..

Dla rodziny Pani Klementyny Sokołowskiej wiosna trzydziestego szóstego roku była takim przekłamaniem przyrody, porządku między alfą a omegą. Dla nich kończyło się życie, niedźwiedź na długo zapadł w sen...

W momencie zsyłki do Kazachstanu Klementyna miała jedenaście lat, starsza o dwa lata Genowefa – trzynaście, a „bratki” miał zaledwie cztery miesiące. Genowefa została na Ukrainie. Emilia i Adolf „podarowali” ją siostrze męża z Krostowa. *„Nie mogli z mężem mieć [swoich] dzieci. Oni tak prosili, żeby mama zostawiła im jedno dziecko, bo przecież jedzie nie wiadomo gdzie. Siostrę przepisali na siebie, nawet to maleństwo chcieli, ale mama nie oddała”*.

Pani Klementyna pamięta przygotowania do podróży. *„Brali my wszystko co tylko mogli, jak kto miał krowę to i krowę i konia, mnie na plecy mama nawet kozuch założyła. My wiedzieli, że jak pies halka, to oni szli. Szukali nawet krupy w beczkach. Nam jałówkę zabrali, ją dała ciocia, żeby ją ji doglądali...”*.

Dwunastu apostołów wywiódł wróg na pustynię

Rodzina jest jak jedno ciało, jeżeli odetniesz rękę to ona nie odróźnie i boli cała reszta. Tacy niepełni, poszarpani – wyruszyli w nieznane. *„Z naszej wioski, z tych Kurników zabrali dwanaście rodzin”* – wspomina Pani Klementyna. Ci – Oni podeptali wiosnę, polską wiosnę, bo ni jednego Ukraińca nie zabrali. Sąsiedzi płakali, bo wieś to kilka, kilkanaście ciał ocierających się o siebie, przyzwyczajonych do swojej obecności. Zakłócili rytm *„wsi spokojnej, wsi wesolej...”*. Na rozkaz pożegnać się ze swoim życiem, przejść po popiele z tak żywej ziemi. Gorący, szary proch gdzieś tam tłący się jeszcze na czerwono rozpalą serce jedenastoletniej wówczas Klimci, tak jak rozpała chore serce osiemdziesięcioletniej staruszki.



Homo viator**

Podróżujemy w jakimś określonym celu, żeby kogoś spotkać – bliskiego, czy nawet dalekiego, żeby zobaczyć z bliska coś nowego i przestać sobie wyobrażać. Dwanaście rodzin ze wsi Kurniki i Polacy z okolicznych wiosek załadowani w towarowe wagony jechali dwie niedziele w nieznane, na spotkanie z niczym i nikim. To tak, jakby odbywać podróż do stolicy drapieżnych zwierząt. W osobnych wagonach jechała „chudoba”; ze zwierzętami spali mężczyźni. Synek Kazimirowiczów miał zaledwie cztery miesiące, potrzebowali świeżego mleka. Ludzie pomagali sobie, więc zawsze ktoś *„trochę mleka dał, bo jałówkę wykradli”* – podkreśla kolejny raz rozgoryczona staruszka. Podczas podróży „towarniak” zatrzymywał się na wszystkich możliwych „ostanowkach”, aż dotarł do Tainczy, otwierającej świat stepu Kazachstanu. Wszystkich wysadzono razem; skierowali swoje oczy w stronę krainy bez końca, otulonej długą, białą trawą, która rozciągała się w bezkres jak spienione morze. Zaczął padać deszcz, a oni stali tak z małymi dziećmi na rękach, z całym dorobkiem dotychczasowego życia. Chciałoby się powiedzieć – *„Ludzie ludziom zgotowali ten los”* i to ludzie uśmiercając stare zło od wieków tworzą nowe... Może Bóg chciał poświęcić tę ziemię, która do tej pory żyła swoim, dzikim rytmem i musiała stanąć na niej noga człowieka, aby ją trochę ugłaskać, oswoić jak Mały Książę oswajał różę? A ta biała, bujna trawa bardzo kłula – wspomina Pani Klementyna.

Na początku był chaos

Ojciec Pani Klementyny zbił budkę z blachy, żeby dzieci miały się gdzie schronić. Napis – *„toczka tri”* miał wyznaczać początek nowego życia, w tym miej-

scu miała powstać wioska. Ostał się naród, a nie ma granic jego państwa... Każdy, kto zaczynał kiedyś swoje życie od początku, to zawsze z nadzieją, że kolejne będzie szczęśliwsze. Słuchając Pani Klementyny mam wrażenie, że ci ludzie nie mieli żadnych oczekiwań, nie mieli wymagań. Oni naprawdę zaczynali od początku, bo kopali suchą ziemię stepu, żeby ugasić pragnienie, żeby zbudować dom. Zanim zamieszkali w „pałatkach” kolejne dwa tygodnie żyli pod gołym niebem. Dopiero jesienią przeprowadzili się do „ziemiaków”. W namiocie udało się zgromadzić wszystkich z Kurnik, żeby było tak jak dawniej – cała wioska wspólnie. Odmawiali różaniec, modlili się. Teraz łączyła ich taka sama wielka tęsknota, żal i strach. Kobiety zajmowały się „domem”, a mężczyźni budową.

W ziemiankach podzielonych na pół mieszały po dwie rodziny. Wybudowali punkt medyczny, szkołę, cmentarz. A kościół? – „Pan Jezus był w każdej sieni, a my chodzili po chatkach na modlitwy”. Jaka szkoda, że wszystko trzeba nazwać – byle jaką ziemiankę z gliny i słomy – domem, różaniec kościołem, a wydzieloną część kazachskiego stepu, kryjącą ciała zmarłych – cmentarzem. A jak wygląda prawdziwy dom, kościół, cmentarz, szpital, szkoła? No właśnie, ICH trzeba rozgrzeszyć, czas nie czeka – więc tam, wtedy w Tajnicy było normalne życie.

W trzydziestym siódmym zmarł ojciec Pani Klementyny. Zdążył tylko zbudować dom, zachorował na nerki i chowali go na „Podwyższenie Krzyża”. Matka strasznie rozpacziała i żyć nie było z czego. To było wzorowe małżeństwo, „oni byli tak za sobą, bardzo dobrze żyli, żalowali jeden drugiego, nigdy się nie kłócili; ja nigdy nie słyszała jakich takich słów”. Matka musiała pracować, „przybywała” w szkole, „troszku” siostra przysyłała, jakieś dziesięć rubli. Wdowa bardzo tęskniła za Genią,



jeszcze bardziej po śmierci męża. Utracony dom można zawsze odbudować, ale ludzi nic nie wskrzesi. Spieszymy się, spieszymy się, bo tak szybko odchodzą... I płynął tak potok życia z dnia na dzień, wiosna za wiosną.

Pani Klementyna wyszła za mąż, za Polaka – Sokołowskiego, urodziła w Kazachstanie syna. Wrócili na Ukrainę w czterdziestym ósmym. Sokołowsky od razu zamieszkali w Tarnopolu, mieli jeszcze dwie córki. „Mnie tutaj nie było dobrze – wspomina staruszka, – mój nie był dla mnie dobry, pił...”.

Moja Polska – moja Rodzina

Kiedy w czterdziestym ósmym na oczach Pani Klementyny rozbierali kościół w Tarnopolu, „dwa traktory ścigały krzyż”, uświadomiła sobie, że to jest ciąg historii, która rozpoczęła się, gdy była małą dziewczynką. To przyparte do ziemi *sacrum* nie mogło się bronić, ale Pani Klementyna wiedziała, że z całych sił musi się starać, aby nikt nie odebrał jej świadomości kim jest, skąd pochodzi, jakie są jej korzenie. Wiele razy „perekisywali” w dowodach, ale ona zawsze mówiła, że jest Polka. „Jawnie ja nie miała nieprzyjemności, obchodziła zawsze polskie święta, do kościoła jeździła w Podwołoczyska”. A największy żal? – „Nu, do mojego pokolenia było jak trzeba, by Polka wychodziła za mąż za Polaka, i ja bardzo chciała, żeby i moje dzieci tak, by chrzczone w kościele, ale nie dało rady”. A największa duma? – „Ja Polka jak Papa Rzymski, bo Polska to jest coś najwyższego, najdroższego... ziemia przodków. Moja polska rodzina jest w sercu – starym schorowanym. Jest żywa, bo ja żyję”.

Spotykam nadal Panią Klementynę, w kościele i w Polskim Towarzystwie. Oczy smutne, szaro-błękitne jak Bałtyk. Szukamy się wzrokiem, nie jesteśmy dla siebie obce, podchodzimy do siebie jak swój do swego. Ja do niej jak do babci, a ona pewnie jak do wnuczki. Głaszczę ją po głowie, bo widzę w tej staruszce małą dziewczynkę – Klimcię – skrzywdzoną jak wielu na tej ziemi.***

Anita STASZKIEWICZ

* Wołoczyska – miasteczko na lewym (sowieckim) brzegu Zbrucza. Dzisiaj centrum rejonowe chmielnickiego obwodu.

** Homo viator (łac. „podróżny”, „pielgrzym”) – symbol doli człowieczej, topos człowieka w drodze, podróży, tułaczce.

***Tekst ukazał się w 2008 r. w tomie IX „Pamiętnika Kijowskiego” pod redakcją prof. Henryka Strońskiego.

UCZNIOWIE Z UKRAINY

Wraz z nowym rokiem szkolnym do Zespołu Szkół Ekonomiczno-Technicznych im. Kombatantów Ziemi Lwóweckiej w Rakowicach Wielkich koło Lwówka Śląskiego (2 km od centrum miasta) w województwie dolnośląskim przybyła kolejna grupa uczniów z Zachodniej Ukrainy. Pochodzą z miejscowości: Lwów, Stanisławów, Stryj i Żytomierz. W zależności od kierunku kształcenia będą tutaj pobierać naukę razem z polskimi uczniami przez trzy lub cztery lata. Uczą się w klasie gastronomicznej, informatycznej, samochodowej i hotelarskiej. Warunkiem rozpoczęcia nauki w ZSET Rakowice Wielkie (<http://zsetrakowice.pl/index.php?action=rekrutacjaObcokrajowcow>) była znajomość języka polskiego w stopniu podstawowym. Ukończenie szkoły w Polsce da im unijny dyplom technika wyuczonego zawodu. Ponoszą koszty wyżywienia i dojazdu, a subwencja przeznaczona jest tylko na ich naukę i dofinansowanie do zamieszkania w internacie. Należy zaznaczyć, że rakowicka szkoła od kilkunastu lat owocnie współpracuje ze szkołą w Stryju o podobnym profilu.

Nowa grupa uczniów z Ukrainy jest po raz pierwszy w Polsce i przez kilkuletni okres nauki praktycznie

są mieszkańcami gminy Lwówek Śląski, tak i jak wcześniejsza grupa uczniów z Ukrainy przybyłych w 2015 r.

Jako przyjaciel szkoły i dolnośląski regionalista przekazałem im niezbędne informacje turystyczno-historyczne o najbliższym regionie. Do słów dołączyłem różnorodne materiały o Lwówku Śląskim (prawa miejskie w 1217 r., ratusz to perła architektoniczna wśród budowli tego typu, browar z 1209 r. najstarszy w Polsce, tradycje górnictwa złota, mineralogiczna stolica Polski – coroczne Lwóweckie Lato Agatowe), Boleśławcu (znany na świecie z ceramiki, najdłuższy w Europie wiadukt kolejowy nad rzeką Bóbr – 490 m, tu zmarł 28.03.1813 r. książę smoleński gen. Michaił Kutuzow – pogromca Napoleona) i Dolnym Śląsku oraz drobne prezenty. Załączone zdjęcie przed budynkiem szkoły z dnia 16.10.2016 r. ukazuje miłą atmosferę tego spotkania.

W soboty i niedziele uczniowie z Ukrainy pozostają sami w internacie, więc może ktoś z czytających ich odwiedzi. Bardzo się z tego cieszą.

*Tekst i fotografia
Zdzisław MIRECKI*



WARSZAWSKIE FELIETONY MIKOŁAJA ONISZCZUKA

Handel zagraniczny Polski po ośmiu miesiącach 2016 r.

Według wstępnych danych GUS, w okresie pierwszych 8 miesięcy 2016 r. wciąż notowaliśmy wzrost eksportu towarów z Polski – wartość eksportu wyniosła blisko 118,9 mld euro, czyli była wyższa o 1,5 proc. niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Import do Polski zmniejszył się o 0,8 proc. wobec poziomu z roku poprzedniego, tj. wyniósł 114,7 mld euro. Wyniki te przełożyły się jednak na zwiększenie nadwyżki o ponad 2,7 mld euro, do ok. 4,3 mld euro. Przyhamowanie wzrostu eksportu w okresie styczeń-sierpień br. było rezultatem spowolnienia dynamiki wywozu do krajów rozwiniętych (wzrost o 2,3 proc., do 102,8 mld euro) oraz utrzymania tendencji spadkowej w sprzedaży na rynki słabiej rozwinięte (zmniejszenie o 3 proc., do 16,2 mld euro).

Przyhamowanie wzrostu eksportu w okresie styczeń-sierpień br. było rezultatem spowolnienia dynamiki wywozu do krajów rozwiniętych (wzrost o 2,3 proc., do 102,8 mld euro) oraz utrzymania tendencji spadkowej w sprzedaży na rynki słabiej rozwinięte (zmniejszenie o 3 proc., do 16,2 mld euro).

Eksport do UE wzrósł o 1,8 proc. (do ok. 94,8 mld euro), w tym szybciej do krajów spoza strefy euro (o 2,4 proc.), niż do państw eurolandu (o 1,6 proc.). Wzrost eksportu odnotowano do siedemnastu państw członkowskich UE, w tym w przypadku szesnastu z nich był on szybszy niż w skali ogólnej. Wśród ważniejszych unijnych rynków najszybciej zwiększyła się sprzedaż do: Słowenii (o 11,2 proc.), Irlandii (o 10,9 proc.), Rumunii (o 9,7 proc.), Portugalii (o 9,2 proc.), Finlandii (o 8,9 proc.), Hiszpanii (o 6,7 proc.) oraz Szwecji (o 6,6 proc.). Utrzymująca się tendencja do szybszego niż w skali ogólnej wzrostu eksportu do UE, przełożyła się na umocnienie jej udziału w naszym łącznym eksporcie, do 79,7 proc. po ośmiu miesiącach 2016 r.

Zdecydowanie szybciej niż przeciętnie wzrósł eksport do pozaunijnych rynków rozwiniętych wobec po-

ziomu z okresu styczeń-sierpień roku poprzedniego, tj. aż o 8 proc., do ok. 7,9 mld euro, zaś ich udział zwiększył się o 0,4 pkt. proc. do 6,7 proc. w łącznym polskim wywozie. Wynikało to z dynamicznego zwiększenia polskiej sprzedaży m.in. do: Szwajcarii (o 12,1 proc.), Kanady (o 13,8 proc.), Stanów Zjednoczonych (o 10,1 proc.) oraz Izraela (o ok. 28 proc.).

W przypadku eksportu na rynki WNP, po dwóch latach głębokich spadków, w okresie I-VIII br. odnotowano jego wzrost 1,7 proc. (do ok. 6,6 mld euro), w tym na Ukrainę o 11,9 proc. oraz na Białoruś o 3,1 proc. Stagnację sprzedaży odnotowano na rynek rosyjski, gdzie eksport wyniósł ok. 3,3 mld euro.

Niekorzystnie po ośmiu miesiącach 2016 r. kształtował się eksport do pozostałych rynków słabiej rozwiniętych i rozwijających się (poza WNP). Po dynamicznym jego wzroście w 2015 r. (o ok. 14 proc.), w okresie styczeń-sierpień br. zmniejszył się o 5,9 proc. wobec analogicznego okresu roku 2015 (do ok. 9,6 mld euro). O takim wyniku zdecydował spadek wywozu m.in. do: Arabii Saudyjskiej (o 3,8 proc.), Chin (o 4 proc.), Turcji (o 8,2 proc.), ZEA (o ok. 23 proc.) oraz Meksyku (o ok. 25 proc.). Z drugiej strony wśród ważniejszych z tej grypy rynków szybko zwiększył się eksport do Indii (o 32 proc.), Singapuru (o 30 proc.), Republiki Korei (o 10,1 proc.) oraz Serbii (o 8,5 proc.).

W przekroju towarowym kontynuowany był trend dynamicznego wzrostu eksportu wyrobów przemysłu lekkiego (o 14,4 proc.). Szybciej niż przeciętnie również wzrósł wywóz wyrobów: ceramicznych (o 7,8 proc.), przemysłu drzewno-papierniczego (o 5,1 proc.), przemysłu chemicznego (o 4,9 proc.) oraz dominujących w polskiej wymianie z zagranicą wyrobów elektromaszynowych (o 2,2 proc.).

Handel zagraniczny Polski po trzech kwartałach 2016 r.

Według wstępnych danych GUS, po trzech kwartałach br. notowaliśmy niewielki wzrost eksportu towarów z Polski o 1,2 proc. (do blisko 134,9 mld euro) oraz spadek importu o 0,6 proc. (do 130,7 mld euro). Jednocześnie nadwyżka wymiany wyniosła ponad 4,1 mld euro, czyli poziom o ok. 2,5 mld euro wyższy niż przed rokiem. Powyższe wyniki wpisują się w ogólno-

światową tendencję spowolnienia tempa wzrostu obrotów towarowych, co w decydującej mierze jest konsekwencją ogólnego spowolnienia wzrostu gospodarki światowej (wg październikowych danych MFW, do 3,1 proc. w 2016), wyhamowania w ujęciu globalnym inwestycji, popytu oraz procesu liberalizacji handlu. Biorąc pod uwagę strukturę geograficzną polskiego eks-

portu w okresie styczeń-wrzesień br. notowano spowolnienie wywozu do krajów rozwiniętych (wzrost o 2 proc., do 116,6 mld euro) oraz utrzymanie spadkowej tendencji w sprzedaży na rynki słabiej rozwinięte (o 3,4 proc., do 18,2 mld euro). Eksport do Unii Europejskiej wzrósł o 1,5 proc. (do ok. 107,6 mld euro), w tym 2-krotnie szybciej do krajów spoza strefy euro (o 2,4 proc.), niż do państw eurolandu. Wzrost eksportu odnotowano do osiemnastu państw członkowskich UE, w tym w przypadku aż siedemnastu z nich był on szybszy niż w skali ogólnej. Wśród ważniejszych unijnych rynków najszybciej zwiększyła się sprzedaż do: Słowenii (o 10,3 proc.), Rumunii (o 9,7 proc.), Bułgarii (o 8,2 proc.), Finlandii (o 7,5 proc.), Portugalii (o 7,3 proc.), a także Chorwacji oraz Szwecji (o 6,8 proc.). Utrzymująca się tendencja do szybszego niż w skali ogólnej wzrostu eksportu do UE, przełożyła się na umocnienie jej udziału w naszym łącznym eksporcie, do 79,8 proc. po dziewięciu miesiącach 2016 r.

Zdecydowanie szybciej niż przeciętnie wzrósł eksport do pozaunijnych rynków rozwiniętych, tj. o 7,7 proc., do ponad 9 mld euro, a ich udział w łącznym polskim wywozie zwiększył się o 0,4 pkt. proc. do 6,7 proc. Było to rezultatem dynamicznego zwiększenia polskiej sprzedaży m.in. do: Kanady (o 12,5 proc.), Stanów Zjednoczonych (o 12,4 proc.), Szwajcarii (o 9,4 proc.), Japonii (o 9 proc.) oraz do słabiej dotychczas wykorzystywanych rynków, tj. Islandii (o 45,5 proc.) i Izraela (o 28,8 proc.). W przypadku eksportu na rynki WNP, po dwóch latach głębokich spadków, w okresie styczeń-wrzesień br. odnotowano jego wzrost o 1,9 proc. (do ok. 7,5 mld euro), w tym na Ukrainę o 11,6 proc. oraz na Białoruś o 2,6 proc. Wzrost sprze-



daży odnotowano również na rynek rosyjski, gdzie eksport wyniósł ponad 3,8 mld euro, a zatem był wyższy o 0,3 proc. niż przed rokiem.

Niekorzystnie po trzech kwartałach 2016 r. kształtował się eksport do pozostałych rynków słabiej rozwiniętych i rozwijających się (poza WNP), tj. zmniejszył się o 6,8 proc. (do ok. 10,7 mld euro). O takim wyniku zadecydował spadek wywozu m.in. do: Chin (o 5,4 proc.), Turcji (o 6,5 proc.), ZEA (o 19,4 proc.) i Meksyku (o 24 proc.). Nie skompensował tego wzrost eksportu m.in. do Indii (o 30 proc.), Republiki Korei (o 21 proc.), Serbii (o 11,5 proc.) oraz Hongkongu (o 10,4 proc.). W przekroju towarowym kontynuowany był trend dynamicznego wzrostu eksportu wyrobów przemysłu lekkiego (o 12,2 proc.). Szybciej niż przeciętnie również wzrósł wywóz wyrobów: ceramicznych (o 8 proc.), przemysłu drzewno-papierniczego (o 4,7 proc.), przemysłu chemicznego (o 4,5 proc.) oraz dominujących w polskiej wymianie z zagranicą wyrobów elektromaszynowych (o 1,7 proc.).

Horror Realu w Warszawie

Tego się mało kto spodziewał... ale to stało się faktem. W ramach rozgrywek o Klubowy Puchar Europy w piłce nożnej 2 listopada rozegrany został mecz między mistrzem Polski, Legią Warszawa i Realem Madryt, mistrzem Hiszpanii. Ponieważ w pierwszym meczu w Madrycie Legia przegrała aż 1:5 – chyba nikt nie wierzył w jakikolwiek jej sukces w meczu rewanżowym w Warszawie. A tymczasem... Legioniści się sprężyli i zremisowali 3:3. Tym samym zaskoczyli Hiszpanów. A mało brakowało, że wygraliby 3:2, bo taki wynik przez wiele minut utrzymywał się w II połowie meczu. Ale już ten remis kibice Legii uznali za sukces i to zasłużony, a prasa hiszpańska uznała to za

porażkę prestiżu Realu. W czasie meczu trener i zawodnicy Realu przeżywali zmienne nastroje, raz się cieszyli, kiedy prowadzili 2:0, ale już poważnie się zdenerwowali, gdy przegrywali 3:2. Z remisu się nie cieszyli, bo stracili dwa cenne punkty w klasyfikacji grupowej.

Przekonali się na własnej skórze, że przesadna pewność siebie bywa zawodna. Piłkarze Legii swoją postawą potwierdzili, że w sporcie, tak jak w życiu, można i trzeba wierzyć w możliwość powodzenia i sukcesu. I w tym duchu wypowiadali się po meczu. Powinni potwierdzić to w kolejnych meczach, bo nauki z meczu z Realem na pewno nie pójdą w las.

W STOWARZYSZENIU EKSPORTERÓW POLSKICH

Informacja o przebiegu XV Jubileuszowego Kongresu Eksporterów Polskich

W dniu 17 listopada 2016 r. w Ministerstwie Rozwoju w Warszawie odbył się XV Jubileuszowy Kongres Eksporterów Polskich i Gala zorganizowane przez Stowarzyszenie Eksporterów Polskich (SEP) pod honorowym patronatem Ministerstwa Rozwoju, Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi oraz Marszałków Województw.

XV Jubileuszowy Kongres Eksporterów Polskich prowadzili Prezes SEP Mieczysław Twaróg i Przewodniczący Rady Głównej SEP Stefan Tkaczyk.

Tematem XV Jubileuszowego Kongresu Eksporterów Polskich była zagraniczna ekspansja przedsiębiorstw w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Tematyka ta wyszła naprzeciw oczekiwaniom eksporterów mających na celu proeksportowy i proinnowacyjny rozwój gospodarki.

Celem XV Jubileuszowego Kongresu Eksporterów Polskich było określenie działań w zakresie zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

W tym celu podczas XV Jubileuszowego Kongresu Eksporterów Polskich odbyła się debata nt.: kierunków zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw; rozwoju eksportu na priorytetowych i perspektywicznych rynkach zagranicznych; koncentracji środków promocyjnych na priorytetowych branżach.

Należy podkreślić, że uczestniczący w XV Jubileuszowym Kongresie Eksporterów Polskich ministrowie finansów, rolnictwa i spraw zagranicznych przekazali eksporterom informacje nt. realizacji zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. W tym celu przedstawione zostały m.in. kierunki zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw, które stanowią jedno z podstawowych założeń Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Należy zaznaczyć, że zadaniem nadrzędnym jest wdrożenie modelu gospodarczego opartego na konkurencyjności, innowacjach i nowoczesnych technologiach. Wsparciem dla ww. działań będą środki finansowe m.in. z nowej perspektywy Unii Europejskiej do 2020 roku.

Udział w XV Jubileuszowym Kongresie Eksporterów Polskich wzięło ponad 300 eksporterów. Wśród gości zaproszonych udział wzięli m.in.: Sekretarz Stanu Ministerstwa Finansów Wiesław Janczyk, Podsekretarz Stanu Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi Ryszard Zarudski, Radca Minister Ministerstwa Spraw Zagranicznych Cezariusz Kwaterski, dyplomaci, liczni przedstawiciele resortów: finansów, rozwoju, rolnictwa, spraw

zagranicznych, b. kierownicy WPH i Inwestycji Ambasad RP oraz Banku Gospodarstwa Krajowego, Polskiej Agencji Informacji i Inwestycji Zagranicznych, Agencji Rynku Rolnego i urzędów marszałkowskich województw, izb gospodarczych i stowarzyszeń, a także dziennikarze z prasy, radia i telewizji.

Na wstępie XV Jubileuszowego Kongresu Eksporterów Polskich odczytany został list Jarosława Kaczyńskiego – Prezesa Prawa i Sprawiedliwości przez Przewodniczącego Rady Głównej SEP Stefana Tkaczyka.

W części merytorycznej XV Jubileuszowego Kongresu Eksporterów Polskich głos zabrali: Sekretarz Stanu Ministerstwa Finansów Wiesław Janczyk nt. zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju oraz Podsekretarz Stanu Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi Ryszard Zarudski nt. eksportu rolno-spożywczego w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, a Radca Minister Ministerstwa Spraw Zagranicznych Cezariusz Kwaterski przedstawił działania dyplomacji ekonomicznej w zakresie zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Panel I poświęcony był działaniom w zakresie zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Na panelu II omówiono działania w zakresie zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Podczas XV Jubileuszowego Kongresu Eksporterów Polskich zwrócono uwagę na potrzebę dalszego wdrażania rozwiązań systemowych nakierowanych na realizację zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Zwrócono także uwagę na potrzebę bardziej otwartej współpracy z mediami, w tym z prasą krajową i zagraniczną, a także z mediami polonijnymi.

Wychodząc naprzeciw potrzebom eksporterów XV Jubileuszowy Kongres Eksporterów Polskich dokonał oceny stanu i perspektyw urzeczywistnienia Strategii proeksportowego rozwoju gospodarki polskiej. Zauważyć należy, że obecna sytuacja na rynkach zagranicznych spowodowana utrzymywaniem się embarga na rynkach wschodnich, wymaga dalszej dywersyfikacji eksportu. W związku z tym prowadzona będzie nadal spójna polityka proeksportowa stanowiąca główną siłę napędową rozwoju gospodarki. Polska ma dużą szansę utrzymania się na nieco wyższym pozio-

mie rozwoju gospodarczego niż inne kraje, ponieważ posiada znaczne rezerwy, zwłaszcza w zakresie potencjału profesjonalnego, naukowego i intelektualnego, a także zasobów młodej, dobrze wykształconej kadry.

W trakcie XV Jubileuszowego Kongresu Eksporterów Polskich firmom i osobom indywidualnym wręczono nagrody, dyplomy, puchary, medale honorowe,

listy gratulacyjne i medale Wybitny Eksporter Roku 2016 SEP.

Mając na uwadze przede wszystkim konieczność utrzymania dynamiki rozwoju eksportu zadeklarowane zostało pogłębienie współdziałania SEP z organami państwowymi, rządowymi i samorządowymi w urzeczywistnianiu zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Stanowisko XV Kongresu Eksporterów Polskich

SEP wspiera działania przedsiębiorców oraz organów państwowych, rządowych i samorządowych na rzecz wzrostu eksportu stanowiącego siłę napędową rozwoju polskiej gospodarki. Działania te są kompatybilne ze Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. W latach 2015–2020 SEP zakłada wzrost eksportu polskiego, którego wielkość w 2020 r. prognozuje na ok. 240-250 mld euro, w tym eksportu rolno-spożywczego na ok. 40 mld euro. W celu osiągnięcia ww. wartości eksportu nastąpić powinno zwiększenie wykorzystania istniejących mocy oraz uruchamianie nowych inwestycji proeksportowych realizowanych, m.in. na zamówienia rządowe.

Wychodząc naprzeciw potrzebom sektora eksporterów, SEP zwraca uwagę na konieczność dalszego ułatwienia warunków działania firm produkujących na eksport oraz ubiegania się o fundusze unijne w latach 2014–2020. W tym zakresie istotną rolę odegra usprawnienie rozwiązań systemowych na rzecz wzrostu eksportu, a także kształtowania pozytywnego jego wizerunku na rynkach zagranicznych.

XV Jubileuszowy Kongres Eksporterów Polskich widzi potrzebę nadania urzeczywistnianiu zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju priorytetowych działań w zakresie proeksportowego i proinnowacyjnego rozwoju polskiej gospodarki. W tym celu winny być zastosowane odpowiednie instrumenty i mechanizmy, a mianowicie: wzmocnienie działań dyplomacji ekonomicznej w krajach o priorytetowym i perspektywicznym znaczeniu dla rozwoju polskiego eksportu; wprowadzenie nowych rozwiązań systemowych mających na celu wykorzystanie funduszy unijnych na rzecz proeksportowego i proinnowacyjnego rozwoju polskiej gospodarki; zastosowanie rozwiązań systemowych na rzecz skuteczności działania instrumentów wsparcia polskiego eksportu oraz respektowanie zasady samodzielności i samofinansowania firm produkujących na eksport; koncentrację sił i środków na promocję branż,

które mają największe możliwości potencjalnego i realnego wzrostu polskiego eksportu w tym: części samochodowe i lotnicze, meblarska, motoryzacyjna, elektroniczna, kosmetyczna, medyczna, IT/ICT, biotechnologiczna, farmaceutyczna, polskie specjalności żywnościowe, moda polska, budowa i wykańczanie budowli, jachty i łodzie, aparatura pomiarowa i sektor usług prozdrowotnych; zaktywizowanie działań przedsiębiorstw na rynkach o potencjalnych możliwościach popytu na polskie towary, tj. w krajach takich jak: Azerbejdżan, Kazachstan, Turkmenistan, Turcja, Chiny, Indie, Indonezja, Japonia, Mongolia, Wietnam, Malezja oraz kraje bałkańskie tj.: Chorwacja, Serbia, Bośnia, Hercegowina, Macedonia i Grecja oraz kraje Maghrebu (Maroko, Algieria i Tunezja) i latynoamerykańskie; ustawowe uregulowanie koordynacji współpracy resortów: rozwoju, rolnictwa i spraw zagranicznych na rzecz promocji eksportu oraz kształtowania pozytywnego wizerunku polskiej gospodarki zagranicą; uproszczenie procedur w zakresie wykorzystania unijnych funduszy proeksportowych i proinnowacyjnych; ułatwienie dostępu eksporterom do usług bankowych, w tym zwłaszcza gwarancyjnych i kredytowych; wzmocnienie kadrowe pionów informacyjno-promocyjnych Ambasad RP przez skoncentrowanie sił i środków na priorytetowych i perspektywicznych rynkach zagranicznych; pogłębienie współpracy pomiędzy prasą, radiem i telewizją oraz mediami polonijnymi na rzecz wspierania wzajemnie korzystnej wymiany handlowej i współpracy gospodarczej z partnerami zagranicznymi.

XV Jubileuszowy Kongres Eksporterów Polskich mając na uwadze potrzebę optymalnego wzrostu eksportu – deklaruje współdziałanie SEP z bankami, przedsiębiorcami, instytucjami, organami państwowymi, rządowymi i samorządowymi w celu wykorzystania potencjalnych możliwości gospodarczych i kadrowych, a także zaplecza naukowo-badawczego w zakresie zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

FOTOGRAFIA NIE ZNA GRANIC

Ludzie z artystyczną pasją rozumieją się pomimo różnicy kultur, odmiennych języków i granic politycznych. Potwierdza to współpraca fotografów z Rzeszowskiego Stowarzyszenia Fotograficznego z grupami fotografów i artystami z Ukrainy

O Stowarzyszeniu

Rzeszów jest stolicą Podkarpacia, województwa, które graniczy z Ukrainą, a z Lwowem dzieli go taka sama odległość jak z Krakowem. To miasto, w którym mieszka ponad 180 tys. mieszkańców. Jest wśród nich wielu ludzi młodych, w tym tych, którzy z sukcesami rozwijają swoje fotograficzne umiejętności.

Od 2004 roku działa w nim Rzeszowskie Stowarzyszenie Fotograficzne. Założyła ją grupa przyjaciół i znajomych, którzy chcieli spotykać się, aby przeglądać swoje fotografie, rozmawiać i szukać sposobów, by rozwijać swoje fotograficzne zainteresowania. Teraz, po 11 lata działalności RSF jest stowarzyszeniem, w którym działa 40 osób. W centrum Rzeszowa, przy ul. Matejki 10 posiadamy własną galerię – Galerię Nierzeczywistą. Prezentujemy w niej własne fotografie oraz ekspozycje przygotowane przez grupy i fotografów, z którymi współpracujemy. Również zapraszamy fotografów, których cenimy, aby zaprezentowali w naszej galerii swój

dorobek. Wystawy organizujemy zgodnie z grafiką, tak, by co miesiąc pokazać nową ekspozycję. Galeria Nierzeczywista to także miejsce cotygodniowych spotkań członków Stowarzyszenia, organizujemy w niej warsztaty fotograficzne i prezentacje przygotowywane przez członków stowarzyszenia, zapraszanych ekspertów i fotografów. W galerii realizujemy również wystawy przygotowane w ramach współpracy ze stowarzyszeniami fotograficznymi z innych miast Polski, a także ze Słowacji i Ukrainy.

Pierwszy wyjazd na Wschód

W 2013 roku w ramach Projektu „Wspólna sieć współpracy w sferze kultury i opieki społecznej na rzecz rozwoju miast polsko-ukraińskiego pogranicza”, realizowanego przez Urząd Miasta Rzeszowa, RSF (Rzeszowskie Stowarzyszenie Fotograficzne) zostało wybrane do stworzenia dokumentacji fotograficznej polskiego dziedzictwa kulturowego na Ukrainie. Grupa 6 fotografów ze stowarzyszenia odwiedziła Lwów, Stryj,



11.11.2013 r. Wizyta ukraińskich przyjaciół w Rzeszowskim Stowarzyszeniu Fotografików

Drohobycz, Sambor, Olesko, Żółkiew, Iwano-Frankiowsk i Kołomyję. W plenerze udział wzięli: Piotr Krupa, Patrycja Pitra, Katarzyna Warańska, Jerzy Skiba, Artur Wysocki oraz Rafał Orłowski. W Iwano-Frankiowsku do grupy dołączył Jurij Rylchuk.

Plenerowa wyprawa rozpoczęła się od Sambora, Drohobycza i Stryja. Dla niektórych uczestników pleneru było to pierwsze zetknięcie się z Ukrainą, z jej kolorystyką, smakami potraw i z krajobrazem miast. Choć pogoda nas nie rozpieszczała, humory dopisywały i wiedzieliśmy, że poznamy tu wielu sympatycznych ludzi.

W Iwano-Frankiowsku byliśmy dłużej niż jeden dzień. To tutaj poznaliśmy Jurego, przedstawiciela Urzędu Miasta Iwano-Frankiwska, miasta partnerskiego Rzeszowa. To on pokazał nam miasto i jego zaułki, a następnie zabrał na spotkanie z grupą fotografów z Towarzystwa Fotograficznego Kolumb. Tu nawiązały się przyjacielskie znajomości. Nasi koledzy z fotoklubu Kolumb bardzo miło nas przyjęli. Będąc we Lwowie odwiedziliśmy Aleksego Lutina – fotografa lwowskiego (a osobiście dobrego przyjaciela Piotra Krupy), który oprowadził nas po zakamarkach Lwowa.

Plener ten zakończył się pełnym sukcesem. Poplenerowa wystawa fotograficzna „Ukraina – śladami polskości” została oficjalnie otwarta w Rzeszowie 28 lutego

2014 roku. Mieszkańcy Rzeszowa mogli podziwiać przepiękne zdjęcia aż do 27 marca. Ekspozycja ze względu na ilość fotografii została podzielona na dwie, wzajemnie uzupełniające się części. Można je było oglądać w Galerii Nierzeczywistej oraz w Millenium Hall.

„Dążyliśmy do przedstawienia miast pogranicza polsko-ukraińskiego, dostrzeżenia ukrytych kontekstów historycznych, społecznych i kulturowych. Podróż na Ukrainę nie była celem samym w sobie: przywieźliśmy z niej obrazy, historie, spojrzenia, światy, całą różnorodność doznań, których doświadczyliśmy” – tak tę wystawę komentował Piotr Krupa, ówczesny Prezes Rzeszowskiego Stowarzyszenia Fotograficznego.

Ukraina tak blisko i tak daleko – II plener polsko-ukraiński

Udana realizacja pierwszego pleneru oraz zainteresowanie, z jakim spotkały się poplenerowe wystawy zachęciły organizatorów do przygotowania jego kolejnej edycji. W ramach projektu „Wspólna sieć współpracy w sferze kultury i opieki społecznej na rzecz rozwoju miast polsko-ukraińskiego pogranicza”, dofinansowanego przez Unię Europejską a realizowanego przez Urząd Miasta Rzeszowa, w październiku 2014 członkowie Rzeszowskiego Stowarzyszenia Fotograficznego po raz drugi udali się na Ukrainę.



01.05.2015 r. Gospodarze i goście z Ukrainy na rzeszowskim Ryнку (Fot. Artur Wysocki)

W plenerze wzięli udział: Piotr Krupa, Rafał Orłowski, Patrycja Pitra, Jerzy Skiba, Katarzyna Warańska, Artur Wysocki z Rzeszowskiego Stowarzyszenia Fotograficznego oraz Anatolij Juchtowskyj, Wiktor Czuchraj z Łuckiego Fotoklubu.

Naszym celem było zrobienie zdjęć i przygotowanie wystawy, która przedstawiałaby miasta polsko-ukraińskiego pogranicza nie tylko w kontekście geograficznym, ale przede wszystkim historycznym, społecznym i kulturalnym oraz pokazanie, że tak naprawdę więcej nas – mieszkańców tego regionu – łączy niż dzieli. Temat pleneru i tytuł poplenerowej wystawy „*Ukraina: tak blisko i tak daleko*” odzwierciedlał fakt, że z jednej strony Ukraina to nasz bliski sąsiad, związany z nami wspólną historią. Z drugiej strony, kraj ten pozostaje daleki, bo dla wielu Polaków to kraj dziś nieznan. Był to również rok wybuchu walk na wschodzie Ukrainy, co dodatkowo przyczyniało się do „izolacji Ukrainy”: nie ze względu na okazywaną naszym sąsiadom sympatię i życzliwe wsparcie, lecz w sensie poczucia bezpieczeństwa. Mielśmy nadzieję, że nasza wizyta i związana z nią fotorelacja przybliży choć trochę kolory Ukrainy i zachęci naszych rodaków do wizyty w tym kraju.

Poplenerowa wystawa była prezentowana w Łucku, mieście partnerskim dla Rzeszowa, w dniach od 21 do

22 maja 2015 r. w ramach Festiwalu Art Territory. Łuck odwiedzili wtedy artyści z Iwano-Frankiwska i Rzeszowa. Rzeszowskie środowisko artystyczne reprezentowali m.in. Piotr Woroniec, Tomasz Rolniak, Arkadiusz Andrejkow, Przemysław Pokrywka, Sylwester Stabryła, zespoły Rockaway, Funky Flow oraz członkowie Rzeszowskiego Stowarzyszenia Fotograficznego. Wernisaż wystawy w Rzeszowie, w Galerii Nierzeczywistej RSF, odbył się 31 lipca 2015 r.

Wystawa ПРИКАРПАТТЯ / PODKARPACIE

Dzięki nawiązanej podczas plenerów współpracy z klubem fotograficznym Kolumb z Tysmienicy na Ukrainie zorganizowaliśmy pierwszą wspólną wystawę zatytułowaną „ПРИКАРПАТТЯ / PODKARPACIE”. Nazwa wystawy mówi sama za siebie, ПРИКАРПАТТЯ / PODKARPACIE to karpacki region po obydwu stronach granicy. Wystawa prezentowała krajobrazy, tradycje, przyrodę, architekturę, ludzi, pracę, życie codzienne, święta. Jej wernisaż odbył się 27 stycznia 2016 w Galerii Fortecznej „Bastion” w Iwano-Frankiwsku na Ukrainie.

W wystawie udział wzięli przedstawiciele Towarzystwa Fotograficznego Kolumb Jurij Bakaj, Roman Bodnarczuk, Anatolij Hleb, Łesia Hrebeniuk, Mykoła Dżyczka, Pawło Drobniak, Taras Dutka, Mykoła Ka-



Październik 2014 r. Wizyta rzeszowskich fotografików w Łucku (Fot. Katarzyna Warańska)

łyczuk, Rostysław Kondrat, Myrośław Kysznirenko, Bohdan Mochniak, Tetiana Pawłyk, Dmytro Petryna, Jarema Prociw, Wiktor Sołodkyj, Ołeksandr Torbiak, Denys Trofimow, Taras Jakowyn oraz z Rzeszowskiego Stowarzyszenia Fotograficznego Damian Bobrowicz, Sławomir Fornal, Sławomir Gibała, Paweł Jakubowski, Stanisław Karcz, Małgorzata Korzec, Piotr Krupa, Tomasz Kudasik, Jarosław Mazur, Rafał Orłowski, Jacek Owsiak, Patrycja Pitra, Jerzy Skiba, Katarzyna Warańska i Artur Wysocki.

Po Iwano-Frankiwsku ekspozycja została zaprezentowana 5 marca 2016 w Tysmienicy (w wernisażu uczestniczyły 4 osoby ze Stowarzyszenia), a następnie 23 września 2016 roku w Rzeszowie, w Galerii Niezręczystej, gdzie gościliśmy przyjaciół z Ukrainy.

Plener Worochta

W ramach polsko-ukraińskiej współpracy pomiędzy fotograficznymi stowarzyszeniami i rozwijającej się przyjaźni zostaliśmy zaproszeni do udziału w plenerze fotograficznym podsumowującym Biennale Fotografii PRZYRODA, organizowanym w Karpackim Parku Narodowym, w Worochcie, w dniach od 8 do 12 czerwca 2016 roku. W plenerze wzięli udział: Patrycja Pitra, Katarzyna Warańska, Rafał Orłowski, Artur Wysocki, Jan Szczepański i Andrzej Potera. Plener zaowo-

cował wieloma nowymi znajomościami z fotografami, którzy nań zjechali z całej Ukrainy.

Plany na przyszłość

O wartości nawiązanej współpracy świadczy również fakt, że śp. Piotr Krupa, były Prezes RSF i nasz nieodżałowany kolega, który był jurorem na ostatnim Biennale Fotografii PRZYRODA – konkursie o zasięgu narodowym, z międzynarodowym jury – wybrał zdjęcia, ale niestety na rozdanie nagród do Stanisławowa nie dotarł. Ze Stowarzyszenia pojechała jedynie 6-osobowa delegacja. Organizatorzy Konkursu zaproponowali, by w przyszłym roku utworzyć nagrodę im. Piotra Krupy za najlepszą fotografię z perspektywy lotu ptaka.

Kolejnym etapem współpracy między naszymi grupami jest projekt nowej wspólnej wystawy, którą w roku 2017 znów pokażemy po obydwu stronach granicy.

Odwiedzamy naszych wschodnich sąsiadów, a oni nas, nie tylko w czasie oficjalnych plenerów, lecz również podczas prywatnych wypraw turystycznych.

Mamy nadzieję na dalszą współpracę ze stowarzyszeniami, z którymi już zaprzyjaźniliśmy się, a także na nawiązanie współpracy z nowymi grupami i stowarzyszeniami fotograficznymi.

Agnieszka SZAFIRSKA



Czerwiec 2016 r. Plener Worochta (Fot. Artur Wysocki)

POLSKIE DZIEJE KIJOWA (cz. I)

Proponujemy Czytelnikom „Krynicy” I część książki Pana Mariana Kałuskiego pt. „Polskie dzieje Kijowa”, którą PT Autor (od 1964 roku mieszkający w Australii) uprzejmie zgodził się udostępnić Polakom Ukrainy. Redakcja wyraża Mu za to serdeczną wdzięczność.

Ekskursy do królestwa Pani Historii są zawsze bardzo niebezpieczne, bowiem trudno w nich zachować obiektywizm. Dlatego ile osób, tyle spojrzeń na Przeszość.

Zachęcamy Państwa do lektury książki Pana Mariana Kałuskiego, przypominając, że jest to spojrzenie z drugiej półkuli naszego globu...

Redakcja

Kijów jest stolicą Ukrainy, a pod względem etnicznym miastem ukraińsko-rosyjskim. Był jednak czas, kiedy Kijów należał do Polski, i sto lat temu należał do miast, które były największymi skupiskami ludności polskiej na historycznych ziemiach Polski. Kijów – największe miasto i duma Ukrainy – był także największym „polskim” miastem na Ukrainie od XIX wieku do 1920 roku. Co więcej, w XIX w. – do 1863 roku – Polacy stanowili w mieście elitę społeczną i intelektualną, a następnie i do 1920 roku tę elitarność dzielili wspólnie z Rosjanami. Rosyjsko-ukraiński Kijów ukształtował się dopiero w XX w., a ukraińsko-rosyjski dopiero w drugiej połowie XX w. Jak słusznie piszą na swojej stronie internetowej pallotyni polscy pracujący w Kijowie: *„Polacy byli i są częścią historii tego miasta, częścią jego wspaniałości i rozkwitu... częścią jego upadków i zniszczeń. Polacy umierali razem z Kijowem i razem z nim się odradzali, nigdy nie stali na uboczu jego dziejów, na odwrót: kochali to miasto, bronili od zniszczeń i tworzyli go. Niestety historia miasta jak i całej Ukrainy często służy nie prawdzie, a władzy politycznej i zależnie od tej ostatniej przepisywana jest pod panującą ideologię”*. Upomnijmy się więc o to, aby nikt nie pomniejszał polskiej historii Kijowa i ogólnej historii miasta.

We Lwowie w 2010 roku ukazała się książka-przewodnik pt. „Ukraińskie miejsca w Polsce”, która powstała na podstawie publikacji historyka Towarzystwa Naukowego im. Tarasa Szewczenki, Swiatosława Semeniuka. W książce czytamy, że od V do X wieku niemal pół Europy zamieszkiwały plemiona ukraińskie, że Ukraińcy założyli Polskę, a Kraków był starym ukraińskim grodem, który w 999 roku pod naciskiem Niem-

ców dostał się pod polską okupację, trwającą po dziś dzień. Historyk polski Jarosław Stępień mówi krótko: *„tego nie można komentować, to można tylko wykpić”*. Jak dodaje – *„jeśli ma się pieniądze, można wydawać różne bzdury. Dodaje, że młode demokracje często idealizują swoją przeszłość”* (PolskieRadio.pl 7.5.2010).

Nie ma żadnych materialnych i historycznych przekazów o tym, że Ukraińcy założyli Polskę czy chociażby tylko od ponad tysiąca lat tak bardzo polski Kraków, w którym w całym tym okresie czasu Ukraińcy nie odgrywali najmniejszej roli w życiu miasta. Trudno więc mówić o rzekomo polskiej okupacji ponoć ukraińskiego Krakowa.

Natomiast można by było utrzymywać, że Polacy założyli Kijów. Upoważniają nas do tego przekazy historyczne i badania uczonych. Wszyscy znamy legendę mówiącą o tym, że Kijów został założony przez księcia Polan – Kija. No ale legendy są tylko legendami. Co innego stare źródła historyczne. Otóż kronikarz kijowski Nestor (ok. 1053 – po 1113), który był mnichem prawosławnego klasztoru Peczerskiego w Kijowie, w najstarszej kronice ruskiej – w najstarszym wykładzie dziejów Rusi Kijowskiej „Powieść wremiennych lat” (Powieści minionych lat, 1 wydanie ok. 1113) twierdzi, że Polanie nad Dnieprem i Polanie nad Wisłą wywodzą się od tych samych Słowian Naddunajskich, których nazywa Lachami i którzy osiedli się później nad Wisłą i od których wywodzą się Polanie, Pomorzanie i Mazowszanie i Lutycy. Nie rozwinął jednak tematu czy Polanie znad Wisły mają coś wspólnego z tymi znad Dniepru. Jednak bardzo prawdopodobnym jest to, że Polanie znad Dniepru zanim wywędrowali do swej nowej siedziby, zapewne byli nad Wisłą. Bo chyba nie na odwrót. Potwierdza to znany słowacki filolog, historyk i słowianoznawca, profesor sławistyki na uni-

wersytecie w Pradze Pavel Safarik (1795–1861), który uważa, że Polanie znad Dniepru wyszli prawdopodobnie z Kujaw polskich: „*Ci zaś Polanie, nad którymi panował Kij, byli to przybysze znad Wisły, którzy na Poddnieprzu osiedli. Ludność ta przychodząc do nowych siedlisk przynosiła z sobą ze starej Ojczyzny swe ulubione nazwy miejscowe: Kijów, Kijowiec, Kijewice itp.*” („Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, t. 4, Warszawa 1883). W tych nazwach według niektórych badaczy dotrwały ślady wspólności tych dwóch szczepów: polskiego nad Wisłą i ruskiego nad Dnieprem.

Polskie niekwestionowane dzieje Kijowa też są bardzo stare, gdyż liczą sobie ponad tysiąc lat. A więc są dużo, dużo starsze od ukraińskich, które swym początkiem sięgają XVI wieku, i rosyjskich (od XVII w.) dziejów miasta. Przyjmując, zgodnie z historią, że staroruski Kijów trudno nazwać ukraińskim czy rosyjskim miastem w dzisiejszym znaczeniu tych słów.

Kijów – dawna stolica Rusi Kijowskiej (obejmowała tereny dzisiejszej Rosji, Białorusi i Ukrainy), założonej przez skandynawskich Wikingów (Waregów) w 882 roku, była związana nie tylko z polskim dworem królewskim w Krakowie, ale nawet z pierwszym polskim dworem królewskim w Gnieźnie. Bowiem stosunki polsko-kijowskie zapoczątkował rok 992, a konkretnie posłowie polscy, których wysłał do księcia Włodzimierza po swoim wstąpieniu na tron polski książę Bolesław Chrobry w celu zawarcia przyjaznych stosunków z władcą Rusi Kijowskiej. Stosunki te układały się nieźle, skoro między 1008 a 1012 rokiem Bolesław Chrobry wydał swoją córką – niestety, nie znanego dziś imienia, za pierwotnego syna Włodzimierza – Świętopełka. Do Kijowa wraz z córką Bolesława podążył jako jej kapelan biskup kołobrzeski Reinbern oraz jej służba dworska. Włodzimierz nie chcąc widzieć Świętopełka jako swego następcę, uwięził go wraz z małżonką (Chrobrówną) i jej otoczeniem. W tamtych czasach jedyną reakcją na upokorzenie wodza mogła być tylko jego akcja zbrojna. Toteż Bolesław Chrobry ruszył na Kijów w 1013 roku, pustosząc po drodze zachodnie tereny Rusi Kijowskiej, jak nas poinformował ówczesny kronikarz niemiecki Thietmar, biskup Merseburga. Boje Chrobrego nie doszły do Kijowa, bo Włodzimierz wszedł z Bolesławem w układy, na mocy których Świętopełk z żoną odzyskali wolność.

Rodzinne kłótnie wewnątrz wikingowskiego domu Rurykowiczów po śmierci Włodzimierza Wielkiego w 1015 roku sprowadziły ponownie nieszczęście na Świętopełka i jego żonę. Po śmierci ojca Świętopełk objął tron kijowski. Jednak jego brat Jarosław dokonał zamachu stanu i objął tron oraz uwięził żonę Świętopełka. Świętopełk natomiast zbiegł do Polski prosząc Bolesława Chrobrego o pomoc w odzyskaniu tronu i żony. Bolesław Chrobry wyprawił się zbrojnie do Kijowa. Do pierwszej i jedynej bitwy wojsk polskich z oddziałami Jarosława doszło 22 lipca 1018 roku nad brzegami Bugu, w okolicach grodu Wołyn i ujścia rzeki Huczawy. Polacy rozgromili sromotnie Rusinów. Jarosław z pola bitwy uciekł do położonego daleko na północy Nowogrodu Wielkiego. Natomiast Bolesław Chrobry ruszył na Kijów, do którego wojsko polskie (5000 rycerzy) triumfalnie wkroczyło 14 sierpnia 1018 roku. Według Thietmara: „*kiedy (rycerze polscy) wkraczali do miasta, tamtejszy arcybiskup powitał ich uroczystością z relikwiami świętych oraz różnymi okazałościami w monastyrze świętej Zofii...*”. Z kolei polski kronikarz Gall Anonim w swojej, pisanej sto lat później, kronice przekazał nam piękną lecz prawdziwą lub nie historię o tym, że Bolesław Chrobry wkraczając do Kijowa dobył z pochwy miecza i uderzył nim w kijowską bramę miejską – Złotą Bramę. Później narodziła się druga legenda o szczerbcu, czyli właśnie o tym mieczu, którym Bolesław Chrobry ponoć uderzył o Złotą Bramę, a który od 1320 roku był mieczem koronacyjnym królów polskich. Jędrzej Giertych tak komentuje te dwie historie: „*Panuje ostatnio pogląd, że tradycja ta (odnośnie Złotej Bramy) nie jest prawdziwa, bo «Złotą Bramę» zbudowano dopiero później, a także i «szczerbiec» pochodzi zdaje się z czasów późniejszych. Trudno jednak przypuszczać, by taka tradycja nie miała jakiegś podstawy. Na miejscu, gdzie później zbudowano «Złotą Bramę» zapewne stała przedtem jakaś inna brama, a nowszy «szczerbiec», jako insygnium koronacyjne, być może wykonano na wzór dawnego, zaginionego lub zniszczonego*”. Wydarzenie to upamiętnił największy polski malarz obrazów historycznych Jan Matejko, malując w 1884 roku znany obraz „Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa” (159 x 109 cm). Obraz namalował artysta na zamówienie księcia Heliodora Czetwertyńskiego w Krakowie i ciągle znajduje się w zbiorach prywatnych. Obraz przedstawia Bolesława Chrobrego wjeżdżającego do Kijowa w 1018 roku, po zwycięskiej wyprawie mającej na celu przywrócenie na Rusi władzy jego zięcia kniazia Światopełka, usuniętego przez Jarosława. Po-

środku sceny król konno w zbroi i płaszczu na ramionach, z uniesioną prawicą z mieczem, przekracza bramę. Po prawej stronie od niego Światopełk na koniu, po lewej córka króla, a żona Światopełka, za nią biskup kołobrzegi Reinbern. Na pierwszym planie, po prawej stronie, poniżej chorągwi z ikoną, biskup Atanazy w kapie i mitrze podaje zwycięzcy dary na złotej tacy; za nim orszak bojarów i diaków. Po lewej stronie grupa kobiet, wśród nich siedząca w rodzaju lektyki (zw. Vinaigrette, używanej dopiero w początkach XVIII w.) Predysława, siostra Światopełka. U góry na balkonach murów postacie żołnierzy; poprzez podniesioną do góry bramę widać kopuły cerkwi. Wcześniej obraz pod tytułem „Wjazd Chrobrego do Kijowa” namalował około 1837 roku inny znany malarz polski Piotr Michałowski. Znajduje się on w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Kijów wypłacił Bolesławowi Chrobremu wielką kontrybucję. Nie udało się jednak władcy Polski odzyskać swej córki, uprowadzonej przez Jarosława do Nowogrodu. Na nic zdała się nawet branka siostr, żony i macochy Jarosława jako zakładniczek. Z tego wynika, że Jarosław najprawdopodobniej ją zamordował.

Przywrócony na tron przez Bolesława Chrobrego Świętopełk już w 1019 roku ponownie utracił go na rzecz Jarosława (Świętopełk zginął w bitwie z bratem), który tym razem sprawował władzę w Kijowie do 1054 roku. Na wielkie nieszczęście Polski. Bowiem w 1031 roku Jarosław wspólnie z Niemcami (protoplaści Stalina i Hitlera!) dokonał agresji na Polskę, odrywając od niej Grody Czerwieńskie. Później stosunki polsko-ruskie uległy poprawie, gdyż w 1041 roku Jarosław wydał swą siostrę Dobrognieję-Marię za władcę Polski Kazimierza Odnowiciela (1034-58). Stała się ona matką dwóch władców Polski: króla Bolesława Śmiałego (1058-79) i Władysława I Hermana (1079-1102).

Kijowianie, w przeciwieństwie do Jarosława Mądrego, nie byli jeszcze źle ustosunkowani do Polaków, bo chrześcijaństwo stanowiło wówczas jedność. Poza tym Kijowowi zagrozili Pieczyngowie. Kronika ruska pisze, że kiedy Bolesław Chrobry i Polacy wkraczali do miasta, tamtejszy arcybiskup prawosławny Jonasz powitał ich uroczysto z relikwiami świętych oraz różnymi innymi okazalosciami w monasterze św. Zofii. Z Kijowa Bolesław Chrobry rozesłał liczne poselstwa, m.in. do cesarza bizantyjskiego Bazylego Bułgarobójcy i cesarza niemieckiego Henryka II.

Z podobnych powodów co Bolesław Chrobry wyprawiał się dwa razy do Kijowa – 2 maja 1069 i w 1076

roku książę Polski Bolesław Śmiały, aby przywrócić tron kijowski Izjasławowi, który przez ożenek ok. 1044 roku z Gertrudą, córką króla Polski Mieszka II, był przyjaźnie nastawiony do Polski. Najpierw Izjasława pozbawił tronu kijowskiego stryj Wszesław, którego wkrótce zastąpił rodzony brat Izjasława – Wsiewołod. Działo się to prawie zaraz po rozłamie Kościoła chrześcijańskiego na zachodni (rzymskokatolicki) i wschodni (prawosławny) w 1054 roku. Ruś Kijowska stała się prawosławna i korzystanie przez Izjasława z pomocy „łacinników-katolików” nie podobało się kijowianom. Tym bardziej, że mnisi z monasteru Ławry Peczerskiej twierdzili, iż „*diabeł przybiera postać Lacha (Polaka)*”. Kiedy więc Izjasław został pozbawiony polskiej ochrony, los jego stał się przesądzony. I nie pomogła, bo pomoc nie mogła, nowa interwencja zbrojna Bolesława Śmiałego w Kijowie. Izjasław pozbawiony polskiej ochrony (jak podaje ruski latopis, „*rozłokowanych w ziemi kijowskiej Polaków potajemnie zabijano*”) ponoć podupał na zdrowiu i zmarł 3 października 1078 roku, a wdowa po nim – polska księżniczka Gertruda najpierw przebywała u swego syna Jaropełka na Wołyniu, a po jego wypędzeniu z tej dzielnicy w 1084 roku została uwięziona jako zakładniczka przez Włodzimierza Monomacha, późniejszego księcia kijowskiego. Na tron powrócił Wsiewołod.

Tak jak Bolesław Chrobry w 1018 roku, tak i Bolesław Śmiały przywrócił panowanie Polski w Grodach Czerwieńskich, które Ruś Kijowska w najazdach zbrojnych odrywała od Polski w 981 i 1031 roku.

Po śmierci Wsiewołoda w 1093 roku tron kijowski objął Rurykowicz i Piast jednocześnie – Świętopełk II Michał (1050-1113), trzeci i najmłodszy syn Izjasława i Gertrudy. Gertruda jest autorką łacińskich modlitw prozą poetycką, zapisanych w Kodeksie Gertrudy i z tego tytułu jest uważana jako najdawniejszy pisarz polski znany z imienia. Włodzimierz Monomach był wielkim księciem kijowskim w latach 1113-25, który wtrącał się w sprawy polskie, m.in. popierając palatyna Skarbimira w jego walce z Bolesławem Krzywoustym. Po śmierci Włodzimierza Monomacha do końca XII stulecia na tronie kijowskim zasiadało aż 28 (!) książąt, a podczas rozbicia dzielnicowego Ruś była podzielona aż na 72 księstwa-dzielnice (Polska w latach 1138-1320 na 13 księstw). W okresie rozbicia dzielnicowego Polski i Rusi największe kontakty – i to pokojowe – z Rusią Kijowską utrzymywało księstwo krakowsko-sandomierskie.



Jan Matejko. „Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa”

Pomimo tych konfliktów zbrojnych polsko-ruskich i interwencji polskich w Kijowie, od X w. były utrzymywane stałe kontakty handlowe krakowsko-kijowskie, a od XII w. wrocławsko-kijowskie. We wszystkich wielkich europejskich ośrodkach handlowych, a do takich zaliczał się Kijów, były kwartały zamieszkałe przez

kupców obcych narodowości. W Kijowie było dużo kupców polskich, bo przez Kraków i Sandomierz prowadziły ważne szlaki handlowe z Kijowa do zachodniej Europy. Historyk polski Tadeusz M. Trajdos pisze: „...już w grodzie Jarostawa przy bramie lackiej istniała Lacka Słoboda – dzielnica Polaków obok dzielnicy Niem-

ców i Włochów, a przy cerkwi Mikołaja – targowa osada węgierska...” („Kościół katolicki na ziemiach ruskich Korony i Litwy za panowania Władysława II Jagiełły, 1386–1434”, Wrocław 1983). Istnieje także hipoteza, że Jarosław Mądry część jeńców polskich z jego wyprawy zbrojnej na Polskę w 1031 roku osadził w Kijowie i to oni utworzyli polski kwartał-ulicę w Kijowie. Dlatego żaden historyk chcący uchodzić za wiarygodnego uczonego nie będzie, bo nie może w świetle faktów historycznych, kwestionować istnienia od czasów księcia Jarosława dzielnicy Kijowa zwanej Lacką Słobodą, która była kwartałem polskiej gminy kupieckiej, rzemieślniczo-targowej na Starym Mieście, ośrodkiem handlu położonym nad Dnieprem. Obecnie w tym miejscu znajduje się główna arteria Kijowa – Kreszczatik oraz Plac Niepodległości. Gmina polska położona była między Złotą i Lacką Bramą. W centrum tej dawnej polskiej dzielnicy wybudowano w 1842 roku polski kościół katolicki pw. św. Aleksandra, który obecnie jest konkatedrą katolickiej diecezji kijowsko-żytomierskiej. W Kijowie był kwartał polski, stąd prawdopodobnie już w XI w., a na pewno w XII w., była w Kijowie także brama miejska, zwana Lacką (Polską – Lackie Wrota), z której wyjeżdżało się z miasta na zachód, a więc w stronę Polski. Jednak jej nazwa pochodzi raczej od polskiego kwartału czy ulicy w jej sąsiedztwie. Od wczesnego średniowiecza i po dziś dzień wyraz „Lach” i przymiotnik „lacki” na Rusi, a szczególnie na Rusi ukraińskiej, związane były z Polakami i katolikami. Dla Ukraińca po dziś dzień Polak to Lach, a katolicyzm przez wieki uchodził za „*lacką wiarę*”. Bowiem przed schizmą wschodnią (oddzielenie się prawosławia od komunii z Rzymem w 1054 r.) rozwijał się w Kijowie również obrządek łaciński i był tu przed tym rokiem nawet biskup katolicki (Aleksy). Dopiero po zerwaniu z Rzymem biskup Aleksy opuścił Kijów, wiarę katolicką zaczęto uważać jako pogańską, a w postaci Polaka wyobrażano sobie diabła (S. Mękowski). Latopis ruski z XII wieku pisze o kolonii „*bezbożnych Lachów*” w Kijowie.

Polacy od ponad tysiąca lat mieszkają w Kijowie, była polska dzielnica – Lacka Słoboda i Polska Brama – Lacka Brama. Do tej pory nie kwestionowali tego nawet szowinistyczni historycy rosyjscy. Niestety, dzisiaj Ukraińcy przepisując po swojemu całą historię ziem obecnej Ukrainy, m.in. depolonizują historię Ukrainy i Kijowa. I tak w 1999 roku ukraiński historyk-archeolog S. Kłymowskyj wysunął hipotezę, że nazwa Lacka Brama nie ma nic wspólnego z Polakami

i ma swój źródłosłów w ukraińskim wyrazie „liada” – karczowisko. Jednak nawet jeśli ma on rację, ale czy ją na pewno ma?, to nie zmienia to faktu, że w Kijowie mieszkali Polacy i że był w mieście kwartał (ulica-dzielnica) polska. [...]

[...] Pomimo różnych konfliktów polsko-ruskich były utrzymywane nie tylko stałe kontakty handlowe, ale istniały także powiązania dynastyczne Polski z Rusią Kijowską.

Córki polskich książąt były żonami książąt kijowskich: poza wspomnianą już córką Bolesława Chrobrego, która wyszła za mąż za księcia Świętopełka, m.in. córka króla polskiego Mieszka II – Gertruda (1025–1108) od 1054 roku była żoną księcia Izasława; córka księcia Bolesława Krzywoustego – Agnieszka (1137–1182) była od 1155 roku żoną Mściśła Izasławicza; córka księcia Kazimierza Sprawiedliwego – Maria Kazimierówna Krakowska od 1179 roku była żoną księcia Wsiewołoda IV Czernego. Córkami książąt kijowskich, które zostały księżniczkami polskimi, były m.in.: wspomniana córka Włodzimierza Wielkiego – Dobroniega (1012–1087), która w 1041 roku poślubiła księcia polskiego Kazimierza Odnowiciela; córka wielkiego księcia Świętopełka – Zbysława (1085/1090–1114) od 1103 roku była żoną księcia polskiego Bolesława Krzywoustego; córka wielkiego księcia Wsiewołoda II Olegowicza – Zwinisława (Wierzchosława) Wsiewołodówna (zm. ok. 1160) w 1142 roku wyszła za mąż za piastowskiego księcia śląskiego Bolesława Wysokiego. Nie bez słuszności stwierdza historyk ukraiński Myron Korduba (zm. 1947) na temat owych polsko-ruskich małżeństw międzyksiążęcych, iż „*nawet nowoczesna analiza chemiczna nie potrafiłaby odróżnić krwi piastowskiej od krwi Rurykowiczów*”. Polacy byli obecni też na dworach książąt kijowskich i nie tylko przy księżniczkach polskich.

Kijów Rurykowiczów był na owe czasy wielkim miastem (30 tys. mieszkańców). Miastem, które żyło głównie z handlu. Wielki polski ośrodek handlowy w Krakowie leżał na ważnym europejskim szlaku handlowym z Kijowa do Pragi i Ratyzbony i był ważnym punktem etapowym. Innym punktem etapowym na szlaku handlowym z i do Kijowa był polski Sandomierz. Stąd w Kijowie byli kupcy polscy, a także włoscy (genueńscy, weneccy i z Pizy), Francuzi, Ormianie, Morawianie i Grecy, z których kupcy niemieccy, czescy i francuscy podróżowali przez Polskę. Władcy kijowscy chcąc nie chcąc musieli być względnie tolerancyjni. Nie byli jednak tolerancyjni wobec Polaków, chociaż Polska

od 1090 roku nie stanowiła dla Rusi Kijowskiej żadnego zagrożenia. Widać, że drażniło ich to samo, co po dzisiejsze czasy drażni obok Ukraińców w jeszcze większym stopniu Rosjan: fakt, że Polacy choć Słowianie nie są wiary ruskiej (prawosławnej) i są kultury zachodniej. Potwierdza to wspomniana wyżej kronika kijowska z XII w. podająca informację o kolonii „*bezbożnych Lachów*”, czyli katolickich Polaków w mieście. Ta wrogość prawosławnych władców kijowskich była powodem m.in. tego, że książę Izasław w 1174 roku nałożył na Polaków kijowskich specjalną daninę-podatek (L. Podhorodecki). Nie chiano tu polskich kapłanów, dlatego na początku XIII w. pierwszy drewniany kościół i klasztor p.w. Najświętszej Maryi Panny przy Bramie Lackiej zbudowali benedyktyni ze szkockiego opactwa w Wiedniu (W. Abraham). Kościół ten służył m.in. kupcom z Wrocławia. Objęli go później polscy dominikanie z Krakowa, bowiem książę kijowski Włodzimierz w 1228 roku wyraził zgodę na prowadzenie przez nich działalności duszpasterskiej w Kijowie. Uczynił to jednak tylko dlatego, że św. Jacek wyleczył księżną córkę. Przybył tu zapewne w 1230 roku dominikanom przewodził św. Jacek Odrowąż (założyciel klasztoru w Krakowie) i jego brat bł. Czesław – dzisiaj patron Wrocławia. Kiedy wkrótce potem Jacek Odrowąż opuszczał Kijów, pozostawił Godyma na stanowisku przeora, a po nim tę godność sprawował Marcin z Sandomierza. Jednak przed 1240 rokiem św. Jacek powrócił do Kijowa i założył tu szkołę, do której uczęszczały dzieci miejscowych katolików. Klasztor kijowski polskich dominikanów zniszczył najazd mongolski na stolicę Rusi Kijowskiej w 1240 roku. Wprost cudownie ocalał św. Jacek Odrowąż, jednak zginął w kijowskich Pieczarach śmiercią męczeńską towarzysząc świętego, przeora kijowskiego Godym oraz 44 innych zakonników („Hagiografia polska”, 1972).

Św. Jacek Odrowąż uchodząc z Kijowa przed Tatarami uniósł z sobą późnogotycką alabastrową figurę Matki Najświętszej, która jest dzisiaj czczona w Polsce jako cudowna, pod nazwą Madonny Jackowej w katedrze przemyskiej. Wydarzenie to utrwalił na obrazie „Św. Jacek unoszący statuę Matki Boskiej z Kijowa” malarz polski Antoni Gramatyka (zm. 1922). Zachowały się po dziś dzień legendy o św. Jacku związane z jego pobytem w Kijowie.

Najazd mongolski na Kijów w 1240 roku zniszczył całe wielkie miasto i jego mieszkańców (okrucieństwo Mongołów potwierdziły wykopaliska archeologiczne), które popadło w ruinę i aż do XIX w. było małą pro-



Święty Jacek Odrowąż

wincjonalną miściną (najpierw pod władztwem mongolskim, litewskim od 1362, polskim od 1569 i rosyjskim od 1654/1795 do połowy XIX w.). [...]

[...] Prawie cały Kijów i jego mieszkańcy (30 tys.; M.E. Hamm) zniknęli z powierzchni ziemi, jedynie na kijowskim Podolu tliło się życie ludzkie. Mieszkało tu ok. 1200-1500 ludzi. Jednak i wówczas odnotowano tu obecność Polaków. Pośel papieża Innocentego IV do chana mongolskiego Giovanni Carpine w drodze na wschód w 1245 roku, a więc zaledwie 5 lat po zniknięciu wielkiego miasta z powierzchni ziemi, zatrzymał się w tym, co pozostało po Kijowie i w swojej relacji z podróży pisze, że spotkał tam kupców polskich. Jak pisze Leszek Podhorodecki, w kilka lat po zniszczeniu Kijowa, już po wizycie Carpine w miasteczku, powrócili do „matki miast ruskich” dominikanie, którzy koło Żytniego Targu na Podolu zbudowali sobie nowy,

drewniany kościółek św. Mikołaja i klasztor. Niebawem osiedlili się tu również franciszkanie, zapewne z erygowanej przez księcia polskiego Bolesława Krzywoustego w 1124 roku diecezji lubuskiej, która była sufraganią metropolii gnieźnieńskiej. Jej biskup Wilhelm, były kanonik wrocławski, w 1257 roku uzyskał zatwierdzenie papieskie jurysdykcji biskupów lubuskich na Rusi. W drugiej czy trzeciej dekadzie XIV w. Ruś oddzieliła się od biskupstwa lubuskiego i w mieście rezydowali nawet dwaj biskupi katoliccy: Henryk – przed 1334 i Jakub przed 1378 rokiem (wymieniany w dokumentach lwowskich 1371-78). Po 1378 roku biskupem tytularnym kijowskim został biskup sufragan gnieźnieński Mikołaj. Świadczy to o tym, że katolików, głównie Polaków, nigdy nie brakowało w Kijowie przed oficjalną erekcją diecezji kijowskiej ok. 1400 roku przez króla Władysława Jagiełłę.

Kijów z mongolskiego licholecia (tak nazywa się okres panowania mongolskiego na Rusi Kijowskiej) zaczął dźwigać się po zajęciu miasta przez Litwę w 1362 roku, a szczególnie po 1385 roku, czyli po unii polsko-litewskiej. Kijów został teraz ośrodkiem udzielnego księstwa Giedyminowiczów, którzy wzniesli tu pierwszy – drewniany zamek, który później rozbudowywali Polacy (zniszczony podczas buntu Chmielnickiego). Miasto stawało się ponownie dużym ośrodkiem handlowym, o czym świadczą odnalezione tu przez archeologów liczne pieniądze – głównie polskie, litewskie, węgierskie, nowogrodzkie. Kolejny książę kijowski z rodu Giedyminowiczów – Włodzimierz Olgierdowicz, po unii polsko-litewskiej, usiłował uniezależnić się od nowego państwa polsko-litewskiego, przez co naraził się na zbrojny konflikt z królem polskim Jagiełłą. Namieśnik Jagiełły na Litwie, książę Witold, wspomagany przez wojsko polskie w 1394 roku zajął miasto, a Włodzimierz, według jednych historyków uszedł do

Moskwy, a według innych otrzymał księstwo kopylskie i słuckie i stał się wasalem Witolda. Po śmierci Witolda w 1430 roku władzę w Wielkim Księstwie Liwskim w imieniu króla polskiego Władysława Jagiełły sprawował jego brat Świdrygiełło. Po nieudanej próbie usamodzielnienia się na Litwie, w 1437 roku poddał się on Koronie Polskiej i w Krakowie złożył hołd z ziemi wołyńskiej i kijowskiej i ślubował razem ze swoją drużyną i strażnikami zamków (m.in. i z Juraszem z Kijowa, strażnikiem zamku kijowskiego), że wierni będą królowi i Koronie Polskiej, „*a po zejściu jego innego nie chcą znać swoim panem tylko króla polskiego*”.

Dzieje ziem ukraińskich są słabo zbadane, pełne sprzecznych informacji. Według Leszka Podhoreckiego („Dzieje Kijowa”, Warszawa 1982), po zniszczeniu Kijowa przez Tatarów w 1416 roku nowym namiestnikiem miasta został Andrzej Olelkowicz Holszański, który energicznie przystąpił do odbudowy miasta. Jego córką była księżniczka Sońka-Zofia (ok. 1405–1461 Kraków), która w 1422 roku została czwartą i ostatnią żoną króla Władysława Jagiełły i była matką dwóch królów polskich: Władysława 1434–44 i Kazimierza Jagiellończyka 1447–92. Królowa Zofia przeszła do polskiej historii także jako inicjatorka pierwszego tłumaczenia Biblii na język polski – tzw. „Biblia królowej Zofii” (1453–55). Zofia – królowa polska wychowywała się w Kijowie.

W okresie litewsko-polskim powracało powoli dawne znaczenie Kijowa na ziemiach ukraińskich, pomimo najazdów tatarskich na miasto w 1416, 1449 i 1482 roku, które je niszczyły i dziesiątkowały jego mieszkańców. W 1411 roku odwiedził miasto król polski Władysław Jagiełło i w roku następnym utworzył katolickie biskupstwo kijowskie jako sufraganię polskiej archidiecezji lwowskiej (niektórzy historycy utrzymują, że Jagiełło utworzył diecezję kijowską już ok. 1405 roku); jednak katedra miała być zbudowana dopiero w 1433 roku (M.F. Hamm). Jednocześnie w 2. poł. XV w. Kijów stał się ponownie siedzibą metropolii prawosławnej, do której należały wszystkie diecezje prawosławne Rzeczypospolitej. Kijów, na wzór polskiej administracji, został w 1471 roku miastem wojewódzkim (województwo kijowskie było do 1654/1686 największym województwem w Polsce, a wojewodowie sprawowali władzę w imieniu króla polskiego), w 1494 roku król Polski Aleksander Jagiellończyk nadał miastu prawa magdeburskie, rozszerzone następnie przez jego następcę, króla Zygmunta I w 1514 roku. Prawo to było w użyciu do 1834 roku. Powoli Kijów stawał się



Madonna Jackowa. Przemyśl, Bazylika Mniejsza p.w. św. Jana Chrzciciela i Wniebowzięcia NMP

ośrodkiem życia umysłowego ziem ukraińskich Rzeczypospolitej, szczególnie po powstaniu Kolegium Kijowsko-Mohylańskiego, założonego w 1632 roku przez prawosławnego metropolitę kijowskiego Piotra Mohylę.

Z polskich czasów Kijowa mamy dwa opisy miasta: Niemca Reinholda Heidensteina w napisanych po łacinie „Dziejach Polski od śmierci Zygmunta Augusta do roku 1594” (wyd. polskie 1857) i w dziele Francuza w służbie polskiej (1630-48) Guillaumea le Vasseur de Beauplan „Description de l’Ukraine, qui sont plusieurs provinces du Roy aume de Pologne, Contenus depuis les confins de la Moscovie, jusques aux limites de la Transilvanie. Ensemble leurs moeurs, façons de vivres et de faire la Guerre. Par le Sieur de Beauplan („Opisanie Ukrainy, którą tworzą liczne prowincje Królestwa Polskiego leżące pomiędzy granicami Moskowi i Transylwanii. Wraz z wiadomościami o zwyczajach, sposobie życia i prowadzenia wojny jej mieszkańców. Przez Jaśnie Wielmożnego Pana de Beauplan”), wydane w Rouen (Francja) w 1651 roku, które następnie zostało przetłumaczone na język angielski (1704), niemiecki (1780), polski (1822) i rosyjski (1832).

W 1569 roku została zawarta w Lublinie unia, zgodnie z którą Polska i Wielkie Księstwo Litewskie stanowiły jedno nierozdzielne państwo pod jednym królem. Na wniosek ruskich (!) magnatów i szlachty ziem ukraińskich Wołyń, Podlasie i Ukraina wraz z Kijowem zostały włączone do Korony (Polski). Województwo kijowskie stało się częścią prowincji małopolskiej. W granicach Polski Kijów był *de jure* w latach 1569–1686, a *de facto* do wybuchu powstania kozackiego w 1648 roku i w latach 1651–54.

Zaraz po przyłączeniu ziem ukraińskich do Polski, w 1570 roku władze polskie dokonały pierwszej lustracji Kijowa. W opracowanym raporcie napisano, że drewniany zamek kijowski ma siedem baszt z 23 działami i na jego terenie był kościół i cerkiew, natomiast samo miasto nie posiadało rynku, cerkwie są od czasów mongolskich zniszczone, a chaotycznie rozmieszczonych domów było 808, które zamieszkiwało około 5000 osób. Miasto nie leżało jak kiedyś w okolicach Górnego Kijowa, w okolicach Soboru św. Zofii, lecz nad Dnieprem w dzisiejszej dzielnicy Padół.

Pomyślny rozwój Kijowa w okresie polskim zawdzięczało miasto w znacznym stopniu królom polskim, którzy otoczyli je opieką i nadali jemu szereg przywilejów, jak np. prawo składu, co przyczyniło się

do rozwoju handlu. Kijów pośredniczył w polskim handlu między państwem moskiewskim i południową Polską (tj. południowymi ziemiami ukraińskimi Rzeczypospolitej), a także z Krymem i Mołdawią; był ważnym ośrodkiem handlu futrami, skórą, drewnem i solą czarnomorską. Stąd w mieście było dużo kupców z całej Polski. W 1586 roku król Stefan Batory nakazał odbudować Górne Miasto i nadał mu prawa miasta królewskiego, a Sejm Rzeczypospolitej z 1607 roku postanowił odbudować spalony zamek. Jednak polski Kijów ciągle rozbudowywał się poniżej położonego dawnego ruskiego miasta – tzw. Wysokiego (Górnego) Miasta, na terenie zwanym Padół i stał się w XVII w. liczniejszy niż Wysokie Miasto, i zachował dominującą rolę gospodarczą aż do pożaru w 1811 roku. W 1595 roku katolicki, czyli polski, biskup kijowski Józef Wereszczyński opracował bardzo ciekawy projekt rozwoju i zabudowy Kijowa. W 1614 roku na Padole biskup katolicki Krzysztof Kazimierski rozpoczął budowę murowanej katolickiej katedry. Katolicy mieli tu cztery świątynie: katedrę, kościół dominikanów w rynku p.w. św. Mikołaja, kościół bernardynów oraz kościół jezuitów. W 1622 roku Padół był opasany częstokołem, basztami i fosą i miał swój odrębny herb. Liczba mieszkańców Kijowa do tego czasu uległa podwojeniu i wynosiła ponad 10 tys. osób. W latach 1608–18 wojewodą kijowskim był wielki wódz polski, hetman Stanisław Żółkiewski, który dbał o Kijów, uzyskawszy u króla Zygmunta III szereg przywilejów dla miasta. W okresie polskim ustabilizowała się ostatecznie rola Kijowa jako pośrednika w kontaktach handlowych między Polską, Wielkim Księstwem Litewskim, państwem moskiewskim, Krymem i Mołdawią.

Ciekawostką jest fakt, że wojewodzina kijowska została królową Polski. Była to Maria Kazimiera, córka margrabiego francuskiego Henryka de la Grange d’Arquien, która 3 marca 1658 roku poślubiła w Warszawie Jana Zamoyskiego, w latach 1658–59 wojewodę kijowskiego. Po śmierci męża Maria Kazimiera wyszła w 1665 roku za mąż za Jana Sobieskiego, który w tymże roku został marszałkiem wielkim koronnym, w 1666 roku hetmanem polnym, w 1668 roku hetmanem wielkim koronnym i po kilku zwycięstwach nad Turkami, które przyniosły mu sławę, został wybrany w 1674 roku królem Polski jako Jan III Sobieski.

Po unii rozpoczął się proces intensywnych wpływów polskich na ziemię ukraińską oraz także obustronnego przenikania wpływów kulturowych i religijnych, szczególnie w okresie reformacji, do której przy-

łączyła się duża część dotychczas prawosławnej szlachty ziem ukraińskich, następnie kontrreformacji i po zawarciu unii brzeskiej w 1596 roku, czyli połączeniu Cerkwi prawosławnej w Polsce z Kościołem katolickim. Większość szlachty ukraińskiej, która przyjęła nowinki protestanckie, nie powróciła później do prawosławia, a tylko przeszła na rzymskokatolicyzm i przez to zupełnie się spolonizowała; z czasem także wielu mieszczan ruskich przeszło na katolicyzm i stało się Polakami. Podobnie było ze szlachtą prawosławną, która zaakceptowała unię brzeską, z tym, że proces jej polonizacji potrwał trochę dłużej – do połowy XVIII w. [...]

[...] Jednak za spolonizowanie się wyższych sfer ruskich/ukraińskich i za to, że Polacy należeli do zamężnej grupy mieszkańców ziem ukraińskich, przyszło narodowi polskiemu bardzo słono zapłacić. [...]

[...] Zatrzymajmy się przy wpływach polskich na przykład na szkolnictwo rusko-ukraińskie i muzykę ruską-ukraińską w Kijowie.

W 1615 roku prawosławne bractwo kijowskie zorganizowało przy monasterze Bohojawleńskim szkołę, w której, oczywiście z własnej woli mnichów, nauczano języka polskiego. Z kolei w 1631/1633 prawosławny metropolita kijowski Piotr Mohyla przy Ławrze Peczerskiej zorganizował Kolegium Kijowskie według wzorów kolegiów jezuickich w Polsce – pierwszą wyższą uczelnię ruską-ukraińską na ziemiach polskich, którą uznał oficjalnie król polski Władysław IV. Aż do XVIII w. język polski był tam uprzywilejowanym językiem. Z Kolegium Kijowsko-Mohylańskiego wyszło szereg pisarzy i poetów rusko-polskich. W drukarni peczerskiej, założonej w 1616 roku, drukowano książki polskie. Dlatego można przez to śmiało powiedzieć, że pierwszą drukarnią polską w Kijowie była ruska drukarnia prawosławnej Ławry Peczerskiej. W 1646 roku odbyła się w Kijowie głośna dysputa w języku polskim na temat pochodzenia Ducha Świętego pomiędzy polskim jezuitą Mikołajem Ciechowskim a rektorem Kolegium Kijowsko-Mohylańskiego Innocentym Gizelem.

Mikołaj Pawłowicz Dyłecy wydał w Wilnie w 1678 roku po polsku „Zasady gramatyki muzycznej”, które wydał najpierw po ukraińsku w Smoleńsku (Rosja). W książce tej Dyłecy pisze, jak polska kultura muzyczna przenika na wschód – do Kijowa – już wówczas rosyjskiego i samej Moskwy. Z Polski przejęła Ruś Kijowsko-Moskiewska pismo nutowe na liniach, tzw. znaki kijowskie, które wyrugowały dawne pismo

cerkiewnej muzyki, tzw. „*krujki*”; również z Polski dostał się najpierw do Kijowa śpiew wielogłosowy – „*partesnyj spiw*”.

W 1054 roku patriarcha konstantynopolski i Kościoły na wschodzie Europy – także na Rusi oderwały się od Rzymu (schizma wschodnia) i powstały niezależne kościoły prawosławne, będące w łączności z Konstantynopolem. Niektórzy duchowni prawosławni sympatyzowali z ideą unii Kościoła Zachodniego z Kościołem Wschodnim (prawosławnym). Do nich należał Izydor, który w 1436 roku został metropolitą kijowskim i całej polskiej Rusi. Na soborze we Florencji w 1439 roku doszło do podpisania aktu unii między zebranymi tam duchownymi katolickimi i prawosławnymi. Papież Eugeniusz IV kreował Izidora kardynałem, a w 1441 roku został legatem papieskim na Polskę, Litwę i Ruś w celu wprowadzenia w życie postanowień unii florenckiej. Niestety, prawosławni w Polsce jej nie przyjęli. Do unii większości wiernych prawosławnych w Rzeczypospolitej z Kościołem katolickim doszło dopiero na synodzie odbytym 6-10 października 1596 roku w Brześciu nad Bugiem. Ale zanim do niej doszło, król Zygmunt III chciał wzmocnić prawosławie w Polsce, widząc w tym korzyści dla Polski. W 1588 roku powziął zuchwałą i genialny zamiar przeniesienia do Rzeczypospolitej patriarchatu konstantynopolitańskiego i oddania mu na stolicę patriarszą Kijowa. Projektu nikt nie poparł i wówczas król i kanclerz Jan Zamoyski przystąpili do dzieła, będącego błędem – do zjednoczenia Cerkwi prawosławnej w Polsce z Rzymem (Paweł Jasienica). Do unii przystąpił metropolita kijowski Michał Rahoza, który przez króla Zygmunta III został mianowany pierwszym zwierzchnikiem Cerkwi unickiej i pierwszym unickim metropolitą Kijowa, Halicza i całej Rusi (w miejsce uprzednio zlikwidowanej metropolii prawosławnej). Po zajęciu Kijowa przez Rosję w 1654 roku metropolici kijowscy rezydowali w Wilnie. Z biegiem czasu także i Cerkiew unicka uczestniczyła w życiu polskim i uległa dużej polonizacji. Szereg jej biskupów było z urodzenia Polakami, jak np. metropolici kijowscy: Mikołaj Korsak 1637-40, Cyprian Żochowski 1674-93, Jazon Smogorzewski 1781-88 – fundator istniejącej po dziś dzień unickiej cerkwi Zaśnięcia Matki Bożej w Warszawie (1784) i Jozafat Ignacy Bułhak 1817-38 – zwierzchnik Cerkwi unickiej w Imperium Rosyjskim z tytułem metropolity kijowskiego. Chociaż nie byli Polakami z urodzenia, to: metropolita kijowski 1599–1613 Hipacy Pocij do 1572 roku był sekretarzem

króla Zygmunta Augusta; Tadeusz Teodozy Rostocki 1788–1805 – jako pierwszy w historii biskup unicki zasiadł w polskim Senacie (1790) i był zwolennikiem Konstytucji 3 Maja; w 1790 był odznaczony Orderem Świętego Stanisława, a w 1791 Orderem Orła Białego.

Przyłączenie Kijowa do Polski spowodowało większy niż dotychczas napływ Polaków do Kijowa. Oblicza się, że w okresie I Rzeczypospolitej liczba Polaków w Kijowie wynosiła zawsze ok. 10% ludności, czyli od kilkuset do 1500 osób (w 1622 r. Kijów miał ok. 15 tys. mieszkańców). Byli to urzędnicy, szlachta, żołnierze i duchowieństwo katolickie. Z polskich dworów szlacheckich w mieście na początku XVII w. odznaczały się dwory: Adama Kisiela, książąt Rużyńskich, później Chodkiewiczowej, wojewodziny wileńskiej, Proskurów, Woroniczów, Szpraskich, Trypolskich, Demontów, Olizarów, Sulimowskiego, Stefana Aksaka, Tyszkiewiczów i Bykowskich. W XVI w. były w Kijowie tylko dwa kościoły katolickie – stary kościół dominikanów i katedra drewniana sprzed 1569 roku, a w XVII w. już cztery kościoły: katedra (w 1614 przystąpiono do budowy nowej, murowanej katedry św. Mikołaja o trzech nawach), stary kościół dominikanów pw. św. Mikołaja (nowy z 1618–40, ufundowany przez sędziego ziemskiego kijowskiego Stefana Aksaka), bernardynów z 1623 roku fundacji Krzysztofa Sulimowskiego i jezuitów (lata 40. XVII w.). Dominikanie pod koniec XVI w. założyli w Kijowie pierwszą drukarnię w mieście, która była oczywiście drukarnią polską, drukującą publikacje łacińskie. Bernardynów sprowadził w 1623 roku biskup kijowski Bogusław Radoszewski, z tym, że po raz pierwszy polscy bernardyni przybyli tu w 1471 roku, jednak po krótkim czasie opuścili tu-tejszą placówkę misyjną. Z pomocą materialną ze strony polskich mieszczan od 1635 roku mieli oni tu kościół i klasztor, w którym przebywało 30 zakonników. Wielu z nich zginęło podczas powstania kozackiego w 1648 roku; braci Andrzeja ze Lwowa i Walentego z Wieliczki Kozacy utopili w Dnieprze. W 1651 roku podczas walk o Kijów spalił się kościół i klasztor bernardynów. Po raz trzeci polscy bernardyni przybyli do Kijowa w połowie XIX w. i urządzili tu kapelanię, którą przez trudności czynione przez carat wkrótce musieli zlikwidować. Biskup Radoszewski sprowadził także do swej diecezji – do Chwastowa koło Kijowa w 1620 roku jezuitów. W 1645 roku przyjechali do Kijowa dwaj pierwsi jezuici z Krakowa: ojcowie Stanisław Śmiałkowicz i Mikołaj Cichowiusz i w 1647 roku utworzyli kolegium. Po przyłączeniu Kijowa do Mos-

kwy w 1654 roku i podczas wojny polsko-moskiewskiej w Kijowie pracowało w ukryciu dwóch księży z kolegium w Kijowie i Białej Cerkwi. Biskup kijowski w latach 1592–98 Józef Wereszczyński zbudował pałac biskupi, wokół którego powstała katolicka, a tym samym polska dzielnica Biskupszczyzna.

Polacy w Kijowie przed 1648 roku stanowili mniejszość ludności. Ale to nie znaczy, że ruscy mieszkańcy Kijowa byli źle nastawieni do Polski i Polaków i pragnęli oderwania tych ziem od Polski, utworzenia jakiegoś państwa ruskiego-ukraińskiego. Przeciwnie, jak pisze prof. Władysław Wielhorski w swej pracy „Ziemie ukraińskie Rzeczypospolitej. Zarys dziejów” (Londyn 1959): „*Do polskości garnęli się i prawosławni mieszczanie i «błahoczestyi» przedstawiciele szlachty, i starszyzna kozacka, i nawet wyższy kler prawosławny*”. Mówią o tym ocalałe dokumenty pisemne: listy, pamiętniki, utwory literackie, kreślone w oryginalnym dialekcie polsko-ruskim. Nader charakterystyczny byłby następujący (prawosławny) dokument ówczesny: opis żywotów świętych wydany po polsku z następującą kartą tytułową: „Paterikon albo żywoty S.S. Ojców Pieczerskich... w Kijowie roku 1635”. Słowo „Paterikon” mieści dwie litery z alfabetu cyrylicy, pozostałe są „łacińskie”. Dodać tu można, że Kozacy Bohdana Chmielnickiego rozpoczynając swój bój w 1648 roku szli pod polskimi sztandarami! Dopiero później Chmielnicki zapragnął być sam „królem” Ukrainy, a nie mogąc tego osiągnąć, na złość Polsce oddał połowę Ukrainy Rosji, czym wyświadczył niedźwiedzią przysługę narodowi ukraińskiemu, przez co Ukraina cierpi po dziś dzień.

W kwietniu 1648 roku wybuchło na Kijowszczyźnie wielkie powstanie kozackie pod wodzą Bohdana Chmielnickiego, syna polskiego szlachcica i Rusinki



Piotr Michajłowski „Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa”

(Ukrainki), który pieczętował się starym polskim herbem Abdank. Z początku powstanie miało charakter społeczny-socjalny (antyszlachecki i antyżydowski) i po części religijny – antykatolicki i antyunicki. Jak już wspomniałem, Kozacy szli do boju z polskim wojskiem pod polskimi sztandarami! Dopiero z biegiem czasu stało się ono powstaniem narodowym. [...]

[...] Po pobiciu Polaków w bitwach pod Żółtymi Wodami (11-16 V) i Korsuniem (26 V), w pierwszych dniach czerwca 3-tysięczny oddział Kozaków zajął Kijów, lecz kiedy oddział opuścił miasto w lipcu, Polacy przejęli ponownie w nim władzę i to z pomocą kijowskiego metropolity prawosławnego Sylwestera Kossowa. Rebelia rosła jednak w siłę i 19 grudnia 1648 roku Kozacy ponownie opanowali Kijów (spalili wówczas zamek). [...]

[...] W toku dalszych walk Kijów kilkakrotnie przechodził to w ręce polskie to kozackie. Po zawartej z Kozakami ugodzie Zborowskiej, w dniu 6 listopada 1649 roku w Kijowie objął urząd nowy wojewoda kijowski Adam Kisiel, przedstawiciel obozu ugodowego i ostatni prawosławny senator I Rzeczypospolitej. Chciał doprowadzić do ugody polsko-kozackiej i przekształcenia Rzeczypospolitej w federację polsko-litewsko-ruską. Na zamku kijowskim prowadził on kilka razy rokowania z Chmielnickim w 1649 i 1650 roku. Chmielnicki jednak już myślał tylko o jednym – o zostaniu samemu królem i o założeniu dynastii Chmielnickiej (starał się już wówczas o to, aby jego syn Tymofiej został hospodarem Mołdawii). Po zwycięskiej bitwie z Kozakami i Tatarami pod Beresteczkiem – jednej z największych bitew lądowych XVII-wiecznej Europy, która rozegrała się w dniach 28 czerwca – 10 lipca 1651 roku i z Kozakami pod Łojowem (pd. Białoruś) 6 lipca 1651 roku, wojska hetmana Janusza Radziwiłła ruszyły w kierunku Kijowa, który zajęły 4 sierpnia. W trakcie walk oczyszczających Kijów z kozactwa pożar strawił Padół z ratuszem, klasztorem bernardynów i trzystoma domami. Po kolejnej bitwie przegranej przez Kozaków pod Białą Cerkwią 28 września 1651 roku doszło tam do ugody polsko-kozackiej. Wojewoda Kisiel w grudniu 1651 roku ponownie przybył do Kijowa i pozostał w nim do połowy 1652 roku. Był ostatnim wojewodą Rzeczypospolitej rezydującym w Kijowie. Od tej pory Kijów był w rękach kozackich.

Z powodu zniszczeń wojennych w Kijowie 20 marca 1652 roku król Jan Kazimierz wydał specjalny uniwersał, w którym zwolnił miasto na cztery lata z podatków i postojów wojska. Był to ostatni polski –

królewski dokument odnoszący się do polskiego jeszcze Kijowa.

Prawie dwa lata później, 18 stycznia 1654 roku w Perejśławiu Chmielnicki poddał Ukrainę lewobrzezną (na wschód od Dniepru) pod jurysdykcję Moskwy, czyli na łaskę i niełaskę rosyjskich carów, czego tragiczne konsekwencje widzimy na Ukrainie po dziś dzień. Oddanie Ukrainy Moskwie stało się podstawą dla cara Aleksego I do rozpoczęcia wojny przeciwko Rzeczypospolitej. Kilka dni później do Kijowa wkroczyły wojska moskiewskie Wasilija Buturlina. Tym samym skończyły się rządy polskie w Kijowie, gdyż miasto Polska już nigdy nie odzyskała.

Po tak długiej wojnie Polski z Kozakami i Moskwą (1648-67), 30 stycznia 1667 roku został zawarty rozejm polsko-rosyjski w Andruszowie. Polska rzekła się na rzecz Moskwy Smoleńska, Ziemi Czernihowskiej i Siewierskiej, części województwa witebskiego z Wielizem, Siewieżem i Newlem, ziem ukraińskich (Ukrainy) po lewej stronie Dniepru i Kijowa na dwa lata. Natomiast w pokoju zawartym między Polską a Moskwą w 1686 roku (tzw. Pokój Grzymułtowskiego) Polska *de jure* zrezygnowała z Kijowa na rzecz Rosji. Już w 1660 roku car Aleksey I Michałowicz wydał ukaz, zgodnie z którym wszyscy Polacy, Ormianie i Żydzi mieli opuścić Kijów.

Polska straciła Kijów i lewobrzezną Ukrainę z własnej winy, a konkretnie przez króla Zygmunta III Wazę (1566–1632), który był synem króla szwedzkiego Jana III Wazy i polskiej królowny Katarzyny Jagiellonki. Królem Polski został w 1587 roku. Po śmierci w 1592 roku swego ojca został formalnie także królem Szwecji. 19 lutego 1594 roku został wraz z żoną uroczystie koronowany w katedrze w Uppsali na króla szwedzkiego. Powstała wówczas personalna unia polsko-szwedzka. Zygmunt III był katolikiem, podczas gdy Szwecja była krajem protestanckim. Szwedzcy ewangelicy nie chcieli mieć za swego władcę katolika. Doszło do buntu. W walce z buntownikami Zygmunt III poniósł porażkę w bitwie pod Linköping w 1598 roku, co doprowadziło do jego detronizacji przez Riksdag w 1599 roku. Zygmunt III Waza zamiast zadowolić się tym, że jest władcą największego państwa w Europie (carska Rosja sama nie uważała się za część Europy), marzył całe życie o tronie szwedzkim, a dla realizacji tego marzenia niszczył państwo, którego był faktycznym władcą. To państwo było wielonarodowe i wieloreligijne. Dlatego Polska potrzebowała monarchy tolerancyjnego i dbającego o wszystkich swoich poddanych. Niestety, Zyg-

munt III był strasznym katolickim fanatykiem religijnym. Ziemie ukraińskie, obejmujące bardzo duży obszar Rzeczypospolitej, zamieszkiwali głównie Rusini, którzy byli wyznania prawosławnego, do którego byli bardzo przywiązani od ponad 600 lat. Po przyłączeniu ziem ukraińskich do Polski na życzenie kniaziów i szlachty ruskiej w 1569 roku (unia lubelska), obowiązkiem Polski było nie walczyć o tron szwedzki, ale kierować swe oczy ku Wschodowi, tym bardziej, że Wielkie Księstwo Moskiewskie stanowiło od końca XV w. realne zagrożenie dla Polski. Celem moskiewskich carów było „zebranie w jedno wszystkich ziem ruskich”. A więc i tych, które należały do Rzeczypospolitej. Trzeba było utworzyć Ruś jako trzeci człon Rzeczypospolitej, w którym prawosławie cieszyłoby się należnymi mu prawami, a kultura ruska miała możliwości rozwoju. Tymczasem król Zygmunt III, wspierany przez polskich biskupów katolickich, wypowiedział wojnę prawosławiu, doprowadzając do utworzenia w Brześciu 1596 roku Cerkwi unickiej, uznającej zwierzchnictwo papieża. [...]

[...] Król Zygmunt III myślał, że swoim dekretem zmusi wszystkich prawosławnych do przyjęcia unii. W Polsce minęły jednak te czasy, kiedy jej władca mógł narzucić swoją wiarę czy wolę swoim poddanym i znieść prawosławną hierarchię w Polsce, co uczynił Zygmunt III. Duży odłam Rusinów ziem ukraińskich nie przyjął unii i w efekcie Cerkiew prawosławną podzieliła się na unitów i dyzunitów. Ziemie ukraińskie objęła pełzająca powoli wojna religijna (np. w 1618 roku unicki metropolita kijowski Antoni Grekowicz został utopiony w Dnieprze przez prawosławnych) oraz zaczął przez nią narastać tam ogólny bunt przeciwko Polsce. A przecież jest faktem historycznym, że to właśnie prawosławie na ziemiach ukraińskich było przed powstaniem Chmielnickiego w 1648 roku najwierniejszym sojusznikiem I Rzeczypospolitej (Paweł Jasienica). Tylko kto z Polaków i współczesnych Ukraińców wie o tym i zna prawdziwą historię prawosławia w Polsce i powstań kozackich? Kto z Polaków, a przede wszystkim z Ukraińców wie, że po wybuchu powstania Chmielnickiego na początku czerwca 1648 roku 3-tysięczny oddział Kozaków bez walki zajął Kijów, lecz miasto zostało odzyskane przez szlachtę w lipcu przy pomocy metropolity prawosławnego Kossowa?

CDN

**Marian KAŁUSKI**

Urodzony w 1946 w Chełmnie.

Polsko-australijski dziennikarz, pisarz i historyk oraz podróżnik (zwiedził 81 państw).

Od 1964 r. mieszka w Australii. Naukowo bada dzieje Polaków w Australii, historię stosunków polsko-żydowskich oraz polsko-ukraińskich.

W latach 1974–1977 był redaktorem „Tygodnika Polskiego” w Melbourne; wraz z dr Zbigniewem Stelmachem w 1974 roku uratował pismo przed likwidacją (pismo ukazuje się po dziś dzień i jest jedynym tygodnikiem polskim w Australii).

Publikował lub publikuje m.in. w „Wiadomościach Polskich”, „Przeglądzie Katolickim”, „Kulturze”, „Wiadomościach”, „Dzienniku Polskim”, „Dzienniku Żołnierza”, „Tygodniku Polskim”, „Orle Białym” oraz „Gazecie Niedzielnej”, „Pisarze.pl” i „Tygiel”.

Współzałożyciel Studium Historii Polonii Australijskiej, którym kieruje od 1977 r. Dzięki jego staraniom Australia Post w 1983 r. wydała znaczek pocztowy upamiętniający zasługi Pawła Edmunda Strzeleckiego dla Australii.

Autor m.in. 20 książek z zakresu historii, religii, Kresów i Polaków na świecie: „Jan Paweł II. Pierwszy Polak papieżem” (Australia 1979, USA 1980), „The Poles in Australia” (1985), „Litwa 600-lecie chrześcijaństwa 1387–1987” (1987), „Polacy w Chinach” (2001), „Polska-Chiny 1246–1996”, „Szkice z dziejów wzajemnych kontaktów” (2004), „Polskie dzieje Gdańska do 1945 roku” (2004), „Polacy w Nowej Zelandii” (2006), „Śladami Polaków na świecie” (2007), „Polonia katolicka w Australii” (2010).

Należy do Australijskiego Towarzystwa Historycznego, Związku Pisarzy Australijskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Australijskich oraz Australijsko-Chińskiego Towarzystwa Przyjaźni.

W 1991 r. został odznaczony Krzyżem Zasługi a w 2006 r. Srebrnym Medalem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Warszawie.

WITOLD KAMIŃSKI – CUDA HYDROTERAPII

W jednej z ksiąg wedyjskich starożytnych Indii znajdujemy zdanie: „*Woda jest lekarstwem na niestrawność; działa wzmacniająco, kiedy pokarm został strawiony; jest jak nektar, kiedy pije się ją w trakcie posiłku, i jak trucizna, kiedy pije się ją na koniec jedzenia*”... Obecnie dietetycy skłaniają się ku zdaniu, że wodę i wszelkie inne napoje należy pić nie później niż około 40 minut przed posiłkiem, i nie wcześniej niż około 40 minut po posiłku.

W 1977 roku profesor Nishi, dyrektor Instytutu Medycyny słynnego szpitala Vatanabe w Tokio, wydał książkę, w której pisał, iż poddał analizie i sprawdzianowi w praktyce idee o chorobach onkologicznych zawarte w ponad 70 tysiącach tekstów naukowych, od artykułów do obszernych monografi w wielu językach, i wybrał spośród nich 62 najlepsze. Okazało się, że jedną z tych pozycji była książka doktora Witolda Kamińskiego, wydana w Kijowie w języku rosyjskim pt. „*Encyklopedia higieny i fiziko-dietetycznego (fizjotrycznego) polzowania*” (696 stron). Także w Rosji autor książki uchodzi za wybitnego klasyka medycyny. A w 1999 roku petersburskie wydawnictwo Izdatielskij Dom „Niewskij prospekt” wznowiło jego książkę „*Czudownie wodoleczynie*” w nakładzie piętnastu tysięcy egzemplarzy.

Witold Kamiński urodził się w 1859 roku. Pochodził ze starodawnej rodziny szlacheckiej, pieczętującej się herbem „Topór”, a rozgałęzionej po ziemiach całej Polski, Litwy, Ukrainy.

Krzysztof Kamiński był w roku 1645 generałem województwa smoleńskiego. Laudum sejmiku relacyjnego szlachty halickiej 7 lipca 1733 podpisał Michał Stanisław Kamiński, chorąży buski. Kilkunastu Kamińskich stanęło w 1765 roku do popisu szlachty powiatu grodzieńskiego. Kamińscy herbu „Łuk”, „Sulima” siedzieli zarówno na Litwie, jak i na Żmudzi, dzierżawili m.in. Kiejdany od ks. Połubińskich. Mówi o nich dokument heroldii wileńskiej z 1819 roku: „*Familia urodzonych Kamińskich dostojnością szlachecką zaszczycająca się, zawsze prerogatyw temu stanowi odpowiednich używała, i ciągle ziemskie posiadłości tak z własnego nabycia i po przodkach, jako też za przywilejem królewskim w nagrodę zasług, dziedziczyła*”.

Rodowitość szlachecka Kamińskich wielokrotnie potwierdzana była przez heroldię wileńską. Na liście szlachty powiatu trockiego z 1844 roku figurują Ignacy, Michał, Jan, Zygmunt, Piotr, Roman, Onufry, Mateusz, Antoni i dalsi Kamińscy. Kamińscy licznie mieszkali także w powiecie dziśnieńskim i byli tu spokrewnieni z Alchimowiczami, Wojniczami, Rzeczyckimi, Kozakiewiczami. W 1863 roku Aleksander, Antoni, Tytus, Wawrzyniec i Władysław Kamińscy, szlachta guberni wołyńskiej i kijowskiej, byli sądzeni za udział w Powstaniu Styczniowym.

Drzewo genealogiczne Kamińskich herbu „Topór” z 1901 roku przedstawia dziewięć pokoleń rodu i bierze za protoplastę Tomasza, w połowie XVII wieku właściciela dóbr Wojniatyszki Żytowiszki w powiecie rosieńskim.

Już w dzieciństwie Witek Kamiński zmanifestował ogromną ciekawość świata, w kilku przedmiotach podczas nauki w gimnazjum był poza wszelką konkurencją, nałogowo też oddawał się lekturom z dziedziny beletrystyki, literatury popularnonaukowej, a później też stricte naukowej. Przez kilka lat marzył o karierze wilka morskiego i przymierzał się do szkoły żeglugi w Kronsztadzie. Tym marzeniom jednak nie było sądzone stać się ciałem, narzeczona pana Witolda nie życzyłaby sobie męża waleśającego się latami po dalekich portach i dopięła swego: jej przyszły mąż obrał w końcu „bardziej poważny” zawód; choć o tym wyborze zdecydował też po części przypadek. Podczas podróży poślubnej do Niemiec świeżo upieczone stadło bawiło w uzdrowisku, w którym stosowano wodolecznictwo. Duże wrażenie na Witoldzie Kamińskim wywarł wynalazek Wincentego Prysznica, chłopca małopolskiego, który stosował natryski wodne w celach leczniczych. Sięgnął więc po niemiecką i austriacką literaturę przedmiotu i tak się zafascynował tematem, że wstąpił niebawem na wydział fizjoterapii Uniwersytetu Lipskiego, gdzie samodzielnie coraz bardziej pogłębiał swą wiedzę w zakresie hydroterapii.

Profesorowie niemieccy przepowiadali wybitnie uzdolnionemu i pracowitemu studentowi wielką przyszłość naukową. Istotnie, Witold Kamiński ukończył uniwersytet z wyróżnieniem. W 1892 roku opublikował pracę naukową pt. „*Kratkoje opisanije domaszniego*”

upotrzebienia niektórych czynników jestestwienno leczniczych”, a w 1897 roku – „*Technika primienienia czynników jestestwienno leczenia (fizjatriki) w domaszniem ich ispołnieniu*”. Jego idee wzbudziły zainteresowanie fachowców i młody specjalista otrzymał zaproszenie do pracy naukowej i dydaktycznej na jednym z uniwersytetów niemieckich. Z tej oferty jednak nie skorzystał, a postanowił powrócić do ukochanego Kijowa; po pewnym zaś czasie zamieszkał w miasteczku Bucza, które też stało się słynne nie tylko w Imperium Rosyjskim, ale również w innych krajach dzięki znakomitym wynikom osiąganym przez Witolda Kamińskiego w kuracji najprzeróżniejszych schorzeń za pośrednictwem wody. Gdy kolejny pociąg jadący z Kijowa przez stację Bucza na niej się zatrzymywał, sznur chorych ciągnął gęsiego w kierunku domu doktora Kamińskiego. Ktoś szedł sam, kogoś wieziono na wózku lub dźwigano na noszach. Wielu było chorych, zabandażowanych, kalekich. Widok był wstrząsający – prawdziwa pielgrzymka z obrazu Pietera Bruegela. Nie brakowało też bogatych zaprzęgów, z których wysiadali dystyngowani panowie i wytworne panie w najprzeróżniejszym wieku. Do doktora Kamińskiego zwracali się ci, komu już nie pomogli ani inni lekarze, ani inne leki. I przyjmował wszystkich, nikomu nigdy nie odmówił pomocy. Przyjęcia trwały od świtu do późnej nocy, tak wielu było pacjentów. A ich liczba nigdy nie malała. Udokumentowano, że doktor Kamiński wyleczył za pomocą zabiegów hydroterapeutycznych oraz odpowiedniej diety licznych pacjentów chorych na gruźlicę płuc, nefritis, reumatyzm, neurozę, jaskrę, depresję, raka. Doktor Witold Kamiński dokładnie przestudiował i przemyślał bogate doświadczenie dotychczasowego lecznictwa hydropatycznego, uogólnił doświadczenie wieków na podstawie naukowej, ale też potrafił wnieść wiele własnych konkretnych rozwiązań i pomysłów, osiągając wyniki graniczące z cudem.

Przypomnijmy, że w tradycji prawosławia kąpiel w gorącej łaźni traktowano jako swoisty zabieg o charakterze na wpół religijnym, jako rytuał, który pozwala oczyścić i uporządkować nie tylko (a nawet nie tyle!) ciało, co duszę.

Nie zażywano kąpeli po spożyciu potraw, gdyż uważano, że w sytuacji, gdy organizm jest zajęty pozyskiwaniem energii ze strawy, energia łaźniowego ciepła nie przenika w głąb procesów energetycznych. Także po kąpeli trzeba przez pewien czas odczekać, dać się procesom energetycznym ułożyć i zrównoważyć. Dopiero potem można raczyć się napojami (bezalkoholo-



Tablica pamiątkowa poświęcona doktorowi Witoldowi Kamińskiemu na ścianie domu w Kijowie przy ulicy Saksagańskiego 20, gdzie znajdował się gabinet lekarza

wymi) i jedzeniem, nie powodując szkodliwych zmian w duszy i ciele.

Szczególnie korzystne dla psychiki są nocne kąpiele, w szczególności pływanie w morzu czy jeziorze.

Łaźnie, zwane w Rosji baniami, a w Finlandii saunami, w obydwu tych rozmiłowanych w czystości krajach rozwinęły się w szereg wyspecjalizowanych odmian. Jak można przeczytać w jednym z reklamowych tekstów:

„Prawdziwa fińska sauna jest niezrównanym doświadczeniem, w równym stopniu oczyszcza duszę i ciało. Kąpiel w suchym powietrzu daje uczucie odprężenia i wypoczynku, uodparnia organizm i pomaga usunąć toksyny ze skóry. Zaleca się kąpiel w saunie polegającą na przebywaniu na przemian w wysokiej i niskiej temperaturze. Im wyższa jest temperatura w saunie, tym pobyt w niej powinien być krótszy, a ochładzanie – dłuższe. [...]

Kombinacja wysokiej temperatury sauny, połączona z przerwami na zimny prysznic i odpoczynek, którymi charakteryzuje się klasyczne używanie sauny, wzmacnia krwioobieg i system odpornościowy. Kąpiel sucha wpływa również pozytywnie na oczyszczanie skóry. [...]

Sauna aromatyczna opiera się na terapeutycznym wpływie zapachu na cały organizm. Idealna kombinacja pary wodnej i olejków zapachowych wzmacnia działanie zwykłej sauny suchej. Inhalacje z lawendy, mirry lub ożywczego eukaliptusa mają bardzo korzystny wpływ na płuca i układ oddechowy. Przy dodaniu uspokajających esencji z rumianku podnosi się także poziom relaksu. [...]

Kąpiel w biosaunie jest przyjemna zwłaszcza dla osób, dla których klasyczna sauna fińska jest zbyt ciepła. Jest to

sauna doskonała dla osób z nadciśnieniem oraz nadwrażliwością naczyń krwionośnych. [...]

Laconium jest sauną parową, w której można spędzić ponad godzinę. Po piętnastu minutach kąpieli w saunie ciało zaczyna oddychać, a ciepło rozchodzące się ze wszystkich stron rozgrzewa je do poziomu, w którym jest gotowe na przyjęcie chłodzącej kąpieli oczyszczającej. Laconium stymuluje krwiotok i ma właściwości oczyszczające dla całego organizmu. [...]

W Rosji od najdawniejszych czasów uważano, że zarówno chłodnych, jak i gorących kąpieli trzeba zażywać wyłącznie będąc w łagodnym, spokojnym stanie ducha. Wierzone – a praktyka to potwierdzała – że jeśli ktoś zażywa procedur balneologicznych, a jest niezadowolony, zły, rozdrażniony, agresywny, może poważnie zachorować, a w każdym razie kąpiel nie zrobi mu dobrze. Przed nią jeszcze trzeba machnąć ręką na zmartwienia i problemy, nabrać do serca stoickiego spokoju, wszystkim wszystko wybaczyć, a przynajmniej o wszystkim co złe zapomnieć. I dopiero palić w saunie... Kryształiki wody zmieniają swą strukturę i właściwości w zależności od klimatu duchowo-energetycznego w otoczeniu, stąd woda święcona nabiera na pewien czas właściwości leczniczych. Znajdując się zaś w atmosferze zła i nienawiści może stać się toksyczna (posiłek przygotowany przez żonę kochającą a niekochającą swego męża ma zupełnie inne właściwości smakowe i odżywcze). Badacze twierdzą, że stanowi ona też niejako uniwersalną matrycę, pamiętającą wszystko co było od początku świata, i zapamiętuje wszystko, co się w świecie aktualnie dzieje. Chodzi tylko o znalezienie kodu, klucza, który umożliwiłby odczytywanie nieskończenie licznych informacji zaszyfrowanych w zwykłej wodzie.

Doktor Kamiński po zbadaniu pacjenta wypisywał receptę na zabiegi wodolecnicze, które chory i jego bliscy bez trudu mogli stosować w warunkach domowych. Te recepty przepisywano i przekazywano innym cierpiącym, którzy też skutecznie kurowali się metodami w równym stopniu prostymi, co skutecznymi. Witold Kamiński uważał wodę za najskuteczniejszy środek leczniczy, który gromadzi w sobie tajemnicze energie. Chodzi tylko o to, by potrafić je we właściwy sposób wykorzystać. A jak to czynić, pan doktor nie tylko wynajdował metody na własną rękę, ale też szukał wskazówek w dawnych księgach i rękopisach. Że szedł właściwą drogą, dowodzą tysiące przypadków uleceń z najdotkliwszych dolegliwości. Obecnie jego

nauki przeżywają swój wielki renesans w Japonii, Chinach, USA, Rosji, Ukrainie, innych krajach.

Doktor Kamiński słusznie twierdził, że woda jest absolutnie niezbędna dla organizmu ludzkiego, dla zachowania jego normalnego funkcjonowania dorosły człowiek powinien spożywać dziennie co najmniej dwa litry tego płynu zimą i do trzech litrów latem. Najlepsza do picia jest woda naturalna lub stołowa mineralna; destylowanej, gazowanej lub z kranu należy raczej unikać.

Samo umycie rąk zimną wodą aktywizuje krwiotok w mózgu i zmniejsza zmęczenie. Uspokaja i tonizuje także umycie stóp w letniej lub chłodnej wodzie. Gorący prysznic łagodzi bóle pleców, stawów, mięśni. Szczególnie korzystnie wpływa na stan zdrowia gorąca łaźnia: rozgrzana do 50°C para wodna zabija większość wirusów, aktywizuje krwiotok, hamuje dzielenie się komórek rakowych, a razem z potem z organizmu wydalone są zabójcze toksyny (unikać sauny muszą astmatycy, osoby o chorym sercu czy ze skłonnością do spazmów).

Kategorycznie nie wolno iść do sauny zarówno zupełnie głodnym, jak i w stanie przejedzenia; dobrze jest spożyć przedtem lekką sałatkę owocowo-warzywną. W żadnym razie nie wolno spożywać napojów alkoholowych ani przed, ani po zabiegach balneologicznych, bowiem zarówno jedno, jak i drugie, może się skończyć nagłym zgonem. Także do basenu z chłodną wodą nie powinno się skakać zaraz po wyjściu z gorącego pomieszczenia, aby nie nastąpił gwałtowny skurcz mięśnia sercowego. Po wyparzeniu się należy wziąć ciepły prysznic i przez około kwadrans odpoczywać, aby ochłonać, następnie zaś wypić herbatę z miodem albo parę szklanek soku marchwianego, pomidorowego lub z granatu, czy też niezbyt chłodną wodę mineralną.

Już samo przebywanie nad morzem wywiera wpływ uzdrawiający. Woda i powietrze morskie zawierają liczne związki jodu, magnezu, potasu, wapnia, bromu, korzystnie oddziałujące na żywe organizmy. Im bardziej słone jest morze, tym zdrowsze i czystsze pod względem bakteriologicznym jest powietrze nad nim, tym korzystniej wpływa ono na układ nerwowy, immunologiczny, krwionośny, kostny. Zasolenie mórz mierzy się promilami: ilością gramów soli w jednym litrze wody. Morze Martwe ma np. 320 promili, a więc 320 gramów soli w litrze wody.

Najzdrowsze są kąpiele morskie, gdyż słona woda oceaniczna zawiera wiele pożytecznych i leczniczych związków chemicznych, bardzo cenna jest też czysta woda rzeczna lub jeziorowa, która również jest bogata w związki mineralne. Chlorowana woda w basenach

ma znacznie mniejsze oddziaływanie lecznicze, ale regularne (2 razy w ciągu tygodnia) kąpiele poprawiają ogólne samopoczucie, polepszają sen, likwidują bóle głowy, leczą nerwy, łagodzą cierpienia psychiczne i in.

Pływanie w słonej wodzie morskiej wspomaga udreżony osteoporozą kręgosłup oraz wykręcane przez reumatyzm stawy. Usprawnia się też krwiobieg, praca serca, wątroby, nerek. Trzeba jednak pamiętać, że do wody morskiej należy wchodzić powoli, ostrożnie. Po kąpieli nie warto używać ręcznika, gdyż „płaszcz” solny pozostający na skórze będzie korzystnie oddziaływał jeszcze przez szereg godzin po kąpieli. Istotne, że kąpiele morskie są przeciwwskazane przy ciężkich schorzeniach nerek, chorobach kobiecych oraz cierpieniach onkologicznych.

Niezależnie od poziomu soli w wodzie, pozytywnie na układ nerwowy oddziałuje szum fal morskich, a obserwowanie zachodu słońca nad morzem już po kilku seansach tej terapii wprowadza równowagę i ciszę w życie psychiczne człowieka. Wszystkie te informacje znajdujemy w książkach Witolda Kamińskiego.

Znakomity lekarz zmarł w kwietniu 1931 roku i został pochowany na cmentarzu miasteczka Bucza w obecności całej ludności tej skromnej miejscowości, która stała się słynna dzięki jego wielkiej sztuce medycznej.

Uczciwość naukowa nakazuje zaznaczyć, że nasz rodak nie był w swoim czasie jedynym w Europie teoretykiem i praktykiem w zakresie hydroterapii. Miał w tej dziedzinie godnych siebie rywali, a jeden z nich Sebastian Kneipp (1821–1897), Niemiec, kapłan katolicki, był jednym z pionierów hydroterapii od połowy XIX w. Uważał, że woda budzi wewnętrzne siły organizmu, umacnia иммунитет. Ale wszystko musi być związane z życiem ducha, z wiarą w Boga i czystą etyką. Odkrył on m.in., że polewać zimną wodą można tylko gorące, ciepłe ciało. Polewanie trzeba zaczynać od dołu i od prawej strony, aby nie poddawać serca niespodziewanemu obciążeniu; kąpiele w lodowatej wodzie rzek, stawów, jezior czy mórz powinny być krótkie, trwające od kilku sekund do kilku minut, nie dłużej.

Przypomnijmy niektóre interesujące fragmenty z podstawowego dzieła doktora Kamińskiego, jakim jest *„Drug zdrowija: Encyklopedia higieny i fiziko-dietetycznego (fiziatrycznego) polzowanija”*; wydaje się, że są one nader aktualne także w świetle najnowszych danych nauki medycznej. Witold Kamiński notuje:

„Higiena, inaczej mówiąc nauka o zachowaniu zdrowia, uczy nas stawiania siebie w tak korzystnych dla wsparcia prawidłowego funkcjonowania całego organizmu warunkach, które byłyby w stanie zabezpieczyć nas w zwykłej sytuacji przed chorobami, a w przypadku choroby sprzyjały najrychlejszemu przywróceniu naruszonej równowagi, tj. wyzdrowieniu; dlatego higiena stanowi nieodłączną część naturalnego, czyli fizjatrzycznego, sposobu kuracji.

Wyraz „fizjatrzyka” (chodzi o współczesne pojęcie „fizjoterapia” – przyp. J.C.) *znaczy w dosłownym tłumaczeniu «przyrodnicze lub naturalne leczenie» i zostało wprowadzone zamiast wcześniejszego pojęcia «hydropatii» lub «hydroterapii», tj. wodolecznictwa, stanowiącego tylko część pierwszego...*

Wydaje się, że ta metoda była pierwotną, najwcześniejszą, i pozostałaby nienaruszoną, gdyby pociągający umysły postęp chemii i jej mistycyzm go nie zagłuszyły [...]. Mimo wszelkich wysiłków fizjatrzyka wciąż jeszcze nie znalazła się w świątyni nauki; przedstawiciele szkół dominujących, zafascynowani przejściowymi efektami rozmaitych chemicznych, organoterapeutycznych i „szczepieniowych” doświadczeń, na tyle są obciążeni niekończącym się wypróbowaniem coraz to nowych wynalazków w odnośnych dziedzinach, że wręcz nie chcą zwracać uwagi na proste, niewymyślne prawdy naturalnych sił leczniczych.”

Jak pisze dr Witold Kamiński, w przypadku chorób chronicznych pozwala fizjatrzyka uleczyć nie tylko jedną dolegliwość, lecz odrodzić do nowego życia cały organizm, który się w naturalny sposób odmładza, wzmacnia i uczy samoczynnie uwalniać od związków trujących. Byłoby, oczywiście, ewidentnym nadużyciem twierdzić, że w przypadku kuracji fizjoterapeutycznej nikt nie umiera. Przebieg choroby może być błyskawiczny, ilość toksyn zgromadzonych w organizmie tak duża, że chory ginie zanim potrafi się od tego wszystkiego uwolnić. Także choroba może okazać się tak dalece zaniedbaną, a ważne dla życia organy tak



uszkodzone, że uleczenie staje się nie do pomyślenia. Lecz są to przypadki krańcowe.

Ważne też, że kuracja fizjoterapeutyczna jest znacznie tańsza niż chemioterapeutyczna; wystarczą dla jej realizacji woda, ręcznik, prześcieradło, koc. Efekty zaś takiej kuracji są trwałe i pewne.

Rodzice chorych dzieci nie muszą tracić czasu na zamawianie i dostarczanie leków, które mogą dotrzeć już za późno; metody fizjoterapeutyczne mogą być stosowane w domu natychmiast, zanim choroba nie zaatakowała ostro i nieodwołalnie.

Kuracja tego rodzaju jest też stosowana wówczas, gdy wszelkie inne metody są niemożliwe, np. w okresie ciąży, w przypadku histerycznego wstrętu do przyjmowania potraw i napojów, czy też przy zatkanym przełyku.

W książce „Czudiesnoje wodoleczenie” Witold Kamiński wyłuszcza zalety wodolecznictwa:

„Każdy chory, dążący do odnowienia swego zdrowia, powinien wybierać dla realizacji tego celu nie tylko szlak najkrótszy, ale i najradykałniejszy, niepozostawiający po sobie żadnych skutków szkodliwych. Naturalnie, że wobec tego musimy postawić pytanie: jakie zalety posiada fizjatyryka przed innymi metodami leczenia? Na to odpowiem, jak następuje:

Przy kuracji fizjatrycznej np. ostrych schorzeń infekcyjnych, poprawa następuje znacznie szybciej; choroba przebiega wcale naturalnie, ponieważ jej obraz nie jest zaciemniany i zniekształcany przez oddziaływanie rozmaitych postronnych substancji chemicznych; chory przez cały czas zachowuje swój stan naturalny, i w ogóle jest osiąganę nie tylko zupełne oczyszczenie organizmu od substancji chorobotwórczych, ale i zupełna prewencja przed przeziębieniem, co pozwala wypuszczać chorego na wolne powietrze nawet zimą o wiele wcześniej niż zwykle...

W przypadku schorzeń chronicznych tym sposobem osiąga się nie tylko wyleczenie określonej choroby, ale i cały organizm się odradza. To wyjaśnia ogólnie znany fakt, że osoby leczące fizjatrycznie różne dolegliwości za każdym razem stają się coraz zdrowsze, ponieważ im częściej jest stosowana ta kuracja, tym bardziej organizm się oczyszcza, odmładza i wzmacnia; podczas gdy w przypadku stosowania innych metod, związanych z wprowadzaniem do organizmu obcych, toksycznych substancji coraz bardziej się zanieczyszcza, słabnie i ulega rozchwianiu.”

Oprócz tego fizjatryczna metoda kuracji, która jest nie do pomyślenia bez stosowania się do zdrowych, racjonalnych zasad życia, przyzwyczajają ludzi do higieny, samodyscypliny, kultury fizycznej i zdrowotnej. Krew

posiada naturalną zdolność do oczyszczania organizmu od toksyn i trucizn, które trafiły do organizmu, i zadanie fizjatrii po prostu polega na tym, by umożliwić samoobronę i samoleczenie wrodzonych mocy ciała.

W przypadku wszystkich bez wyjątku schorzeń doktor Witold Kamiński zalecał jako warunek wstępny sukcesu higienę żywienia, a więc nieużywanie potraw tłustych, ostrych, pikantnych i puszających oraz zupełne powstrzymywanie się od napojów alkoholowych, kawy, mocnej herbaty, jak też od palenia. Oto zaś rozważania doktora nad kilkoma konkretnymi zagadnieniami:

„Nerwowość, słabość nerwów, neurastenia – to najzłośliwsza plaga obecnego pokolenia, skutek coraz to trudniejszej walki o istnienie, przykrości życiowych, niesnasek rodzinnych; nadużywania trucizn nerwowych, takich jak herbata, kawa, piwo, wódka, czekolada, tytoń; samozatrucie powodowanych przez źle funkcjonujące organy trawienia; i wreszcie nadmiernej, wytężonej pracy umysłowej.

Zwykła drażliwość, porywczność, pospolity przestrasz spowodowany jakimś zaskoczeniem, które ongiś uważano za manifestację braku samokontroli, dobrego wychowania lub kaprysu, powoli przyoblekły się w szaty określonych form rozstroju nerwowego, słabości nerwowej, na które składają się takie symptomy jak bezsenność, rozmaite stany lękowe, poczucie beznadziejności, natrętne idee, obawy przed przestrzenią, śmiercią, ludźmi i tym podobne odczucia chorobliwe. Z tego ogólnego typu symptomów neurastenicznych z reguły wyłania się mniej lub bardziej wyrazisty konkretny obraz jakiejś neurozy. My rozróżniamy m.in. neurastenię mózgu, gdy chory szybko się męczy w procesie pracy umysłowej, manifestuje słabą zdolność do skojarzeń oraz niezdolność do logicznego, konsekwentnego wiązania myśli, jak też zapominalstwo posunięte do utraty pamięci, bóle głowy, poczucie ucisku w mózgu, zły nastrój itp. W przypadku innej odmiany neurastenii, którą nazywamy żołądkowo-jelitową, wszelkie silne wrażenia psychiczne odbijają się na funkcjach właściwych żołądka i przewodu pokarmowego, symulując katar, niestrawność lub inne choroby tego rodzaju; przy czym żołądek często doznaje rozstroju na skutek przyjęcia najzwyklejszych potraw, podczas gdy w innym okresie nawet daleko posunięte dietetyczne folgowanie sobie mija bezkarnie; słabość i wrażliwość nerwów powoduje wzmożone wydzielanie gazów, rozstrój trawienia, a wszystkiemu temu towarzyszy bicie i lęk serca, ucisk na mózg, bezsenność, zadyszka, tęsknica – przy zupełnym braku fizycznych oznak choroby. I wreszcie trzeci typ nazywamy neurastenią mózgowo-rdzeniową, która z kolei objawia

się w podwyższonej wrażliwości kręgosłupa, męczeniu się od chodzenia, rozstroju w sferze płciowej, potliwości, zdrętwieniu itd. Można byłoby jeszcze mówić o neurastenii psychicznej, objawiającej się słabością w sferze wyobrażeń i uczuć; motorycznej neurastenii, powodującej przeważnie słabość nerwów ruchu i ich ośrodków.

Wszystkie wyszczególnione symptomy mogą też pasować do naprawdę ciężkich schorzeń mózgowia jak też mózgu rdzeniowego lub innych ważnych organów, tak iż zwykły śmiertelnik, nieznający się na sztuce diagnostyki, nie będzie w stanie odróżnić autentyku od podróbki. Trzeba przyznać, że neurastenia w ogóle stanowi nader mocny mostek prowadzący do powszechnego szaleństwa. Przecież różnica tu nie jest zbyt duża: neurastenik uświadamia sobie chorobliwe pochodzenie swych niedorzeczności, idei natrętnych i dziwactw, podczas gdy wariat już zatracił słuszne kryterium swych odczuć i myśli, przestał uświadamiać sobie chorobliwe pochodzenie swych dziwactw i utożsamia wyobrażenia z prawdą.

Kuracja: neurastenik powinien unikać wszelkich drażnień i dlatego musi dokładnie się trzymać bezwzględnej diety mleczno-vegetariańskiej, spożywać wiele jarzyn i owoców w celu ulepszenia składu krwi, uspokojenia i odżywienia chorych nerwów. Zatwardziały mięsożerca musi przynajmniej przestrzegać postu katolickiego (z włączeniem mleka i masła), a drobne porcje mięsa zjadać nie częściej niż trzy razy w tygodniu, unikając przypraw korzennych, ostrych i słonych, jak też napojów spirytusowych.”.

Doktor Witold Kamiński dodaje, że neurastenik musi też dbać o regularne wypróżnianie się, spać koniecznie przy otwartym lufciku, przedsięwziąć jak najczęstsze przechadzki na wolnym powietrzu, uprawiać gimnastykę, chodzić na bosaka i zażywać regularnych „kąpeli słonecznych”. Natomiast w zakresie wodolecznictwa doskonałe wyniki daje poranny prysznic (temperatura wody od 34° do 22°) bez późniejszego wycierania się ręcznikiem. Wieczorem dobra jest kąpiel (2-3 razy tygodniowo), a w pozostałe dni chodzenie po wodzie lub po prostu masaż mokrych stóp. Latem, gdy woda się nagrzej do 20°, wskazane są kilkominutowe kąpiele w rzece lub jeziorze.

W innym miejscu swej książki „Cudowne wodolecznictwo” Witold Kamiński pisze:

„Kamienie nerkowe. W nerkach, ich miseczkach i miedniczkach mogą się tworzyć konkrementy moczowe różnej wielkości, zaczynając od drobnego i dużego piasku a kończąc kamieniami o rozmiarach gęsiego jaja. Te kamienie, w zależności od ich składu, mogą być kruche, pulchne lub też nadzwyczaj twarde. Zawsze zaś stanowią

nawarstwienia różnego rodzaju wapnistych albo moczarnych związków chemicznych, cystyny, ksantyny i tym podobnych produktów wymiany materii. Spośród przyczyn, powodujących powstawanie kamieni nerkowych, wypada wskazać przede wszystkim na tryb życia, nieumiarkowanie w jedzeniu, obfite spożywanie mięsów i jaj, spirytualiów i wód mineralnych; w dalszej kolejności warto wskazać na szczególne warunki przyrodnicze, np. spożywanie wody bogatej w wapno lub wreszcie rozmaite schorzenia samego układu moczowego.

Jeśli chodzi o symptomy chorobowe, powodowane przez kamienie moczowe, są one nie zawsze wyraźne i przebiegają często jako cierpienia żołądkowo-jelitowe lub jako katar pęcherza moczowego, niekiedy dołącza tu także krwawy mocz. Bóle w okolicy nerek, moczowodach i przewodzie moczowym z reguły mają charakter pieczenia i rozpierania. Najbardziej ostre bóle (kolka nerkowa) mają miejsce podczas przechodzenia kamieni z nerek wzdłuż moczowodów oraz (męskiego) przewodu moczowego.

Kuracja polega na obfitym picu wody, kwaśnych wód owocowych oraz na ruchliwym trybie życia. Kwaśne mleko, jagody i owoce; sałatki, jarzyny i kasze; wino bezalkoholowe są jak najbardziej wskazane. Obowiązuje zakaz spożywania zup mięsnych i takich że dań, jaj, herbaty, kawy, czekolady, tytoniu, napojów alkoholowych i wód mineralnych, wreszcie też pikantnych soli i substancji korzennych.”.

Wodoleczenie polegałoby na odbywaniu regularnych kąpeli w wodzie o temperaturze od 22° do 31°, masażach, kompresach wodnych. Wskazane też jest jak najdłuższe przebywanie na świeżym powietrzu, zażywanie kąpeli słonecznych; unikać zaś wypada gwałtownego pocenia się i powstrzymywania się przed wypróżnieniem. (Wydaje się wszelako, że doktor Kamiński mógł się mylić co do pocenia, gdyż bierze ono niejako na siebie część funkcji nerek, a z organizmu są w pocie wydalone rozmaite toksyny i nieczystości, co z kolei ułatwia pracę nerek.) Słuszna natomiast jest uwaga, że ataki kolki nerkowej można łagodzić przez zażywanie (w pozycji siedzącej) gorących kąpeli wodnych lub przez stosowanie gorących kompresów na okolicę pasową.

Jednym z tematów książki Witolda Kamińskiego jest leczenie otyłości – wszelako nie przez głodowanie, ale przez usprawnianie funkcji fizjologicznych organizmu i przez poprawę wymiany materii. Jeśli chodzi o dietę, to kategorycznie zakazuje się tylko spirytualiów i ogranicza spożywanie potraw zawierających w nadmiarze cukru i tłuszcze. Natomiast zabiegi wodolecznicze mają polegać na zażywaniu natrysków, kąpeli,

nacieraniu i masażach wilgotnej skóry oraz piciu wody podczas aktywnych przechadzek; ze wszech miar zaleca się też gimnastykowanie i ćwiczenie odnośnych mięśni.

Swą książkę Witold Kamiński kończy opisem bardzo ważnej, jego zdaniem, metody usprawniania ogólnych funkcji organizmu, którą może stosować każdy chętny: chodzenia na bosaka. Uczony pisze:

„Stopa ludzka stanowi najbardziej zaniedbaną pod względem higieny część ciała. Ileż to milionów nóg w ogóle nigdy nie widziało jasnego słońca, nie zażywało kąpiele powietrznych. Natychmiast prawie po obudzeniu chowa się stopy pod pończochami i skarpetami oraz wciska do twardych, koturnowych butów. O zwiariowany świecie, dokąd dojdiesz na takich nogach! Nic dziwnego, że ta piękna, wspaniała ziemia stała się doliną łez i smutku, gdyż każdego tu „but ciśnie”!

Zdrowie organów środkowych w niemałym stopniu zależy od normalnego przewodzenia pobudzenia nerwowego przez skórę. W najgorszej sytuacji pod względem ćwiczenia nerwów skóry znajduje się właśnie skóra stóp, cierpiąca od jednostajnej ciepłoty i ucisku.”

W ten sposób stopa stała się prawdziwą „piętą Achillesa” dla całego organizmu. Najmniejsze jej ochłodzenie może spowodować burzliwe zjawiska zakłócające równowagę całego układu nerwowego; tym bardziej, że ciągle spocone i zimne nogi mają naruszony krwiobieg. Ten niewłaściwy stan rzeczy często bywa przyczyną groźnych przeziębień, ostrych schorzeń infekcyjnych, chronicznych chorób nerek i pęcherza moczowego, błony śluzowej nosa i oskrzeli, rozmaitych odmian zastoju żył (np. hemoroidów), a nawet wylewów krwi do mózgu. Dlatego też tak ważne jest, by od czasu do czasu dawać stopie możliwość powrotu do jej stanu naturalnego, a więc umożliwiać jej stykanie się z chłodnym powietrzem, ziemią, wodą. Jedynym zaś sposobem uniknięcia przeziębień jest nie ciepłe obuwie, lecz hartowanie stóp. Doktor Witold Kamiński wymienia pięć odmian chodzenia na bosaka:

1. Po suchej ziemi, trawie lub piasku, które praktykuje się z reguły latem, w ciche jasne dni, a które stanowi najbardziej delikatny sposób umacniania sił;
2. Po zroszonych wodą kamieniach (chodnikach);
3. Po wilgotnej trawie, zmoczonej przez deszcz lub poranną rosę;
4. W wodzie „do kostek” lub „do kolan” (właściwie do dolnej części stawu kolanowego). Jako zbiorniki wody mogą tu służyć płytkie stawy,

rzeki, kałuże, a także waniutki lub zwykłe miednice;

5. Po świeżo spadniętym śniegu.

„Pierwszym warunkiem właściwego stosowania tych sposobów, szczególnie w chłodne pory roku, jest ciepłość stóp (normalna lub choćby względna, albo sztucznie osiągnięta przez gimnastykę, wzmożony ruch itp.) oraz uprzednie przygotowanie stóp za pośrednictwem częstego ich obmywania zimną (16°-19°) wodą. Jest nie do pomyślenia, aby stopę wydelikacjoną i dlatego znajdującą się w półparalitycznym stanie innerwacji można było wystawiać na raptowne i długotrwałe ochłodzenie bez narażenia organizmu na ostrą reakcję. Inaczej jest latem, gdy zewnętrzna ciepłość powietrza gwarantuje powodzenie tego rodzaju zabiegów; chociaż i w tym przypadku delikatnym dzieciom początkowo trzeba obmywać nogi chłodną wodą po zejściu słońca, wycierać je i obuwać. Dla osób nie nawykłych do chodzenia boso po mokrych kamieniach, po wodzie, po rosie lub po śniegu, czas tego rodzaju spacerów zamyka się w granicach 3-5 minut, góra – 15 min. Potem trzeba nogi wysuszyć, obuć i postarać się je rozgrzać przez chodzenie lub inne ruchy.”

Poglądy Witolda Kamińskiego zostały w całej rozciągłości potwierdzone przez rozwój medycyny w XX i XXI wieku.

Japoński naukowiec Masaru Emoto udowodnił, że woda jest żywiołem niezwykle, może magazynować nie tylko informacje, lecz uczucia i stany świadomości!

Masaru Emoto prowadził przez 12 lat badania, które miały na celu zobrazowanie pamięci wody i zmagazynowanych w niej informacji. W ciągu trzech lat japoński naukowiec wykonał dziesięć tysięcy zdjęć. Okazało się, że optymalne warunki prezentacji form krystalizowania się wody osiągnięto w temperaturze 5°C.

W przypadku „dobrej wody” kryształ tworzy się w formie sześciokąta, podobnie jak płatki śniegu. Wokół tego sześciokąta powstają krystaliczne „upiększenia”. Budowa, jak również kolor kryształu i jego centrum odzwierciedlają zapisane w wodzie informacje. Zdjęcia te można dowolną ilość razy reprodukcować.

W swojej książce „*The Message from the Water*” Masaru Emoto przedstawił 100 zdjęć z najpiękniejszymi kryształami, które powstały pod mikroskopem. Edycja ta stanowiła początek dalszych poszukiwań.

W 1984 roku biochemik z USA dr Lee H. Lorenzen przeprowadził po raz pierwszy badania z mikrogronami wody. Rozwinął on maszynową metodę biorezonansu

w celu przenoszenia informacji z jakiegoś produktu wody, która następnie informację tę magazynuje. Lorenzen wpadł na ów pomysł, kiedy jego żona ciężko zachorowała i żaden lekarz nie był w stanie jej pomóc. Amerykański naukowiec sprowadził z Kaukazu (ludzie są tam zdrowi i długo żyją) kefir, a z Andów cudowny środek pochodzenia roślinnego znany jako koci pazur. Informacje z obu tych produktów przeniósł do wody i następnie „potencjalizował” (rozcieńczył) roztwór 200, a nawet 400 razy, potem zaś podawał swojej żonie jako lek. Powrót do zdrowia następował tak szybko, że lekarze w USA i Meksyku do dzisiaj korzystają z dużym powodzeniem z tego nowego leku.

Od tamtego czasu biorezonans wykorzystywany jest przez wielu lekarzy i stomatologów do produkcji środków homeopatycznych. W 1986 roku dr Lorenzen metodę tę opatentował. Wtedy też zaczął współpracować z Japończykiem Masaru Emoto, który bardzo interesował się jego pracami. Emoto zabrał do Japonii jeden ze stworzonych przez dra Lorenzena aparatów i zainicjował badania naukowe mające na celu uzyskanie widzialnego obrazu tego, jak woda przechowuje przekazaną jej informację. Udało mu się wykonać pierwsze zdjęcie skryształizowanej kropli wody pod mikroskopem przy 400-krotnym powiększeniu. Był to pierwszy cud.

W ciągu następnych trzech lat zrobił dziesięć tysięcy zdjęć próbek wody pobranej z rzek Japonii i całego świata. Wpadł również na pomysł, aby poddać wodę działaniu dźwięków muzyki klasycznej i nowocześniejszej, a następnie ją sfotografować. Rezultaty okazały się wręcz piorunujące. Emoto poddawał wodę w próbce działaniu dobrych i złych słów, takich jak np. dobro i zło, miłość i nienawiść, anioł i diabeł, Adolf Hitler i Matka Teresa. Pewnego razu postawił próbkę z wodą na zdjęciu młodej dziewczyny, która się uśmiecha, a później drugiej próbce z wodą przekazał cechy tej dziewczyny. Otrzymał takie same zdjęcia kryształów. W czasie swojego urlopu zostawił na swoim biurku szklankę z wodą i napisał do swoich przyjaciół, aby zechcieli wysłać tej wodzie dobre myśli. Również i ten eksperyment się powiódł. Emoto twierdzi, że informacje są magazynowane w polu napięciowym między jądrem atomu i okrążającymi go elektronami oraz w ich połączeniach grupowych.

Woda magazynuje ponoć także nasze myśli i uczucia, razem z nami cierpi (zostało to udowodnione dzięki badaniom w czasie takich katastrof, jak trzęsienie ziemi itd.). Kiedy modlimy się lub błogosławimy, krystaliczne struktury również się zmieniają, co widać pod mikro-

skopem i na zdjęciach. Dzięki tej właściwości wody można sobie lepiej wyobrazić, jak być może działa Duch Boży, który jest wszędzie i wie wszystko, nic Mu nie umknie – ani nasze słowa, ani nasze uczucia.

W książce „*Więści z wody*” Emoto zestawiał i udokumentował wyniki swoich badań. Woda występuje w wielkich ilościach na całym świecie, zbierając i rozpuszczając wszystko, co napotka po drodze. Jest źródłem życia. Zanieczyszczona – stawia pod znakiem zapytania istnienie każdej żywej istoty. Biorąc pod uwagę sytuację środowiska naturalnego, Emoto zaczął szukać dróg wykorzystania odkrytej przez siebie właściwości wody.

Kryształy są ciałami stałymi z atomami i molekułami uporządkowanymi zgodnie z prawami fizyki. Płatki śniegu powstają w różnych warunkach i nie ma dwóch o takim samym wyglądzie (tak, jak nie ma dwóch takich samych twarzy). Wszystkie płatki śniegu mają tę samą strukturę podstawową (sześciokąt) i najróżniejsze rodzaje wody na ziemi w procesie krystalizacji zaczynają od tego właśnie wzorca. Ale, jeżeli zostanie zamrożonych nawet 100 próbek z tej samej wody, nie pojawią się dwa takie same wzory, choć we wszystkich próbkach występują porównywalne podobieństwa i tendencje w strukturze siatki krystalicznej.

Zniekształcenia i rozpad sześciokątnych kryształów to niedobry znak. Innymi słowy, kryterium wartościowania przy oglądaniu harmonijnych lub zdeformowanych kryształów może stanowić nasze odczucie.

17 stycznia 1995 roku w Hanshin-Awaji w Kobe wystąpiło silne trzęsienie ziemi. Trzy dni później z wody pobranej z wodociągów w Kobe wykonane zostały zdjęcia kryształów lodu. Wyglądało na to, jakby woda przeżyła strach, panikę i wielkie cierpienie, które ludzie odczuwali bezpośrednio po trzęsieniu ziemi. Kryształy były całkowicie zniekształcone. Odzwierciedlały to, co przeżyli ludzie.

Trzy miesiące później ponownie pobrano próbki z wodociągów. Stało się to w okresie, gdy do Kobe płynęła pomoc i sympatia z całego świata. Mimo że wokół zalegał jeszcze gruz – dzięki przyjaźni i serdeczności innych – ludzie byli gotowi odbudować swoje otoczenie. Badania zdawały się wskazywać na to, że woda również wchłonęła te uczucia. Dalsze prace nad tymi cudownymi właściwościami wody trwają także dziś i medycyna widocznie zaskoczy jeszcze nieraz nowymi w tej materii odkryciami.

Dr Jan CIECHANOWICZ

MOJE KATYŃSKIE WIGILIE

Okres Bożego Narodzenia nastraja do wspomnień. W ciszy nocnej sięgnęłam myślą wstecz, do czasów jakże innych od tych, w których dziś żyjemy.

Wigilia roku 1939

19 września 1939 r. Niemcy wkroczyli do Rzeszowa. Gmach szkoły, którą kierował mój Ojciec, zanim powołany ruszył na wojnę, zajęli okupanci i urządzili w nim niemieckie koszary wojskowe. Częścią tych koszar stało się również nasze nauczycielskie mieszkanie służbowe, z którego nas, tj. Mamę, mnie i moje dwie młodsze siostry wyrzucono w ciągu dwóch godzin na bruk. Przysparzaliśmy nas przyjaciele, znajomi i tak „koczowaliśmy” przez jakiś czas, każda w innym domu. Dzięki interwencjom niemieckiego komendanta miasta, pozwolono nam wrócić do poprzedniego, ograbionego już mocno mieszkania. Musiałyśmy je jednak dzielić z frontowymi niemieckimi żołnierzami. Przy bramie szkolnej był posterunek i stał niemiecki żołnierz, po okazaniu specjalnej przepustki, wyprowadzał nas pod karabinem na ulicę i przyprowadzał do mieszkania. Życie stało się koszmarem. Ale w tym to właśnie mieszkaniu, raczej w jednym wydzielonym nam pokoju, przeżywałyśmy Wigilię 1939 roku.

Wigilia Bożego Narodzenia. Pierwsza bez Tatusia. Ogromny smutek, tęsknota i ta okrutna niepewność co do jego losu. Dlaczego nie wraca? Czy żyje? Może zginął? A może przebywa gdzieś, skąd nie może dać znaku życia? Zza ściany dobiegają dźwięki melodii: „*Stille Nacht, heilige Nacht*”, a my, połykając łzy i dzieląc się opłatkiem, zaczynamy nucić drżącymi głosami, zamknięte w „naszym” pokoju – oczywiście po polsku – „*Cicha noc, święta noc...*”. Na małej choince, świerczku przyniesionym nam wcześniej litościwie

przez mieszkającego z nami pod jednym dachem Niemca (Austriaka? – byli przecież wśród nich też ludzie), kołysz się kilka zeszłorocznych bombek i papierowej łańcuch... Nie pamiętam już skromnego menu wigilijnej wieczerzy. Pamiętam płacz nas wszystkich. Najmłodsza siostra miała wówczas sześć lat.

Smutna to była Wigilia, ale przecież z odrobiną nadziei.

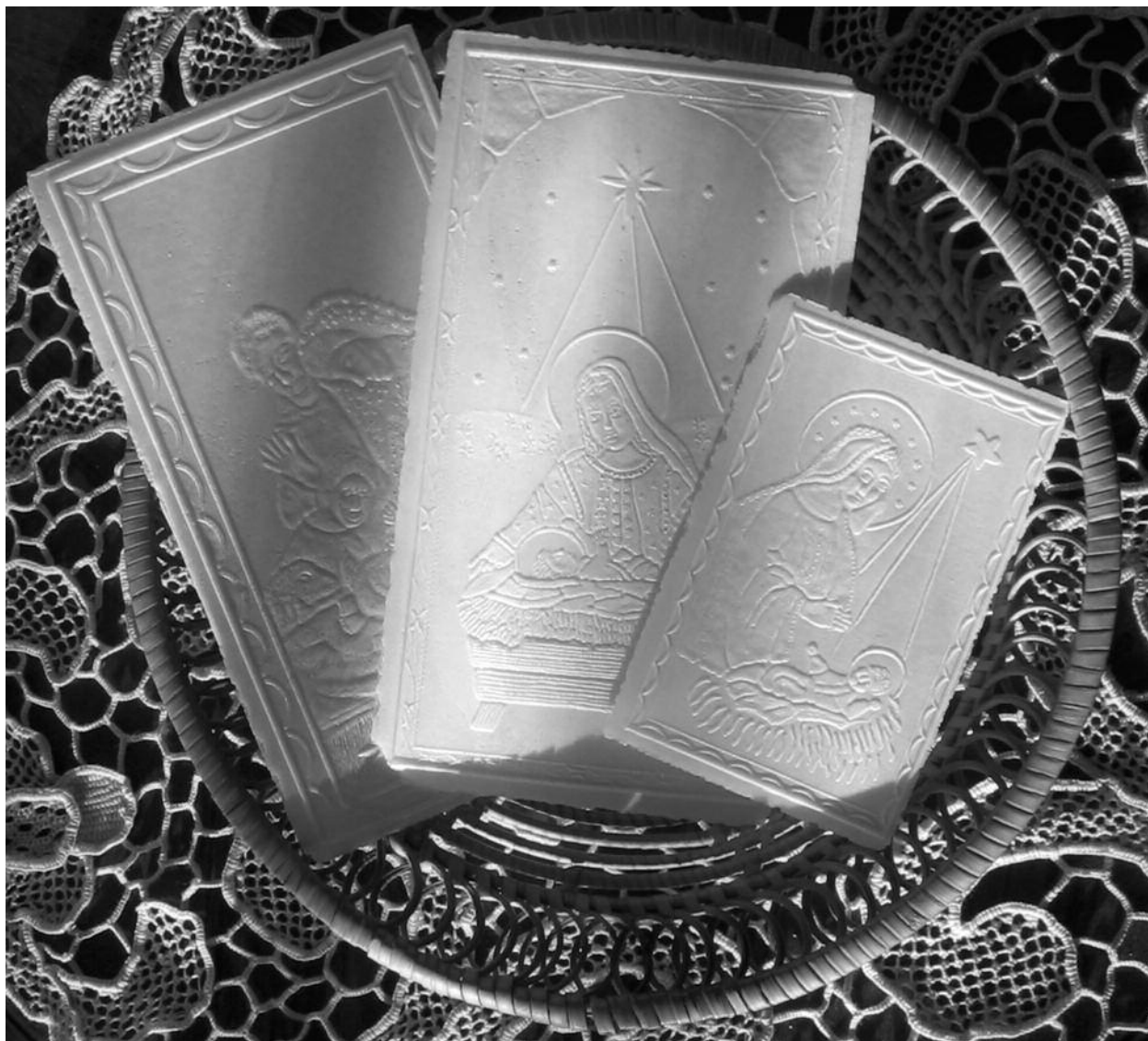
Wigilia roku 1940

Nadzieje nasze na powrót Taty wzrosły. Mieszkaliśmy już wtedy w małym, zimnym i bardzo zawilgotnionym domku na skarpie nad rzeką Wisłok. Miałyśmy już wtedy w rękach skarb do dziś będący relikwią rodziną – list otrzymany dokładnie 13 stycznia 1940 r., pisany w listopadzie roku 1939, jedyny list od Ojca z obozu w Kozielsku. A więc żyje i jest nadzieja, że wróci. Mój Boże, jak szukałyśmy bezskutecznie w małym atlasie, na mapie Związku Radzieckiego, tej małej miejscowości, nie wiedząc, że Taty już tam dawno nie ma. Jak oglądałyśmy dziesiątki razy tę małą, wydartą z zeszytu kartkę, na której ołówkiem kreślił słowa miłości i tęsknoty. W każdym zdaniu dopatrywałyśmy się jakiegoś podtekstu, jakiejś ukrytej myśli. Ale On o sobie niewiele napisał: „*Zdrowie moje jak w domu zimową porą, przez październik dokuczał mi żołądek. Kaszlę, ale na ogół zdrow jestem. Tyle o sobie, choć wiem, że chciałabym więcej...*”. Reszta listu to były pełne troski zapytania o nasz los, o los krewnych, znajomych, kolegów, o funkcjonowanie szkół, słowem wszystko, co stanowiło tu treść Jego życia. Całując tę kartkę z Kozielska w czasie Wigilii 1940 roku, żyłyśmy nadzieją nie wiedząc o tym, że Ojca nie ma już od dawna wśród żywych.

Wigilia roku 1943

„Najczarniejsza” Wigilia mego życia. Minęło już bowiem kilka miesięcy od czasu, gdy w lipcu tegoż roku „Goniec Krakowski” zaczął drukować listy pomordowanych w Katyniu polskich oficerów. Wśród nazwisk ekshumowanych widniało pod nr 3341 nazwisko mego Ojca – Dec Ignacy, porucznik rezerwy. Jak można słowami wyrazić ból i rozpacz przeżywane przez nas w ten święty, bożonarodzeniowy wieczór? Cóż z tego, że sąsiedzi i przyjaciele, wstrząśnięci naszym losem, pomogli Mamie zorganizować wigilijną kolację bez frykasów, ale z zachowaniem tradycji. Cho-





inki, oczywiście, nie było, nie było radosnego kołędowania. Był płacz, a ja czytałam przy wigilijnym stole mój list napisany do nieżyjącego już Ojca, napisany wcześniej, po ujawnieniu okrutnej zbrodni, która nie została nigdy osądzona przez żaden trybunał świata.

Ten list-wiersz nigdzie dotąd nie publikowany, surowo może osądziliby krytycy współczesnej poezji, ale dyktowały mi go szczere uczucia, a pisałam go w oparciu o konwencje poetycką tamtych czasów...

Stanisława DEC-SOJOWA

LIST DO OJCA

*Zabrała Cię nam wojna i los zapewne sądzony
Zagnał Cię, Ojczy drogi, w dalekie, obce strony
Tęskniłeś, cierpiełeś ogromnie – o tym list mówi jedyny;
Jaki nam stamtąd przysłałeś z północnej, ruskiej krainy.
I myśmy tęskniły ogromnie, śniły, marzyły o Tobie,
Lecz nigdy na myśl nie przyszło, że może leżysz już
w grobie.
Mogłaś Twa tak daleko, czy prosty krzyż nad nią stoi?*

*Czy na nią ktoś kiedy przyklęknie? Czy w kwiaty
choćby ustroi?
Obce Ci drzewa tam szumią, obce śpiewają ptaszyny,
Obca przykrywa Cię ziemia, Tatusiu najdroższy, jedyny.
Lecz duch Twój jasny, świetlany jest przy nas i z nami
wciąż blisko
Przez drogi nas życia powiedzie, gdzie ciemno
i stromo, i ślisko.*

Bolesław Bielawski

URYWKI Z NIEWYDANEGO PAMIĘTNIKA

Wstęp do wspomnień B. Bielawskiego

Spośród utworów nagrodzonych w konkursie Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej z 1962 r. zamieszczamy w niniejszym numerze „Krynicy” „Urywki

z niewydanego pamiętnika” Bolesława Bielawskiego. Autor w konkursie otrzymał jedną z czterech drugich nagród.

Ilustrujące tekst rysunki wykonała Olga Nikodem.
Janusz FUKSA

Moje lata uniwersyteckie to okres 1900–1905 r., kiedy w Rosji z każdym rokiem rosło wrzenie rewolucyjne, forsowane z jednej strony przez tak zwanych socjalrewolucjonistów, a z drugiej przez socjaldemoskratów obozu marksistowskiego. Jednocześnie wśród wielu narodów, szarpiących się w sieci wspólnej z innymi narodami państwowości, budziły się potężne prądy narodowe.

W Polsce, a szczególnie w Małopolsce i Kongresówce, rosły i zdobywały coraz większe wpływy nastroje „wszechpolskie”. Fala ta dotaczała się i do Kijowa. Półświadomie czy świadomie wpływy kierunku narodowego zaczęły się odbijać i na Polskiej Partii Socjalistycznej i jej ewolucji.

Już w 1900 r. Ludwik Opoczyński zwrócił moją uwagę, że wśród Rosjan temperatura socjalistyczno-rewolucyjna rośnie z dnia na dzień, że jedyna organizacja studentów Polaków, tzw. Korporacja, prowadząca bogatą i doskonale zorganizowaną wypożyczalnię książek naukowych, znajduje się w dużym stopniu pod urokiem kultury i nastrojów rosyjskich. Czy nie należałoby stworzyć drugiej polskiej organizacji studenckiej, która położyłaby mocniejszy nacisk na budzenie polskiej kultury narodowej? Zapytałem, czy nowa organizacja miałaby zwalczać socjalistyczną Korporację. Ludio zdziwił się i powiedział: „Skądże znowu, oni mają własne zadania, my mielibyśmy własne”. Ponieważ Ludio nie miał nadmiaru inicjatywy społecznej, więc przypuszczam, że w istocie rzeczy występował z namowy swego bliskiego krewnego, starszego działacza narodowego, adwokata Wilhelma Kulikowskiego. Takie też przypuszczenie wypowiedział w 1939 r. Witold Kazimierz Mierzejski w swojej pracy „*Fragmenty z dziejów polskiej młodzieży akademickiej w Kijowie*”. Był to, nawiasem mówiąc, najgorętszy zwolennik Korporacji.

W tym samym 1900 r. powstało pierwsze nieliczne koło pod nazwą Polonia. Należeli do niego przeważnie

studenci, którzy przyszli z gimnazjum w Żytomierzu, paru z Niemirowa, no i ja jako absolwent. Głównym organizatorem i pierwszym przewodniczącym był urodzony organizator Zygmunt Gilewicz, późniejszy organizator Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. Odbywały się co tydzień zebrania z odczytami. Najczęściej wygłaszali odczyty: Gilewicz – przeważnie z biologii, Zygmunt Topolnicki – o poezji i *de omni re scibili* (łac. o wszystkich rzeczach, które można poznać – *przyp. JF*) oraz ja, z nieprzewidzianą zarozumiałością, o historii filozofii.

Po jakimś czasie okazało się, że prawie jednocześnie powstał szereg analogicznych kół. Nastąpiło skomunikowanie się, opracowanie wspólnego statutu organizacji, oczywiście konspiracyjnej, wybory wspólnego zarządu, na czoło którego szybko wysunął się najstarszy z nas, wieczny student Stanisław Zieliński. Był to już umysł dorosły, bijący nas wszystkich erudycją, doświadczeniem życiowym i wyrobieniem społecznym. Dobry mówca i mocny polemista. Człowiek o wyraźnej linii politycznej, czerpiący swe natchnienie w dużej mierze w prądzie narodowym, ale zachowujący sporo indywidualizmu.

W latach 1901 i 1902 nazbierało się już kilkanaście kół. Organizacja zachowała nazwę Polonia i przetrwała po zakończeniu studiów przez wszystkich założycieli do jakiegoś 1920 roku. Polonia zorganizowała własną bibliotekę, oczywiście daleko skromniejszą od korporacyjnej, tak, że poloniści nadal korzystali z obu bibliotek.

Pomiędzy obu organizacjami odbywały się niejednokrotnie zebrania dyskusyjne przy udziale patronów obu stron. Przyznać należy bezstronnie, że na zebraniach tych nigdy nie dochodziło do żadnych gorszących scysji. Poziom był poprawny, a nawet kurtuazyjny. Osobiście pamiętam dwa takie zebrania przy udziale patronów. Jedno odbyło się w mieszkaniu mecenasa

Henryka Wilczyńskiego, drugie u mecenasa Lucjana Knolla. Oba zebrania miały do rozstrzygnięcia drażliwą kwestię natury finansowej.

Co roku młodzież polska w czasie tzw. kontraktów kijowskich organizowała od dawna dwa wielkie doroczne polskie bale: bal studentów uniwersytetu i bal politechników. Bale te w zamożnym Kijowie, podczas zjazdu cukrowników i ziemian, dawały po parę tysięcy rubli czystego zysku każdy i miały utrwaloną opinię najbardziej eleganckich zabaw. Goście bywali wyłącznie za zaproszeniami, rozwożonymi przez studentów. Pieńiądze wpływały głównie do polskich studenckich „bratniaków”, a pierwotnie częściowo do Korporacji, na cele organizacyjne. Z chwilą powstania Polonii wyłoniła się kwestia dopuszczenia tej ostatniej do zasiłków społecznych z tych źródeł. Większość przedstawicieli polskiego społeczeństwa, jeżeli należała za czasów studiów do jakiejś organizacji, to oczywiście do Korporacji, jako pierwotnie jedynej. Mimo to na obu zebraniach zapadły uchwały sprawiedliwego podziału sum pomiędzy obie organizacje.

W tej części moich wspomnień mogą być nieścisłości. Kwestiami finansowymi nigdy nie interesowałem się, biletów nie rozwoziłem. Jedynie na obu posiedzeniach należałem do reprezentacji Polonii i zabierałem głos w obronie jej interesów. Muszę przyznać, że dyskusja pomiędzy przedstawicielami obu grup młodzieży była całkowicie poprawna, poważna i wolna od wszelkich oskarżeń i wycieczek osobistych.

Więcej zdenerwowania wyczuwało się wśród niektórych patronów. Jedyne ironiczne w stosunku do Polonii przemówienie wygłosił na drugim posiedzeniu świetny mówca mecenas Lucjan Knoll, ojciec późniejszego ministra spraw zagranicznych. Na mnie spadł zaszczyt udzielenia mu odpowiedzi, która została życzliwie przyjęta przez większość. Wspominam o tym z podwójną przyjemnością: po pierwsze, że wyszedłem ze spotkania „z tarczą”, a po drugie, że po zebraniu paru patronów zafundowało mi doskonałą kolację.

Nie mogłem się wówczas pozbyć wrażenia, że starsze pokolenie znacznie słabiej od młodzieży orientowało się w nowych prądach, idących z Polski.

Najtęższymi jednostkami w Korporacji byli w owym czasie politechnik Witold Zabłocki – zmarły w młodym wieku, późniejszy profesor Wojciech Świętosławski i Tadeusz Zagórski; ten ostatni więcej esteta i mówca niż myśliciel.

Obie organizacje przyczyniły się do rozbudzenia i rozwoju życia umysłowego i społecznego w Kijowie.



Kijów. Pomnik Matki Ojczyzny

Korporacja przyczyniła się do utworzenia konspiracyjnej Oświaty Ludowej, Polonia – do powstania równoległej Oświaty Narodowej, potem, już po 1905 r., do zorganizowania jawnego towarzystwa Oświata. Następnie Polonia przyczyniła się do utworzenia Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego (PTG), które stało się, obok Ogniwa, drugim klubem polskim. PTG nosiło nieco demokratyczniejszy i skromniejszy od Ogniwa charakter. Ponadto Polonia zajęła się organizowaniem polskich kółek samokształcenia wśród uczniów szkół średnich i pomocy tym kółkom w miastach prowincjonalnych.

Miało to miejsce, o ile pamiętam, w roku 1905, po zapowiedzeniu zwołania Dumy Państwowej – surogatu rosyjskiego parlamentu – oraz wydaniu tzw. ukazu wolnościowego. Na miasto spłynęła fala powietrza wolnościowego, ludzie odetchnęli swobodniej, nagle po dziecinności uwierzyli, że zaczyna się nowe życie, że świat się zmienia, że każdy będzie mógł mówić i robić, co chce.

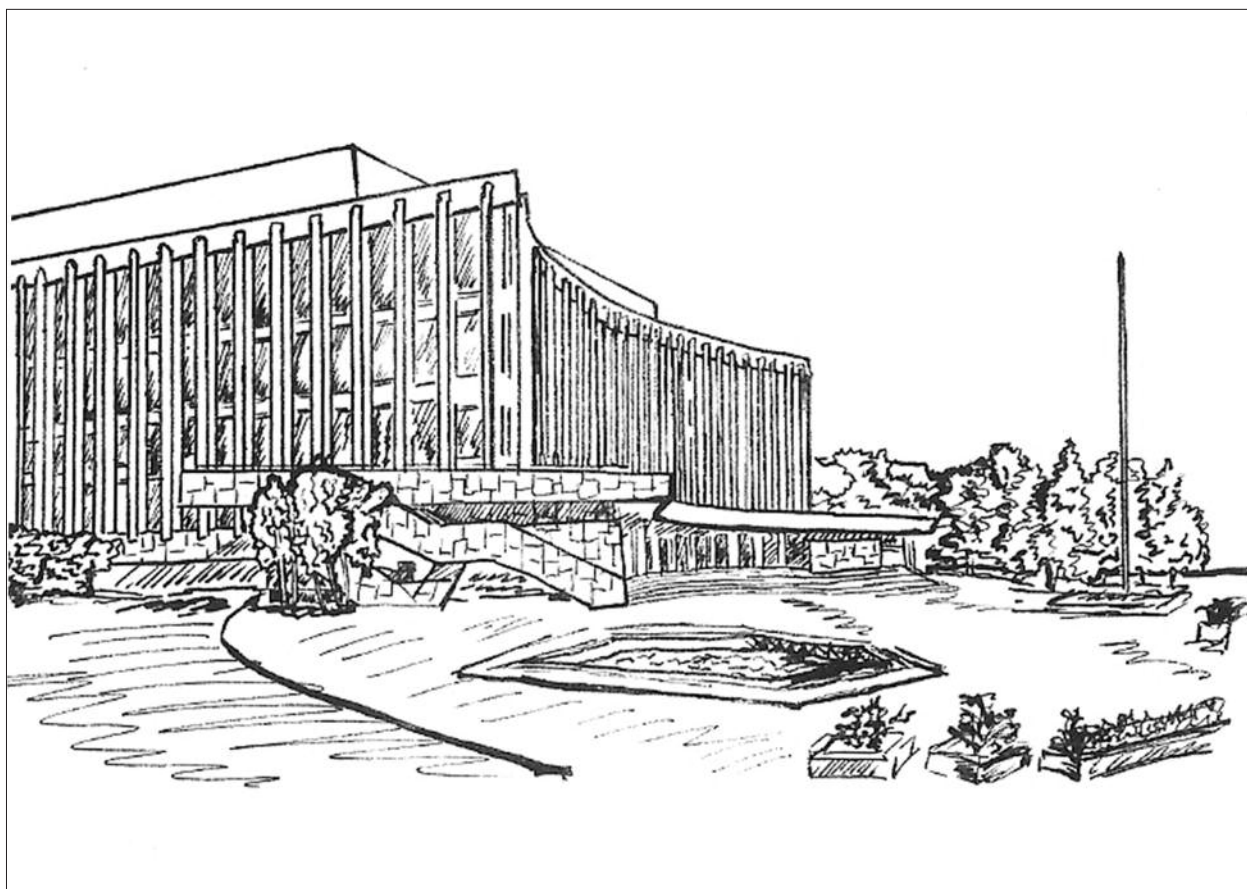
Poszedłem z kilkoma kolegami w kierunku uniwersytetu. Dzień był piękny. Z uniwersytetu ruszył pochód, w którym większość stanowiła studenteria, na czele – kilku działaczy rewolucyjnych, których nazwiska nam Polakom nic nie mówiły. Doszliśmy

Wielką Włodzimierską do Funduklejowskiej, zawróciliśmy w kierunku Kreszczatiku. Policji nie było widać, nikt nie krzychał: „rozejść się”. Przy Funduklejowskiej tłum zatrzymał dorożkę, wyprzągł konia i, nie zdejmując z niego uprzęży, wsadził na niego jakiegoś bohatera rewolucji. Człowiek ten wysunął się na czoło pochodu i poprowadził go w kierunku ratusza. Przed ratuszem pochód zatrzymał się i rozpoczęły się mowy z balkonu ratusza. Tłum trochę śpiewał, trochę, jak zwykle, krzychał: „niech żyje” i „precz”. Megafony jeszcze nie istniały, więc poza najbliższymi stojącymi nikt niczego dobrze nie słyszał, ale wszyscy cierpliwie stali i przeżywali entuzjazm.

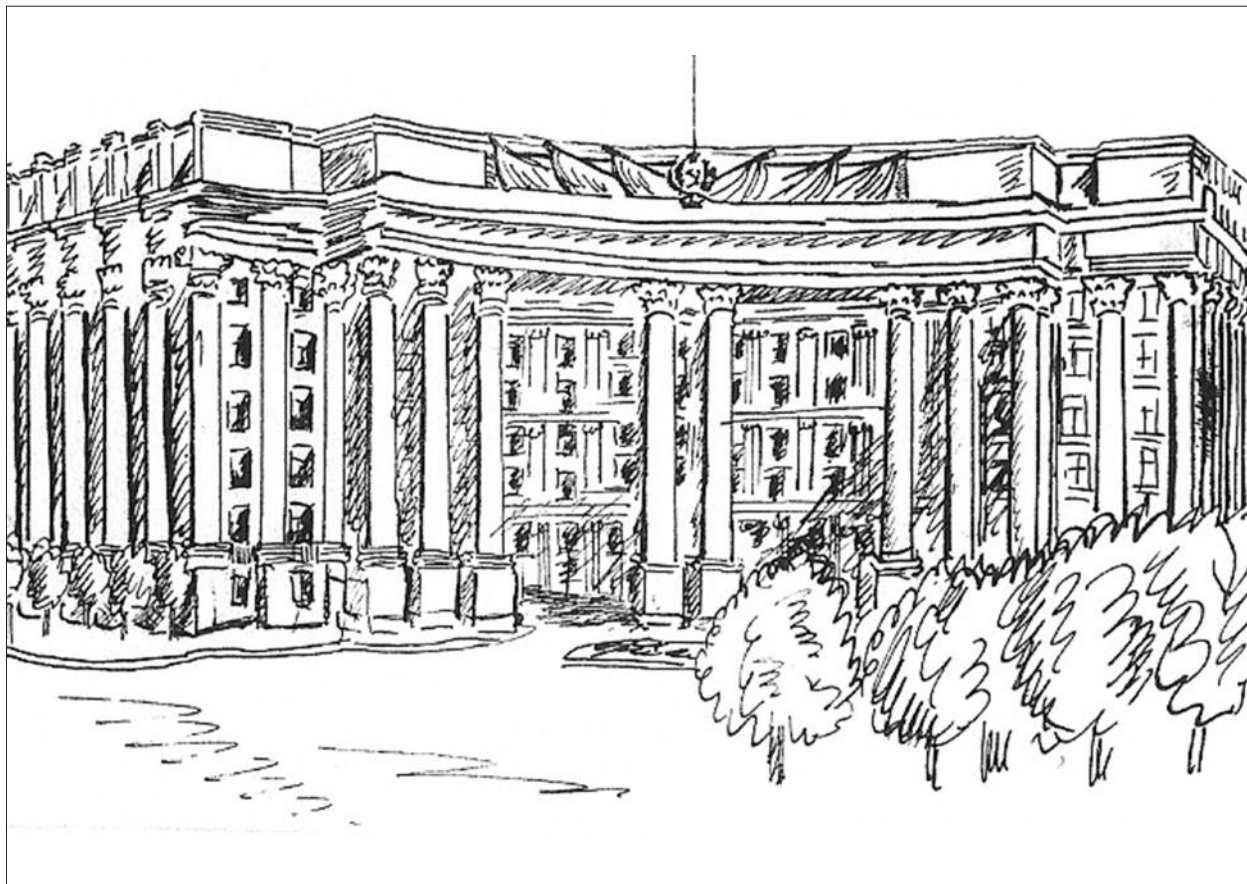
Wreszcie nogi zaczęły boleć, a głód dokuczać. Wówczas z Władysławem Lewickim i studentem Mancewiczem weszliśmy do jakiejś trzeciorzędnej restauracji na Placu Dumskim, w której ani przedtem, ani potem nigdy nie byłem. Obstałowaliśmy jakieś danie. Przyglądałem się publiczności i przysłuchiwałem się rozmowom. Po krótkim czasie zauważyłem, że nastrój jest pijany, podniecony, krzykliwy i... wcale nie radosny. Studenterii niewiele, znajomych twarzy żadnych, niektóre mordy zakazane, z jakiegoś kąta doleciał mnie

okrzyk: „dołoj gramotnyje” (precz z piśmiennymi). Zwróciłem uwagę kolegów na otoczenie, zapłaciliśmy i wyszliśmy na plac.

Chociaż pobyt w restauracji nie mógł trwać dłużej niż pół godziny – godzinę, nie poznaliśmy ani dnia, ani tłumy, ani nastroju. Tłum zgorączkowany. W poprzek placu posuwa się dwusereg piechoty z pochyłymi bagnetami. Sygnał trąbką, żołnierze prą na rozpryskujący się tłum, broń podnoszą do strzału. Z placu wjeżdża na ul. Sofijowską wolna parokonna dorożka. Zatrzymuję dorożkę, wskakujemy do niej: Lewicki i ja na tylne siedzenie, Mancewicz na przednie. Dorożkarz podcina konie i pełnym kłusem rwie pod górę Sofijowskiej. Tłum na chodnikach na widok studentckich czapek wygraża pięściami. Kiedy skřęciliśmy już w Wielką Włodzimierską, Mancewicz, siedzący naprzeciwko mnie z napiętym wyrazem twarzy, flegmatycznie powiedział: „nie trafił”. „Kto nie trafił? Czego nie trafił?” „A tu jeden z kijem przez pół Sofijowskiej biegł za powozem i kilka razy usiłował trafić was w głowę”. „To dlaczego nie powiedziałeś nam?” „Kiedy tylko doskoczył do powozu, to konie poderwały i trafił w złożoną budę”.



Kijów. Pałac Kultury „Ukraina”



Kijów. Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Kiedy dojechaliśmy do domu na Wielką Podwalną i chciałem zapłacić dorożkarzowi, odmówił przyjęcia zapłaty. „Nie taki dziś dzień, panie, żeby pieniądze brać”. W domu zastaliśmy tylko służącą, która powiedziała, że pani, to znaczy moja matka, zabrała panienkę i wszystkich czterech uczniów i poprowadziła na miasto, żeby im pokazać „swobodę”.

Popędziłem Wielką Podwalną i Prorezną w stronę Kreszczatiku. Ulice były puste, ale kiedy doszedłem do połowy Proreznnej, z Kreszczatiku wkroczył oddział piechoty i dał salwę wzdłuż ulicy. Skryłem się do bramy, przekonałem się, że na Kreszczatik nie przejdę i, starając się iść pod domami, powoli wróciłem do domu. W domu był tylko Mancewicz i bliski szалу ojciec chłopców niejaki Koczubej, zamożny ziemianin, potomek słynnego Koczubeja, który pisał donos na hetmana Mazepę do cara Piotra. Muszę wytłumaczyć, skąd ten pan znalazł się w naszym domu. Dobra miał na lewobrzeżnej Ukrainie, był żonaty z chłopką, miał z nią czterech synów, których przywiózł do szkół w Kijowie. Na guberniera do chłopców zgodził polskiego naukowca Adama Szymańskiego i uprosił moją matkę, żeby wzięła większe mieszkanie i przyjechała na stancję tę

piątkę, a właściwie szóstkę, bo z Szymańskim mieszkał dodatkowo jego brat uczeń.

Po naradzeniu się ze mną Koczubej zabrał mnie do swego *lichacza* (w dawnej Rosji: elegancki powóz lub sanie zaprzężone w doborowe konie – *przyp. red.*) i *rysak* (koń przyuczony do bardzo szybkiego klusa – *przyp. red.*) pomknął na Kreszczatik do hotelu naprzeciwko Mikołajowskiej, obok ratusza. W restauracji hotelowej Koczubej spotkał jakiegoś znajomego, młodego eleganta, który z zachwytem zaczął mu opowiadać, jak przed pół godziną oddział dragonów brawurowo szarżował na bezbronny tłum i „wziął go w szablę”. Patrzyłem na Koczubeja i widziałem, że ten olbrzymi mężczyzna ma wyraźną ochotę dać w pysk swemu rozmówcy. Przerwał szorstko potok wymowy znajomego i zapytał, czy byli ranni i zabici. Elegant stwierdził, że było sporo, ale wszystkich pozbiali i porozwozili po szpitalach. Wsiadliśmy z powrotem do *lichacza* i Koczubej kazał jechać do szpitala na Okrągłej Uniwersyteckiej. *Rysak* popędził Kreszczatikiem. Furman ani drgnął, kiedy w połowie drogi z tyłu za nami rozległa się salwa.

W szpitalu zastaliśmy chaos zupełny, rannych moc, spisów żadnych.

Pojechaliśmy z powrotem do domu. Tu zastaliśmy matkę i wszystkich w dobrym zdrowiu. Koczubej przelecił synów. Potem zwrócił się do matki, nie zrobił jej żadnej przykrych uwagi, a tylko witając się, spojrzał na nią z ironicznym uśmiechem.

Okazało się, że cała grupa przed pierwszą salwą i szarżą dragonów stała naprzeciwko ratusza, po drugiej stronie Kreszczatiku. Matka w porę zorientowała się w sytuacji i kazała wszystkim schować się do bramy kamienicy. Po przejściu szarży wszyscy wyszli z bramy; w poprzek furtki leżał trup mężczyzny, ulica była pusta. Matka pierwsza przeszła przez trupa, reszta za nią, skręcili w ulicę na lewo i przez całe Lipki i Besarabkę naokoło doszli do domu. W mieście zaczął się pogrom Żydów, który trwał, zdaje się, parę dni. Na Wielkiej Podwalnej, gdzie wówczas mieszkaliśmy, nic się nie działo.

Tak skończyło się „Święto Wolności” – pierwsza zaprawa do przeżyć rewolucyjnych.

Kiedy spytałem matkę, czym się kierowała, wyprowadzając młodzież na ulicę, odpowiedziała zupełnie spokojnie: „Myślałam, że naprawdę zaczyna się wolność i kończy niewola, pragnęłam, żeby młodzieży ten dzień pozostał na zawsze w oczach i pamięci”.

Zanim ukończę wspomnienia z czasów kijowskich, niech mi wolno będzie poświęcić parę stron temu, co jest największym klejnotem Kijowa i całej, tak rozrzućnie bogatej w piękno, ziemi ukraińskiej – Dniepru, tej potężnej, zmiennej i kapryśnej rzeki. Nie małą rolę odegrały w tworzeniu się podświadomych warstw mego młodzieńczego ducha Dniepr, wierchy tatrzańskie, *Sacra Sacrorum* Wawelu (łac. świętość nad świętościami – *przyp. JF*), jeziora Szwajcarii i niesamowite, nieśmiertelne piękno greckiego Akropolu.

Nie mam zamiaru próbować opisywać piękna i uroku Dniepru. Nie wiem, czy poważy się kto na to jeszcze po wielkim talencie Gogoła. Jego opis Dniepru w czasie cichej pogody i podczas burzy pozostanie niewątpliwie jedną z najpiękniejszych kart literatury światowej. Chcę tylko odświeżyć wspomnienia z wycieczki po Dnieprze.

Na prawym wysokim brzegu Dniepru, na południe od Kijowa, niedaleko od przedmieść miasta stoi Wydubicki Monastyr. Stary klasztor stoi bardzo wysoko i prezentuje się wyniosłe. Góra zarośnięta jest pięknym mieszanym lasem, ale widok na Dniepr, most kolejowy

i lewobrzeżne lasy jest otwarty, rozległy i ponad przeciętną miarę uroczy.

Wybraliśmy się tam łodzią w piękny, słoneczny dzień, w towarzystwie panien i studentów. Wśród kolegów byli tacy laicy wioślarstwa, jak przyszedł ksiądz Władek i ja, ale i paru „zawodowych wioślarzy”, członków sekcji wioślarskiej Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego.

Do monasteru płynie się z Kijowa z prądem rzeki, a więc szybko i bez wysiłku, bo prąd jest wartki i sam niesie łódź. Przy monastyrze wyszliśmy na dość stromą górę, napawaliśmy się widokiem, brodziliśmy po lesie, posililiśmy się trochę, a przed samym zachodem słońca wróciliśmy do łodzi i wzdłuż lewego brzegu popłynęliśmy pod prąd do Kijowa. Teraz zaczęła się systematyczna i ciężka praca wiosła. Gdy mijaliśmy most łańcuchowy, zapadł już zmrok, widziało się twarze płynących, kontury brzegu i niewiele więcej. Minęliśmy most, płynęliśmy dość blisko, o jakieś kilkadziesiąt metrów od brzegu. Sterował jeden ze „znawców”, Władek siedział na drugich wiosłach, ja – na pierwszych. Płynęliśmy dość szybko, bo zapadająca ciemność przynaglała do pośpiechu.

Nagle łódź nasza zaczęła skakać i stukać po kamieniach, przechylając się z boku na bok i nie posuwając się naprzód. Zaczął się popłoch, parę osób krzyknęło i zerwało się z miejsc, niektórzy wioślarze porzucili wiosła, tracąc głowę. Obejrzałem się poza siebie i zrozumiałem sytuację. Wzdłuż lewego brzegu rzeki, co jakieś 100 metrów były porobione kamienne tamy, idące skośnie od brzegu w kierunku środka koryta rzeki i znajdujące się mniej więcej pół metra poniżej poziomu wody. Nie wypominając, każdy sternik powinien był o tym wiedzieć i pamiętać. Huknąłem z pasją: „Wjechał na tamę, wszyscy do wiosła, nikt nie wstaje z ławki, przepychamy się wiosłami”. Woda płynęła po tych „kocich łbach” z szumem i warkotem, ale tamy nie były szerokie i przy ogólnym wysiłku wioślarzy w parę minut przepchaliśmy łódź przez tamę i mocno wiosłując odsunęliśmy się dalej od brzegu, żeby nie wpaść na następną tamę. Po jakiejś godzinie forsownego wiosłowania pod największy prąd, w ponurym milczeniu i w zupełnej ciemności, oblani potem, przybiliśmy do przystani kijowskiej.

Przygoda skończyła się szczęśliwie, ale moja Zosieńka na całe życie zachowała uraz do sportu wioślarskiego.

Barbara Stępniewska

KIJÓW – WSPOMNIENIA

Wstęp do wspomnień B. Stępniewskiej

Kontynuując nasz cykl utworów nagrodzonych w konkursie Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej z 1962 r. proponujemy wiersze Barbary Stępniewskiej, które zostały wówczas wyróżnione trzecią nagrodą.

Autorka opisuje swoje przeżycia i spostrzeżenia związane z Kijowem.

Janusz FUKSA

MAŁA OKTAWA W TONACJI DUROWEJ

Nuta C

Spojrzyj w oczy – nie pytaj.
Dobrze...
Kawa pachnie bez cukru,
W dymie znajome twarze przyjaciół –
Kółka z kazbeków kręcą się, kręcą.
Marzą myśli...
Coraz dalej świat, dalej,
Zostały oczy i uśmiech –
Pożegnań.

Nuta D

Znajome twarze – znajome głosy...
Nie – nie znam.
Chciwie łowię szelesty na twarzach i drgania.
Taki świat przeogromny –
I obcy i swój.
Tak lecą dni...
Zatrzymam!
Nie, nie potrafię.
Gorzko.

Nuta E

Fioletowe wieczory,
Szare łachy
I świt, który budzi
Gwiazdy połyskujące jak lód.
I szare ręce drzew,
Z czerwonymi palcami.
Władimir – płynący we mgle Dniepr,
Kawiarenka z włoskim ekspressem –
I dużo śmiechu na piasku.

Nuta F

Wichura – rozszalałe drzewa,
W słońcu głowy i czerwień,
Na blasku wody gładzą się łachy,
Prószy piaskiem, pod swetrem – zimno!
Okno stuka o ramę.
Z wyciągniętej dłoni ptak łapie ziarno.
Cerkiew płonąca w słońcu –
Światła!
Czerwień wieczoru,
Zieleń świtu –
Smutek powrotu.

Nuta G

Miłe spojrzenia, dobre uśmiechy,
Powrót przez Dniepr.
Rozszalałe namiętności kołyszą gwiazdami.
Czarna noc pieśni – i podwójne echo.
Spleceni ramionami
Sunjemy
Wzdłuż Dniepru po piasku,
Noc połączyła uśmiechy
W przyjaźń.

Nuta A

Stukot kół – żółta chorągiewka odjazdu,
Za oknem suną drzewa – jak myśli.
Pada deszcz.
Na przystanku – cienie pożegnań
Rozwiane przez wiatr.
Jestem sama.
Gwiazdy w ciemnym tunelu, splątane nasze kroki
I ślady stóp – wyciśnięte nad Dnieprem
Na piasku.

WŁADYMIER STRAŻ TRZYMA NAD DNIEM

Postać, Władymirze, twoją wielką
Widać – rano jasną,
W południe uśmiechniętą,
W zmroku poważną.
A wieczorem rośniesz w mgły ubrany,
Jak dobry książę,
Z rzeką jak ty królewską.
Na górze straż
Trzymają drzewa,
W nich wpół objęci
Zakochani,
Latem rycerze w zieleni,
Jesienią w czerwieni,
A zimą – biali czarodzieje.
Tylko Władymir zawsze jednakowy,
Nad rzeką pieczę trzyma
I jest godny szacunku,
Że strzeże Ukrainy długo.
Tylko czasami razi go w oczy
Blask od miasta
W wiecznym tańcu – czerwieni.



DZIEŃ W KIJOWIE

Grafika mijających ścieżek,
Zapach mydła. Gliniane kubki,
Z których pije się słodycz,
Smak gotującego się mleka
I szkoły z dziećmi.
Dzień świeci w okna pozamykane,
Twarze wybiegające z bram,
Echo wozów głucho dudni po wczesnych ulicach.
Z bramy wybiegł malec z tornistrem.
Przyjechał wóz – wynoszą z domu śmieci.
Na kamiennej płycie grają w guziki,
Rysują kredą marzenia
I jedzą rajskie jabłka – z cementarnych drzew.
Wypełnione ulice, wypełnione tramwaje.
Przeznaczenie – ośmiogodzinny trud.

O ZMROKU

Fruwają coraz wyżej – brzemienne blaszanki,
Ogień złoto pali w szybach.
Dudni echo piwnicami od bruków,
Na krenelażach – gołębie.
Ścieżki pieszych – krzyżują się
Ze światłami pojazdów,
Zapalają się jak lampy domy,
Miasto mruga tysiącami okien.

ŁAWRA PECZERSKA

Ciszej... Schodzimy szeregiem,
Świeczka kupiona za rubla – chyboce.
W kamiennym grobie leżą obojętni,
W tiarach na głowie,
Męczennicy – czy święci?
W kamieniu – gniazda wykute
Dla mnichów,
Zdrapane ręką za życia nieżywą.
I stopy – wymodlone w klęczniku,
I głuche śpiewy przed złotą ikoną.
Krople płomyków biją nas po twarzach.
W powadze słowo nie wyleci głośne.
Na szklanych trumnach zapalone słowa
Żar wtapia w zwiędłe twarze
Umarłych.



Śmierć i ofiara –
 Urok tego miejsca zostawia ślady i wyciera kroki.
 Na górze – życie, tu mogiła.
 Sylwetki kobiet w chustach,
 Trzęsące się ręce.
 Wita nas światło – jesteśmy zmęczeni,
 Różowe twarze, jesienne powietrze.
 W oczach kopuły, złożone czerwienią
 I pop uśmiecha się do nas
 Serdecznie.

U SASZY

Pijemy na werandzie
 Kawę czarną – jak noc z winem
 I jemy gwiazdy.
 Baranki chmur – kołyszą głowami,
 Suną myśli.
 Pociechą – marzenia nieczyszczalne,
 Dłgie rozmowy witają noc.
 Dniepr świeci jak polakierowany księżyc.
 Dobranoc, mili.

PRAZDNIK

Radość... radość... baloniki różowe
 Kręcą w kółko i śmiech słysząc z sali.
 W wirze tańca hipnotyzują oczy.
 Śpiewa Doris Day, potem Armstrong gra.

Przyjaźń pochyla ku sobie głowy,
 Miłe usta wyrrywają słowa,
 Kwiat czerwony sztuczny trzymam w dłoni,
 Zaczarowany... zaczarowany...
 Rytm porywa – poddaję się tobie
 I nie widzę już par ani światła,
 Świat się kręci, jak młyn do kawy,
 Tylko kawa nie pachnie.
 Szkoda.
 Piję wino.

OGRÓDEK NINY

Zakwitły róże w ogródku – nie moim
 I miękkość płatków wabi więcej – niż zapach.
 W kolorze zachodu rozbłyły słońcem
 Oczy twoje.
 I zanurzyć się w zieleń trzeba,
 By odpocząć.
 Westchnień tyle, a marzyć –
 Nie wolno.
 Tyle rozkoszy dają łąki –
 Nie trzeba płacić.
 I kwiaty umierają płacząc.
 Nie zrywać!
 Wczoraj zwiędły róże – płatki zgubiły!
 Trzeba czekać do lata.



Piotr Dymitr Wiszniewski

OSTATNI „EMPAJER”* (wspomnienie)

Krótko przed Bożym Narodzeniem 1972 r. załoga s/s „Bałtyk”** przygotowywała się do podwójnego święta – gwiazdki i jubileuszu 200 rejsów statku. Kabiny przystrojono gałązkami świerkowymi zabranymi z Civitavecchia. We wszystkich dekoracjach dominowała magiczna liczba „200”. Na burtach marynarz Hubert Kamiński wymalował napis: „200 voyages”. Komin również z obydwu stron został przystrojony dwusetką okoloną laurowym wieńcem. Wigilia przypadła nam na Morzu Śródziemnym tuż po pobraniu bunkru w Porto Foxi na Sardynii. Była to naprawdę wspaniała wigilia! Najstarsi marynarze z „Bałtyku” nie pamiętali tak dobrze i uroczyście przygotowanej wieczerzy. Kucharze przyrządzili 12 smakowitych dań. Na stole świątecznym znalazły się najwyższej klasy wina, koniaki włoskie i zachowana specjalnie na tę okazję – polska „Wyborowa”. Padły toasty za szczęście osobiste i zdrowie najbliższych, za pomyślność polskiej bandery i s/s „Bałtyk”. Minutą ciszy uczciliśmy pamięć marynarzy, którzy zginęli w Wietnamie na pokładzie „Conrada” i którzy polegli podczas II wojny światowej.

Wracając wspomnieniami do lat wojny zaczęliśmy przypominać i odtwarzać historię naszego statku, który już od 31 lat nieprzerwanie nosił polską banderę. Wtedy był on jedynym statkiem w naszej flocie handlowej służącym nieprzerwanie przez tak długi okres. Po wojnie s/s „Bałtyk” odbył już 200 podróży na przestrzeni od 1946 do końca 1972 r. Nie jest to mało, zważywszy, że statek zatrudniany był przeważnie w dalekim zasięgu, jego rejsy trwały po 6-12 miesięcy i wiodły przez zaminowany Bałtyk do najdalszych zakątków kuli ziemskiej. Na pierwszą setkę powojennych rejsów statek pracował aż 18 lat, tj. do 1963 roku. Druga setka, już pod znakami PŻM (Polska Żegluga Morska – *przyp. red.*) przyszła łatwiej, bo została wy-

robiona w ciągu 10 lat. A ile rejsów wojennych zaliczył „Bałtyk” – nie wiemy dokładnie, może 10, a może 20. Wiemy natomiast, że statek nasz miał swój udział w zwycięstwie nad faszystowskimi Niemcami, kursując w konwojach i wożąc materiały wojenne na Północnym Atlantyku między Wschodem i Zachodem. Dlatego nie wolno nam zapomnieć i przejść do porządku nad faktem historycznym o wielkim znaczeniu, mianowicie: „Bałtyk”, po zbudowaniu w angielskiej stoczni „Svan Hunter and W. Richardson” w Newcastle, podniósł w lutym 1942 roku białą-czerwoną banderę, którą nosił nieprzerwanie do 14 lipca 1973 roku. Statek wszedł do eksploatacji w najdramatyczniejszym okresie walk z faszyzmem, był wówczas autentyczną częścią Polski walczącej na morzu. 31 lat służby morskiej s/s „Bałtyk” zawiera kawał wspaniałej historii Polskiej Marynarki Handlowej.

Szukając w magazynkach i schowkach statkowych starych dzienników i po prostu jakichś dokumentów znaleźliśmy z delegatem załogowym Andrzejem Klemmem wśród szpargałów kilka ciekawostek zawartych w raportach maszynowych. Pisemka te pochodzą jeszcze z okresu wojny, dzisiaj są one pasjonującą lekturą; żałować tylko należy, że jest ich tak mało. Oto pierwszy z brzegu maszynopis podpisany przez starszego mechanika Bastrzyckiego i skierowany do inspektoratu technicznego GAL w Londynie, wysłany z Newcastle 6 lutego 1942 roku:

„....Uprzejmie komunikuję, że w dziale maszynowym przeprowadzane są następujące roboty – dopasowane zostały podkłady pod fundament maszyny głównej wału łozyska oporowego oraz wału tunelowego. Linie wału maszyny głównej i wału podwodnego została dziś sprawdzona w obecności przedstawiciela Lloyda... Wnioskując z tempa postępujących obecnie prac w dziale maszynowym nie na-

* Empajery to statki typu EMPIRE – seryjnie budowane w czasie II wojny światowej w Wielkiej Brytanii transportowe, mające zastąpić tracone w bitwie o Atlantyk statki handlowe.

** S/s „Bałtyk” – statek zbudowany w Anglii, seria EMPIRE, nośność 10400 ton. W latach 1941–1944 amerykańskie stocznie wybudowały w serii LIBERTY aż 10 tys. sztuk podobnych statków z przeznaczeniem dostarczania materiałów wojennych walczącej Europie. Tempo produkcji było następujące: stocznia opuszczała 7 statków tygodniowo. Mimo „stachanowskiego” tempa jakość była zadziwiająco dobra. „Liberciaki” i „Empajery” na morskich szlakach kursowały jeszcze w latach 90. XX wieku.

leży się spodziewać większego opóźnienia co do terminu wykończenia statku...”

Następne pismo z dnia 21 lutego 1942 r. dotyczy już ostatniej fazy budowy:

„...Ustawienie maszyny głównej łożyska oporowego i wału tunelowego zostało zakończone... wał tunelowy jest całkowicie połączony... zakończono zakładanie wszystkich szotów, gretingów, schodów oraz pokładu dookoła komina. Przyrząd do wyciągania popiołu jest na wykończeniu. Dano po 20 ton węgla do bocznych bunkrów oraz napel-niono kotły wodą. Kotły będą prawdopodobnie rozpalone w poniedziałek. W bunkrze głównym jest na razie osza-lowana tylko ściana... Dnia 25 lutego 1942 r. ma się odbyć pierwsza próba maszyny...”

Raport maszynowy z 8 maja 1942 roku:

„Upzejmie komunikuje, że w podróży nr 1A zatrzy-mano maszynę dwa razy na bardzo krótki czas z powodu wypadnięcia bolca od głównego zaworu maszynowego oraz grzybka wentylatora bezpieczeństwa... Kotły praco-wały dobrze. Po wygaszeniu zauważono przeciek na ośmiu bolcach i dwudziestu nitach... przez parę dni za-łoga nie stawiała się do roboty, oprócz wachtowych, dlatego zmuszony byłem wziąć stocznię do pomocy. Jednocześnie

pragnę donieść Wielmożnym Panom, że system wody słod-kiej był fatalny... Po zjeździe z Wielkiej Brytanii kran in-dykatora WC zaczął przepuszczać, był on nieszczelny i ruszał się. Ponieważ w konwoju nie mogłem stopować maszyny, aby go przepakować, dlatego też nie byłem w możności zdjąć diagram i podać Wielmożnym Panom rozchód paliwa...”

Po wstępnej eksploatacji statku, st. mechanika Byst-ryckiego zaczynają irytować zauważone usterki i nie-staranne wykończenie mechanizmów, toteż w następ-nych pismach wysyła postulaty pod adresem Zarządu Linii Gdynia Ameryka SA:

„Dnia 25 sierpnia 1942 roku. Raport. Nawiązując do telegramu, który wysłałem do Wielmożnych Panów w sprawie przebudowy komina głównego, upzejmie komu-nikuję co następuje: główny komin jest za niski. Dym i sadze dostają się do maszynowni oraz na całą tylną część statku. Windy rufowe, pokład jak i pomieszczenia załogowe niemożliwością jest utrzymać w należyтым po-rządku. Bardzo krótki komin zewnętrzny jest powodem przedostawania się popiołu i dymu do maszynowni przez skajlajty, zanieczyszczając całą maszynownię. Najwięcej popiołu dostaje się podczas czyszczenia palenisk. Popiół osiada na wszystkich częściach maszyny stwarzając nie-



S/s „Bałtyk”

bezpieczeństwo zatarcia się panewek... Krótki komin jest także powodem złej cyrkulacji powietrza w kotłowni, która jest bardzo mała. Temperatura w zonie tropikalnej dochodzi do 60 stopni C, palacze pracując w tak wysokiej temperaturze chorują i niejednokrotnie nie ma pełnej wachty w morzu. Poza tym muszę zakomunikować Wielmożnym Panom, że w obecnym czasie jest bardzo trudno dostać dobrych palaczy... Obserwując inne statki tej samej klasy co nasz zauważyłem, że mają one wyższe kominy. W Durbanie przedstawiciel Lloyd Surweyer oznajmił, że gdyby komin podwyższyć o pięć stóp uniknęłoby się kłopotów z dostawianiem się popiołu do maszynowni, zaś warunki pracy w kotłowni uległyby poprawie. Wysokość naszego komina byłaby dobra, gdyby kotły były opalane ropą... Uprzejmie proszę Wielmożnych Panów o rozpatrzenie tej kwestii i udzielenie mi odpowiedzi... Większa część palaczy chorowała przez postój, tak, że ledwie wystarczyło na wachty i do najkonieczniejszych robót. Pragnę Wielmożnym Panom zakomunikować, że smarownicy zgłosili pretensje do odszkodowania za zniszczone obuwie w oliwie i w wodzie podczas smarowania tunelu, gdzie nie ma płyt. Bogusz – 3 funty 15 szylingów, Kowalski – 2 funty 3 szylingi 5 pensów, Wiśniewski – 2 funty 5 szylingów. Smarownik Bogusz został zwolniony karnie, na jego miejsce został awansowany Sochal...”

W stercie szpargałów znaleźliśmy interesujący list z października 1945 roku zaadresowany do armatora:

„...W interesie firmy leży, aby statek do najbliższego dokowania został sprowadzony do Zjednoczonego Królestwa i aby w tym czasie zostały przeprowadzone gruntowne remonty kotłów ze zmianą na ropowe opalanie. W przeciwnym razie naprawy będą zawsze dorywcze i pociągną za sobą niepotrzebne wysokie koszty... W Calcutta została zmieniona cała załoga maszynowa hinduska. Proszę jeszcze raz o przysłanie dwóch Polaków na miejsce ślusarza i magazyniera, których miejsca nie zostały obsadzone. W tej sprawie rozmawiałem z Panem Cichoniem jeszcze w Cardiff... Hinduska załoga, jak już pisałem, nie nadaje się do pracy samodzielnej. Z załogą hinduską jest bardzo ciężko przeprowadzać najdrobniejsze bodaj remonty. A dla mechaników praca bez pomocy i bez zrozumienia jest po prostu niemożliwa do wykonania... Węgiel przyjęty w Calcutta jest bardzo marny. Zużycie wynosi około 45 ton na dobę, popiołu pozostawia około 50 kibli na wachcie...”

Dalsze pisma ponaglały i monitowały, a armator był głuchy na żądania i postulaty st. mechanika. Była

wojna, można to zrozumieć, nie było w Anglii własnej bazy technicznej.

Na szperaniu w szpargałach i studiowaniu starych maszynopisów upłynęło kilka dni, aż s/s „Bałtyk” dołókl się do redy Cassablanki. Tu, na kotwicy, zastał nas Sylwester. Nowy Rok 1973 i „malucha” powitaliśmy godnie. Na wiwat wystrzeliliśmy 31 salw honorowych z raketnicy. W drodze do kraju mijały nas i wyprzedzały statki różnych bander i typów. Nie sądziłszy, że napis „200 voyages” na burtach i kominie może wzbudzać ich zainteresowanie. Francuski komfortowy pasażer „Ville de Tour” aldisem przekazał nam pozdrowienia z okazji tego wspaniałego jubileuszu. Idący kontrkursem również stary empajer bandery greckiej nawiązał z nami rozmowę na UKF-ce. Okazało się, że kapitan siostrzanej jednostki zachował w pamięci naszego parowca jeszcze z czasów konwojów.

Liczba „200” okazała się nie tylko naszą prywatną sprawą; wytrawni marynarze, szanujący ceremoniał morski umieli docenić jej znaczenie i właściwie zrozumieć jej głęboką treść.

Nasz I mechanik Tadeusz Fabisiak na „Bałtyku” pływał także podczas wojny, czasem dzielił się swoimi wspomnieniami z tamtych lat. „...Statek nasz kursował w konwojach przeważnie między Nowym Jorkiem a Islandią, bo nie nadawał się na trasę do Murmańska. U wybrzeży Norwegii czaiły się stada hitlerowskich okrętów podwodnych. Obszary morskie kontrolowały samoloty Luftwaffe, a „Bałtyk” dymił niemiłosiernie. Przez to kopcenie mógł zdradzić obecność konwoju a ponadto miał małą szybkość, dlatego admiralicia brytyjska skierowała go na szlak w mniejszym stopniu penetrowany przez Kriegsmarine...”

Po wojnie kotły przerobiono na ropne opalanie i z tą chwilą upadła negatywna opinia o „Bałtyku”, który uchodził za najcięższy statek dla załogi maszynowej w całej polskiej flocie.

Przedostatni rejs eksploatacyjny dał się poważnie we znaki statkowi i załodze. Pech chciał, że przez całą podróż miotał nami nieprzychylny wiatr o sile 9-10 stopni w skali Beaufortha. W Cieśninie Galuta statek trudno było utrzymać na kursie, fale boczne z lewej burty zalewały nadbudówki a co większa przelewała się przez komin i pokład pelengowy. Wiatr spychał nas na



S/s „Bałtyk”. Członkowie załogi (od lewej): starszy marynarz Stanisław Zozula, asystent pokładowy Józef Piwoni, NN, II oficer Piotr Dymitr Wiszniewski

skaliste brzegi Tunezji. W mesie przebywało już kilku ludzi słabszych psychicznie z ubranymi pasami ratunkowymi na wszelki wypadek. Ale na szczęście udało się wykonać zwrot o 150° i statek ustawić dziobem do fali. Podobna sytuacja a może jeszcze bardziej dramatyczna miała miejsce po przejściu z Morza Egejskiego na Śródziemne. Na trawersie wyspy Rodos wzięliśmy kurs na Alexandrię. Silny wiatr spychał statek w kierunku południowo-wschodnim. Kiedy po dwóch dniach żeglugi okazało się, że jesteśmy mocno w lewo od kursu i nadal dryfujemy ku brzegom Izraela, zaszła konieczność sztormowania dziobem do wiatru. Ale tym razem zwrot nie wyszedł, statek nie był w stanie przejść linii wiatru. Dopiero gdy wiatr nieco zelżał, wówczas to wielokrotne próby dokonania zwrotu uwieńczone zostały sukcesem. Po załadunku w Aleksandrii statku cementem i wyjściu w morze mieliśmy znowu pogodę sztormową, znowu trzeszczały wręgi i poszycia. Po kilku dniach w drugim prawym balaście pojawił się nadmiar wody; w ciągu doby przybywało jej 80 ton.

Na Biskaju na domiar złego pękło poszycie lewej burty w czwartej ładowni. W Kanale La Manche rzuciliśmy kotwicę u brzegów Anglii w Zatoce Lyme Bay. Tam cementem zalepiliśmy prowizorycznie przeciek w czwartej ładowni, odrzuciliśmy od burty na środek ładowni około 1500 worków cementu i dalej w drogę. Szczęśliwie dowleliśmy się do Gdyni, gdzie stał się cud – woda przestała przybierać w drugim prawym balaście. Co się stało, może jakaś fuszerka z sondażem balastu?

Sprawa wyjaśniła się dopiero po zakończeniu wyładunku – do balastu zszedł cieśla Kazimierz Jeliński z marynarzem Józefem Marcinkiem. Kiedy w ciasnym i mrocznym balaście odnaleźli dziurę – oniemieli z wrażenia. W dziurze tkwił... węgorz, który swoim wrzecionowatym korpusem zatkał ją szczelnie. Marcinek próbował go wyjąć, bo węgorz wciąż jeszcze żył, ale niestety tak się zaklinował, że nie dał się ruszyć z miejsca. Nie było innej rady tylko drewnianym kołkiem wybić węgorza, by dziurę zatkać czymś trwalszym...

Człowiekiem o złotych rękach na „Bałtyku” był palacz Tadeusz Dyduch, który jako narzędzia pracy używał przeważnie palnika spawalniczego. Na starym i styranym statku umiejętność ta liczyła się na wagę złota. Oto na przykład przy wyładunku siarki w Salonikach w ładowniach i na pokładzie odnotowano większą ilość uszkodzeń sztauerskich. Należało to i owo zaspawać lub jeśli skrzywione – wyprostować na gorąco. Wyładowca uszkodzeń tych nie usunął, cała więc robota spadła na załogę, a głównie na mistrza autogenu...

Tadeusz Dyduch to stary matros, w jego karierze przydarzyły się różne rzeczy dobre i złe. Przed laty statek, na którym pływał po wyjściu z Alexandrii, stanął na redzie na kotwicy. Był upalny dzień, załoga opuściła trap i urządziła sobie zawody pływackie za burtą. I mechanik stojący przy trapie krzyknął do Dyducha: „Panie Tadku, podpłyn na rufę i obejrzyj śrubę...”. Dyduch sprawdził dokładnie śrubę, której dwa pióra wystawały nad wodą, bo statek był pod balastem. Nagle, co się dzieje?! Dyduch struchlał – śruba zaczęła się obracać: najpierw powoli a następnie coraz szybciej. Nie pomogło przeraźliwe wołanie o pomoc. Statek oddalał się w mgnieniu oka. Do brzegu mogło być około 20 mil. Pana Tadka ogarnęło przerażenie – wokoło pustka, nie widać ani statku, ani łodzi rybackiej, w wodzie drapieżników moc. Oszczędzał siły, leżał na powierzchni bez ruchu, w napięciu oczekiwał w każdej chwili ataku rekina, zwątpił całkowicie w ocalenie. Tymczasem na statku zorientowano się po 40 minutach, że brakuje Dyducha. Ogłoszono alarm „Człowiek za burtą!” i zawrócono w drogę powrotną. Cała ta mroząca w żyłach krew przygoda zakończyła się szczęśliwie, Dyducha całego, tylko mocno przerażonego, wyłowiono z wody...

Żałoga na „Bałtyku” była zgrana, rozumiała swego „staruszkę” i zawsze potrafiła wyprowadzić go z każdej opresji. Składała się z dobrych fachowców, tworząc zharmonizowany zespół koleżeński. Po pracy marynarze lubili się zabawić, a trzeba przyznać, że potrafili zawsze zorganizować kulturalną rozrywkę. Oto np. podczas ostatniego postoju w Salonikach wraz z kilkoma matrosami zawędrowałem do małej, skromnej jadłodajni przy ulicy Fidaju. Do naszego stolika podszedł natychmiast starszy, siwy pan i z uwagą przysłuchiwał się rozmowie – naradzaliśmy się co zamówić.

Za chwilę jego twarz przystrojona przystrzyżonym wąsem rozjaśniała i odezwał się po rosyjsku:

– Ja was trochę rozumiem, po jakiemu rozmawiacie?

– Po polsku, bo my Polacy...

– A ja Grek turecki urodzony i wychowany na Ukrainie.

W naszym towarzystwie był akurat jeden kolega, który także pochodził z Ukrainy i znał język rosyjski. Konsantin Kalusis – właściciel jadłodajni bardzo się ucieszył ze spotkania z ziomkiem. Przyniósł nam zaraz wino, smażonych kurczaków i powiedział:

– Jedzcie i pijcie chłopaki, później się policzymy.

Pan Kalusis oka nie spuszczał z naszego stolika, uzupełniał natychmiast najmniejsze uszczerbki w jedzeniu i winie, które w Grecji kupuje się na wagę. Recyna to nawet niegorsze wino, nie droższe od wody mineralnej!

Kiedy pierwszy głód został już zaspokojony, Konstantin dosiadł się do nas i zaproponował:

– Zaśpiewajcie teraz chłopaki, moi goście są bardzo ciekawi...

Hubert Kamiński, Idzi Rać (śpiewał w „Mazowszu”), Józio Piwoni, Stasio Szawaryjko i pozostali prze-rwali mu w połowie słowa. Rozpoczęliśmy chórem nasz repertuar, doskonale wyćwiczony w tym zespole podczas wielokrotnych spotkań towarzyskich na statku. Sala była nieduża, akustyczna a koledzy mieli głosy wyrobione, więc śpiew nasz zabrzmiał czysto i melodyjnie. Kalusis otworzył drzwi na ulicę – słowa polskich pieśni popłynęły echem po Salonikach. Knapka w krótkim czasie zapełniła się całkowicie, przed oknami utworzył się tłum słuchających „Pod żaglami Zawiszy”, „Rozszumiały się wierzby”, „Wróc Jasieńku”, „Czerwone maki” itp. Ludzie pytali Kalusisa, co to za zespół?

Po naszym występie Grecy z sąsiednich stolików rozpoczęli swój popis. Później wszyscy razem śpiewaliśmy polskie i greckie melodie. Kiedy już „artyści” byli dobrze zmęczeni, Kalusis zdjął ze ściany santuri, usiadł przy nas, oparł instrument o kolano i zaczął grać i śpiewać sprośne rosyjskie czastuszki... „Nie przejmujcie się chłopaki, słów tu i tak nikt nie rozumie, a najważniejsza melodia”...

Kalusis szarpał struny santuri i śpiewał zapamiętane z czasów swojej młodości melodie. Ponośli go temperament, grał coraz namiętniej, improwizował; miał wspaniałe ucho i bogaty repertuar. Muzykowanie przeniosło go w świat zaczarowanego dzieciństwa, zapomniał zupełnie o swoim interesie. Obsługą gości zajęła

się żona z synem. Macedończycy siedzący obok nas na dźwięk swojej rzewnej pieśni wychylili pośpiesznie po dwa kieliszki uzo i ruszyli żwawo do tańca pokrzykując „zabekiko”!

O północy Kałusis opamiętał się, my od nadmiaru zabawy byliśmy już także wykończeni...

Dnia 14 lipca 1973 roku s/s „Bałtyk” zakończył służbę pod biało-czerwoną banderą – został sprzedany na złom niemieckiemu armatorowi w Lubece. Statek ten odbył łącznie 204 podróże przewożąc ponad 2040 000 ton różnych ładunków i przebywając 2,5 miliona mil morskich. W roku 1945 odbył jako pierwszy polski statek handlowy podróż dookoła świata, przechodząc przez Kanał Panamski z ładunkiem wojennym dla wojska alianckiego walczącego z Japonią. O przeszłości „Bałtyku” wiemy stosunkowo niewiele. W publikacjach i artykułach z czasów wojny znaleźć można zaledwie kilka skąpych wzmianek. Życiorys jego jest zatem skromny, załozde upływał czas spokojnie, statek wychodził cało z oka cyklonu czy pirackiego nalotu. Karty jego istnienia zapisały pracowite dni. A przecież o to właśnie chodzi, aby statek miał jak najmniej dramatycznych sytuacji w swym życiorysie.

W istnieniu parowca „Bałtyk” dopatrzyć się można wielu symbolów, np. nazwa statku, 31 lat wierności biało-czerwonej banderze. Albo następujący fakt podczas ostatniej wojny: Polska Marynarka Handlowa otrzymała 5 statków typu „Empire”: „Bałtyk”, „Narwik”, „Białystok”, „Borysław”, „Tobruk” jako rekompensatę za poniesione straty w wojnie. Z piątki tej tylko „Bałtyk” najdłużej utrzymał się w eksploatacji.

Jak wielce wymowne nasuwają się skojarzenia, kiedy porównać początki i zmierzch istnienia statku – dziewicza podróż przypadła mu w najgorętszy i najdramatyczniejszy czas walki z faszyzmem, zaś ostatek rejsy prawie 32 lata później prowadziły również w strefę wojenną do Egiptu.

S/s „Bałtyk” służył zawsze stronie sprawiedliwej i pokojowej. Imię tego statku niech na zawsze pozostanie w rejestrze Polskiej Marynarki Handlowej i przekazywane będzie następcom...



Piotr Dymitr WISZNIEWSKI

Kresowianinem z dziada pradiada.

Urodzony na Wołyniu 4 grudnia 1931 roku.

Wczesne dzieciństwo spędził na ojcowskim chutorze.

Wojna zmusiła go do samodzielnego bytu na obszarze rozległej Ukrainy.

Jako czyścibut polerował saperki i oficerki żołnierzom Wehrmachtu podążającym masowo na Ostfront.

Jako chłopiec stajenny pracował w Soldatenheimie – gospodzie wojskowej nieopodal kwatery Hitlera w Winnicy. Kapitan James Cook, zanim został żeglarzem a potem słynnym odkrywcą – był także chłopcem stajennym.

Po opuszczeniu Kresów, gdzie poznał okrucieństwo straszliwej wojny, mając niespełna 16 lat wstąpił do Szkoły Jungów PCWM (Państwowego Centrum Wychowania Morskiego) w Gdyni. Od tej pory swój los związał z morzem.

Ukończył studia z zakresu shippingu.

Jest dyplomowanym kapitanem żeglugi wielkiej, inżynierem nawigacji i ekspertem Polskiej Izby Handlu Zagranicznego.

Pracował na 40 statkach pod banderami: RFN, Wielkiej Brytanii, Panamy, Cypru.

Piotr Dymitr Wiszniewski do chwili obecnej jest czynny zawodowo jako kapitan statku wozącego turystów na wyspę Bornholm.

„Weź do tobołka garść radości...” WIERSE ZBIGNIEWA MICHAŁSKIEGO

O JEDEN WERS ZA DALEKO

szukałem cię niecierpliwie
na ulicach Rzeszowa
słodką Ewo z samego dna pamięci

było mi całkiem obojętne
gdzie mieszkasz
w śpiewie ptaków czy w odgłosie
tętniącego miasta

mogłaś być przecież dla mnie
drogą która się nigdy nie skończy
aniołem co osłania swym skrzydłem
każdy ryzykowny krok

lecz byłaś jedynie kiepską ucieczką
przez resztę poniedziałku

najłatwiej czasem samemu zabrnąć
o jeden wers za daleko
potrącić zgoła przypadkową strunę

co wyda tajemniczy
i nieprzewidziany dźwięk



NA RIWIERZE SOBOTNIEJ NOCY

niełatwo zasypiać
gdy niewidzialne płomyki twoich dłoni
pełzają po całym moim ciele
zmysłach
wnikają głęboko pod skórę

serce
zaczyna tańczyć ognistego kankana
brylując pomiędzy obłokami zdumienia
i uniesienia

moje zmysły całe w skowronkach
nucą romantyczne melodie
jakby niewidzialny koncertmistrz
dyrygował symfonią ich oczarowania
pomiędzy pieszczotami

błądzą jak pijane
wśród skąpych odbłasków świata
na Riwierze sobotniej nocy

przez którą przebiega
nagle brzęczenie owada miłości



JEGO LAS

Pamięci Jerzego Harasymowicza

jego las przesiąkł płodnością
namaszczone słowem i przekleństwem
Bieszczadem pachniały strofy
pomiędzy najwyższymi szczytami poczęte

wszystkie ścieżki prowadziły na wyżyny
gdzie wciąż słyszeć worożychę
jak wędruje po połoninach
nad Otrytem błogosławi letnie niebo

jak śpi spełniony na przełęczy Wyżnej
ten co góry miał we krwi
pieścił każdy ich najmniejszy odgłos
odmieniany przez tysiąc przypadków

jego las tętni życiem
przesycony wonnościami tej ziemi
płonie w zachodzącym słońcu
zawieszonym gdzieś nad Sanem



kochanko z moich niecnych myśli
ze snów rzeźbionych nutą pożądania
co dotykają
serce intelekt zmysły i bógwieco

Elizabeth *femme fatale* porzucająca
i porzucana
Marilyn huśtawko dla zmysłów

kołysząca powabem
miód na ustach mężczyzn
w sercach wielu kobiet zawiść
Madonno
seksapilu mobilna wieszczko
Zuzanno
rafo koralowa tęsknoty
znaleziona przez przypadek
we mgłę pamięci

jesteś boginią
do której wracam codziennie
blisko twoich świętości
dandys bez wyboru

kręcę ruletą emocji
jak szalony



POZA POZĄ

Janowi Belcikowi

wszystko jest poza
i poza pozą nie ma nic
bo na początku była poza
dramatyzm zerwanego jabłka

poza pozie nierówna
jedna wiatrem podszyta
druga przywołuje wspomnienia

diabeł jak zwykle
tkwi w szczegółach
uwierzytelnia swoje dzieło
poprzez błazeńskie sztuczki

dobra poza bywa skarbem
by każdy dzień
miał własne nazwisko
każda noc
pachniała majem

poza pozą nie ma nic
tylko sny humorzaste czasem

błąkają się światem



SEN O ARKADII ZMYŚLONEJ

z zamyślenia i powiewów wyobraźni
utkałem dla nas niebo
dopóki krystalicznie czysty dzień
nie porwał resztek scenografii

leżeliśmy na złotym dywanie gwiazd
otuleni grubą kołdrą nocy
zapełnialiśmy zgłoskami czułości
nowe wersy snu

beztroscy jak dwa niewinne anioły
przenosiliśmy
wszystkie nasze codzienne sprawy
za siedem gór i mórz

tam gdzie czas
ma smak wyśmienitej czekolady
tam gdzie świat wciąż trąci majem
a każdy dzień usłany kwiatami

dopieszcza spokój naszych serc
ptaszęce kwilenie umysłów



PRZYŁĘK – MUŚNIĘCIE WIOSNY

Irenie Komanieckiej

wymykam się z miasta
po radość wiosny
po bardzo dawno niesłyszany
koncert symfoniczny lasu

wymykam się niepostrzeżenie
głęboko w pamięć
tam gdzie życie rozpoczęte
stawiało pierwsze kroki

by pieścić serce
odgłosem chłodnego deszczu
i dzwonów kościółka
poruszanych lekkim wiatrem

jeszcze głębiej
niż to kiedykolwiek robiłem

gdzie zawsze znajdę coś
co przywraca ład mego serca

daje radość
małą krztynę satysfakcji



CZERWCOWE *DIVERTIMENTO*

mrok zza firanki na balkonie
jak wyziębiona istota
próbuję schronić się pomiędzy murami

odkąd jedna z lamp nie świeci
a druga ledwie zipie
pojedynczymi przebłyskami wysyła
zawiły komunikat dla świata

każda noc tańczy kankana
wedle enigmatycznej choreografii
przesiła moje spojrzenie
dużą porcją darmowych emocji

trudniej położyć głowę
pod zmasowaną kanonadą światła
wypłynąć w rejs
ku nieodkrytym dotąd krainom

dośćgnąć tysiąc zórz
za siedmioma morzami

dotrzeć do portu poranka



MUZYCZNY DESANT

Mai i Andrzejowi Sikorowskim

muzyczny desant na rogatkach miasta
nieopodał pałacu Oborskich
uderza w ciepłe liryczne tony

hen za horyzont
sunie dźwięków kawalkada
burzy się krew
w niejednym złaknionym sercu

ach chwilo trwaj dziś
nieskończenie długo

unoś do nieba każdą bratnią duszę
niech gra muzyka póki wieczór młody

i noc pazurem powita nas z marszu
przybiegnie tkliwa
ku pałacowej gawiedzi
aby uronić łzę ze szczęśliwych oczu

muzyczny desant na rogatkach miasta
nieopodał pałacu Oborskich
zaczarowuje wieczór po krakowsku
odfruwa paralotnią mgły

tam gdzie nas nie ma



ROSYJSKA RULETKA

nie ma dla nas miejsca na ulicach
tylko śmierć za nami drepce
ukryta pod maską terrorysty-amatora
woła prosto z mostu Allah Akbar

i zostawia krwawy odcisk niewiernym
kilogramy bluźnierczego trotylu
zrzucając klątwę krnąbrnym
co usiłują żyć podług innej wiary

nie ma dla nas miejsca w kościołach
tylko nicość czeka na sługi Pana
zbrojna w maczetę ręka innowiercy
która nie zadrży przed świętością

i zostawia bolesny ślad człowiekowi
spragnionemu chwili wytchnienia
od krwiożerczych ideologii
fanatyzmu szamanów religijnych

odkąd diabeł gra z całym światem
w rosyjską ruletkę
zło chodzi nagie między ludźmi
już nie musi zakrywać twarzy



ANONS NIE W PEŁNI MATRYMONIALNY

nie szukam kobiety
aby wziąć ją na krótką smycz
poprowadzić jak swoją zdobycz
pokazywać światu myśliwskie trofeum
nie szukam sprzątaczk
służącej co spełni każdy mój kaprys
nie szukam bogini zajętej
ale wolnej od wszelkich nałogów
przesądów zabobonów bajd
nie szukam paniusi bez wad
nie szukam damy do towarzystwa
dla urządzania rautów
libido-podobnych
nie szukam babki uzależnionej
od mamony
nie szukam pracoholiczki
ani też nieporządnej dziewczki
może nawet grzeszyć urodą
nie szukam hrabianki
która otoczy się służbą
lecz pięknej duchem madonny
co odda pokłon mym myślom
przewleczonym przez ucho igielne



LIST DO STEDA

zostawiłeś nam lot trzmiela
wplątany w pijacki oddech nocy
gdy bardzo łatwo spada się na dno
trudno wybić trzonowy ząb ciemności

znaleźć własną ścieżkę wznoszenia
ten jedyny pośród wielu trakt
wokół którego mrok rzędzie od ręki
a niebiosu wymownie milczą

zostawiłeś nam pieśń nieskończoną
kręcąc dla siebie przesadny bicz
ze snów co dryfują jak obłoki
podczas niepojętych porywów serca

cóż nieszczęśni poczniemy bez ciebie
i błysku twojej elokwencji

nikt nie zdoła nas już poruszyć
nową kropką nad ypsylonem



GDYBANIE

a może by tak pójść
na całość w tan
rozkołysać się niczym bąk
wirować dopóki starczy energii

umykać wszelkim złym emocjom
sprzątać z drogi okruchy ciemności
pokazać swoje drugie imię
epos postaci nieposkromionej

wbrew sobie nie kapitulować
lecz sprytnie sparować każdy cios
gdy siła złego zmusza nas
do rewizji życiowych planów

i niestrudzenie dnie okrążać
pomimo że nielekko dalej brnąć
w śmiech hien przyczajonych

które dybią tylko
żeby rozszarpać uległą padlinę



PRZEDJESIENNA BUKOLIKA

wieczór z wprawą magika rozsypał ciszę
w przepastnych płucach świata
wśród rozstajów i pejzaży zaokiennych
Morfeusz nawiedzony płąsa na palcach

zmęczony czas usypia nie pytając
o czym opowiadają spadające gwiazdy
których światło
pokrywa ciemność urokliwą patyną

wczorajsze rozterki zawstyżone
wyszły znienacka trzaskając drzwiami
płyciutka noc śpiewa bluesa
zapełnia sen świata wyrazistą fabułą

bezsensowność niczym naga gołąbeczka
grucha przed moimi oczyma

myśli bezwstydnica
że chwyciła skutecznie wołu za rogi

gdy tymczasem to tylko zając



SŁOWIAŃSKIE POEZJOWANIE

*Gościom Festiwalu Poezji
Słowiańskiej w Mielcu*

poeci z różnych krajów kultur
i języków
potrącają najczulsze z czułych
struny liryki
pod batutą Aleksandra Nawrockiego
odczarowują sny
przed mielecką publicznością

płynie poezja co nie zna granic
niosą się w dal jak po sznurku
odgłosy ekstazy
okraszone słowiańską nutą
muskają subtelnie zapachem egzotyki
wyobraźnię widzów
tańczącą skoczego kankana
pomiędzy eksplozjami rześzystych oklasków
a jesienną szarugą

zaprzyjaźnieni literaci na scenie słowa
dają swoje popisowe show



BUKOLIKA Z WYCIĘTEGO LASU

w każdym spróchniałym drewnie
są odgłosy lasu
wyczelowane takty jego melodii
rodem nie z tej ziemi

nanizane na nitki perfekcji
oddają wiernie zasłyszane dźwięki
które można słuchać bez końca
jak najpiękniejsze perełki

gdy snują się myśli podobne
dziesiątkom pierzastych obłoków
sunących po niebie
ponad milczącą taflą wody

w każdym spróchniałym drewnie
jest szelest igliwia i rozmowy liści
a bawoły z wyciętego lasu
znowu traktują resztę sielskiej iluzji

sprowadzają mit długowieczności
do parteru



BLUES DLA WĘDROWCA

kiedy szczęście
zacznie się na ciebie boczyć
powiesz być może ostatnie słowo
bądź zawsze sobą i tylko sobą

gdy smutek
zacznie zaglądać w twe oczy
szukać cichego portu dla siebie
po męsku odmów mu gościny

weź do tobołka garść radości
podążaj pewnie znajomą drogą
swe serce nieskalane ponieś
aż przed oblicze Pana

powie ci wtedy zapewne Bóg
bacząc ile dobrych czynów za tobą
w życiu szczęście ważne jest
lecz ważniejsze być zawsze sobą



PRÓBA LAUDACJI

Jarosławowi Jaśnikowskiemu

bardzo trudno opisać krzyk
przerażonych myśli
ze wszystkich stron obłożonych
przez szwadrony trwogi

najtrudniej pisać własną legendę
co przetrwa każde ciężkie czasy
zmieni bieg historii
stosownie do swoich założeń

uśpi czujność tyranów
biegle władających nowomową
przekroczy kordony
by zdobyć niedostępny szczyt

z wysokiego pułapu sensu
pofrunie lekko w dal
jak jaskółka przeniesie iskrę
od której rozgorzeje płomień



GAME IS OVER

strawiłem nareszcie
kilka stron niewątpliwych dyrdymałów
wierszoklety od siedmiu boleści
który nie zdążył dorosnąć

błyskawicznie wyrzucam je z siebie
poza granice umysłu
bez sztuczek wymazuję z pamięci
resztki dyletanckiej kolekcji

gra skończona
pomiędzy uzębieniem niszczarki
znikają ostatnie ślady
topornego ilorazu inteligencji

już tylko pustka głucho pojękuje
w jego miejscu
śmieciowy *dance macabre*
przynosi zbawienną ulgę



Zbigniew MICHALSKI

Urodzony 11 września 1952 r. w Mielcu.

Poeta, aforysta, redaktor pism literackich i animator kulturalny.

Absolwent Liceum Ogólnokształcącego im. Janka Bytnara w Kolbuszowej.

Zadebiutował tomikiem *„Na pięciolinii życia”* w 2004 roku.

Laureat konkursów poetyckich, a także na fraszkę i aforyzm.

Założyciel i prezes działającej od 2006 roku Grupy Literackiej „Słowo” przy TMZM im. Wł. Szafera w Mielcu. Redaktor almanachów jej twórców *„Z podróży na wyspy słowa”* (2007 r.), *„W rytmie słowa”* (2009 r.) i *„Zanurzeni w słowie”* (2011 r.).

W 2008 roku wydał tomik *„Zakręty”*, w 2009 *„Jeszcze”* i drugie wydanie tomiku *„Na pięciolinii życia”*. W roku 2010 wydał tomik *„Schody”*, w roku 2011 współredagował *„W dal-szej i bliższej perspektywie”* (*„So fern wie nah”*). W roku 2016 wydał tomik *„Na przekór gwiazdom”*.

W latach 2012–2016 redagował *„Artefakty”* – Mielecki Rocznik Literacki.

Opublikował wiele artykułów w czasopi-smach literackich.

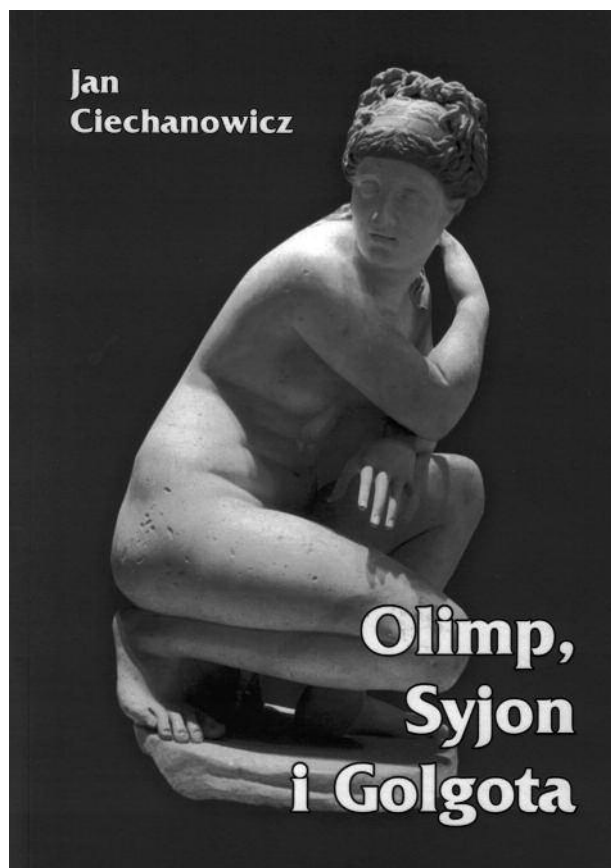
Odznaczony odznaką „Zasłużony dla Kul-tury Polskiej” (2009 r.) i „Brązowym Krzyżem Zasługi” (2014 r.). Nagrodzony Nagrodą Za-rządu Województwa Podkarpackiego (2016 r.).

„Poezja to więcej niż jedno ziarenko sensu, otulone dyskretną mgiełką metafory.”

Zbigniew Michalski

NOWE PUBLIKACJE Z ZAKRESU HISTORII KULTURY

Ukazało się drugie, a krajowe pierwsze, wydanie książki Jana Ciechanowicza pt. *„Olimp, Syjon i Głgota. Hellenizm, judaizm i chrystianizm w filozofii Tadeusza Zielińskiego oraz innych myślicieli Europy”* (300 s.). Jak wiadomo, T. Zieliński (1859–1944) to jeden z najwybitniejszych uczonych europejskich XX wieku, filozof, profesor filologii klasycznej na uniwersytetach polskich, niemieckich i rosyjskich, poliglota, autor m.in. fundamentalnego, aczkolwiek „kontrowersyjnego”, ponieważ obalającego pseudonaukowe zabobony, i dlatego ostentacyjnie w Polsce przemilczanego dzieła *„Hellenizm a judaizm”*, w którym dowiódł, że chrześcijaństwo jako światopogląd wywodzi się z tradycji greckiej, a nie żydowskiej. W Rosji i Niemczech zrealizowano wydanie pełnego zbioru dzieł tego wielkiego Polaka. W Polsce wiedza o dorobku twórczym tego geniusza jest znikoma. Książka Jana Ciechanowicza przełamuje tę blokadę informacyjną i ukazuje w całym blasku potęgę i głębię idei Tadeusza Zielińskiego, konfrontując jego idee z poglądami m.in. Maxa Schelera, Fryderyka Nietzschego, Teodora Dostojewskiego, Emanuela Levinasa, Bede Griffithsa. Interesująca lektura dla osób myślących.



Jan Ciechanowicz w swej książce pisze m.in.: *„Platon uważał demokrację za psychologiczny nonsens, na skutek którego masy ciemnych głupców są dopuszczane do decydowania o losach państwa, podczas gdy decydować o nich powinni tylko ludzie najlepsi – mędrcy i kapłani, których wolę przekazują w dół urzędnicy. W odpowiednim fragmencie „Praw” Platon pisał: «Naczelna zasada głosi, że każdy obywatel, czy to mężczyzna, czy kobieta, podlegać ma przydzielonemu mu urzędnikowi, oraz że nikt, czy to w dobrej wierze, czy w żartach, nie odważy się wziąć odpowiedzialności za swoje czyny we własne ręce.»”*

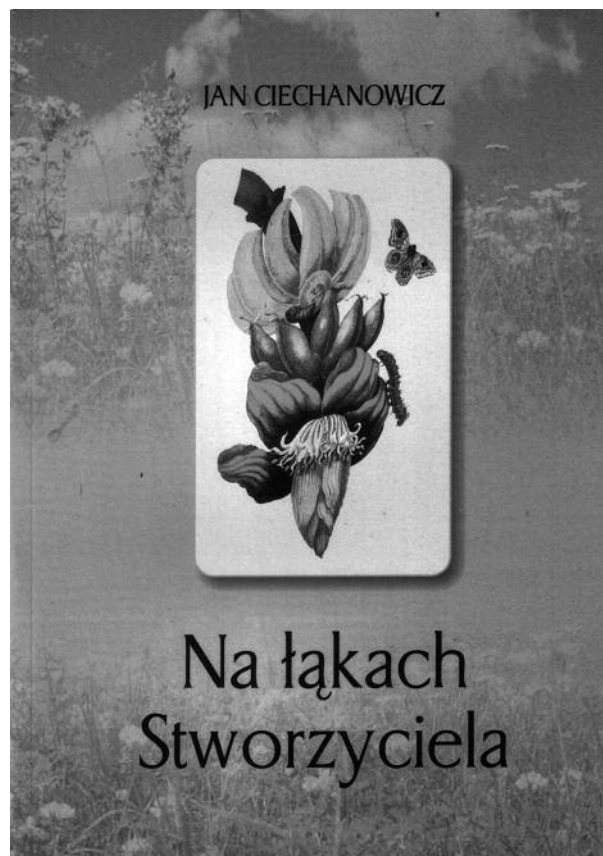
„Zdobywca Azji. Mikołaj Przewalski” (268 s.) to drugie wydanie, a krajowe pierwsze, jedyne jak dotychczas, opartej na trudno dostępnych materiałach archiwalnych z kilku krajów, polskiej biografii wielkiego podróżnika, generała Cesarstwa Rosyjskiego Mikołaja Przewalskiego (1839–1888), polskiego szlachcica herbu Łuk Napięty. W swoim czasie wiele pisano o tym, że ten znakomity uczony był ojcem Józefa Stalina, a dziadkiem Saddama Husajna – Jan Ciechanowicz analizuje także tę teorię. Ale przede wszystkim ukazuje korzenie, prace, dorobek naukowy tego jednego z największych badaczy przyrody, którego imię jest znane całemu światu, a w Rosji od ponad 150 lat panuje jego kult. Jest to jedna z szeregu książek tego autora, ukazujących imponujący dorobek kulturotwórczy Polaków poza granicami Ojczyzny.

W tym tekście autor m.in. zaznacza: *„Nikt nie potrafi zgłębić owego ogromnego ładunku zła i głupoty, który często tkwi w ludziach, zmuszając ich do zapamiętałego oczerniania siebie nawzajem, a szczególnie ludzi dużego formatu, którzy i po śmierci są narażeni na docinki i ciosy rozmaitej maści półgłówek i zawistników. Jak ktoś nie potrafi dokonać czegoś dobrego, tym bardziej wysila się w czynieniu zła. A im jest głupszy, tym bardziej w złem wynalazczy. Doświadczył tego w sto lat po swym zgonie i bohater naszej książki. Osobnicy nastawieni na przezwyciężanie przeszkód posiadają z reguły takie cechy, jak dynamizm, energia, odwaga, przedsiębiorczość, pewność siebie, pracowitość, ambicja, otwartość i zdecydowanie graniczące z bezwzględnością. Często obok tych właściwości występują również napastliwość, kłótniowość, zarozumiałość, intelektualna agresywność i etyczna nietolerancja, które to cechy znakomicie utrudniają współżycie otoczenia z ich nosicielami, o czym łatwo się przekonać zapoznaw-*

szy się ze wspomnieniami o tej czy innej wybitnej jednostce jej pospolitych znajomych.”.

„*Na łąkach Stworzyciela. Ludzie wielkiej nauki*” (240 s.) – tak nazwał Jan Ciechanowicz swoją najnowszą książkę, ukazującą imponujące osiągnięcia naukowe badaczy przyrody polskiego pochodzenia w takich krajach, jak Francja, Rosja, Indonezja, Ukraina, Litwa, Peru, Białoruś i in. Tym razem autor sięgnął po materiały dotyczące botaniki, entomologii, ichtiologii, ornitologii, mikrobiologii, ekologii, zoopsychologii, etologii, a także filozofii przyrody. Książka zawiera interesujące rozważania z pogranicza przyrodoznawstwa, filozofii i... metafizyki.

We wstępie do tej książki, którą autor zaopatrzył w motto z tekstów Ojca Świętego Franciszka „*Świat to coś więcej niż problem do rozwiązania, jest radosną tajemnicą, którą podziwiamy w zachwycie, oddając chwałę Bogu*”, czytamy: „*Już w bardzo odległych czasach celowość i harmonia, wszechobecne i bez trudu rozpoznawalne w zjawiskach i procesach naturalnych, fascynowały i przyciągały ku sobie uwagę najtęższych umysłów filozoficznych, naukowych, jak i „prostych”. Z faktu powszechnej logiki i niezgłębionej mądrości przeświecającej z praw natury mędrcy egipscy i chińscy, greccy i rzymscy, indyjscy i żydowscy wyciągali wniosek, że za tym pięknym i wzniosłym dziełem,*



jakim jest przyroda, musi stać jakiś Mistrz, jakaś olbrzymia Mądrość i Moc Duchowa, która to wszystko w tak przemyślny sposób skonstruowała i przez miliardy lat utrzymuje w stanie Ładu (Kosmosu). Wiele rzeczy na ziemi dowodzi, że – jak czytamy w «Księdze Mądrości Salomona» (1, 7) – «duch Pański nappełnił sobą okrąg ziemski»...».

Warto też zasygnalizować, że ostatnio wydrukowano w Warszawie również zbiorek aforyzmów Jana Ciechanowicza pt. „*Reminiscencje. Aforyzmy*” (120 s.). Przedtem ta strona jego twórczości była znana czytelnikom w Litwie i Niemczech, obecnie także czytelnik polski może się z nią zapoznać.

Zacytujmy niektóre ze złotych myśli pochodzących ze wspomnianej książki:

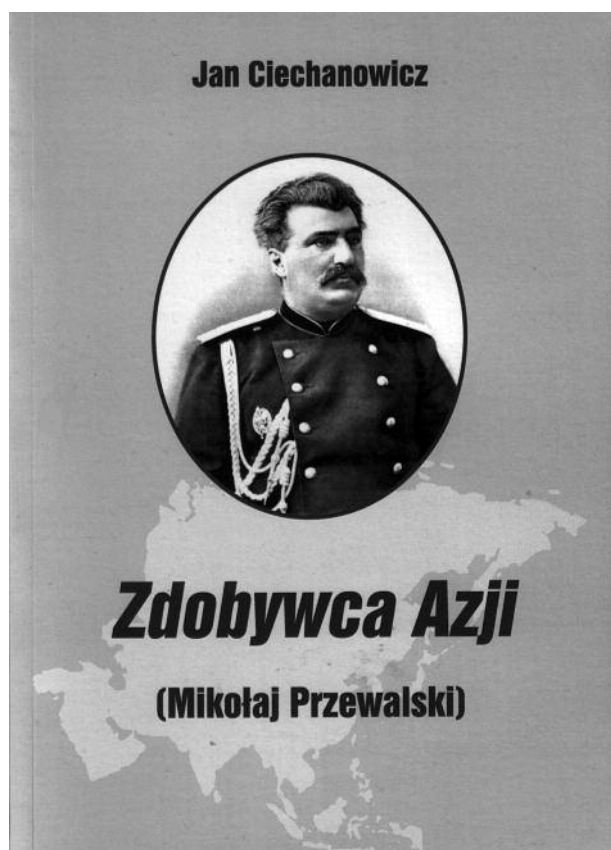
- *I zwątpienie ma swoich entuzjastów.*
- *Słabości nasze są bardzo silne, a siła bardzo słaba.*
- *Głupcy nie podziwiają nikogo prócz samych siebie.*
- *Szybkość ciemnoty jest większa niż szybkość światła.*
- *Z małych słabości wyrastają wielkie grzechy.*
- *Na manię wielkości najczęściej zapadają karzełki.*

DJ

Kontakt z Autorem:

Tel.: +48 608 531 266

Mail: ciechanowicz.jan@gmail.com



MĘDRCY

Pokryta tu i ówdzie skarłatymi krzewami pustynia sięgała po horyzont i wydawała się nie mieć granic. Przesypujący się niczym popiół piasek przestawał parzyć, a skały rzucały dłuższe cienie. Rozkulbaczone wielbłądy i dromadery majestatycznie wpatrywały się w dal lub szukały pożywienia. Pospieszenie rozbijali obóz, dwojąc się i trojąc, żeby zdążyć przed zapadnięciem ciemności. Wzorzyste namioty lśniły, a obok nich leżały okazałe juki z towarami. Trzej magowie wypooczywali, schronieni pod rozwieszoną na bambusowych prętach purpurową materią. Byli zadumani i myślami nieobecni. Kasper gładził pokrytą siwizną długą brodę. Baltazar mamrotał słowa dziwnej modlitwy, niezrozumiałej i brzmiącej obco dla sług. Melchior zdawał się na siedząco zasypiać. Mędrcy pochodzili z daleka, może nawet z Mezopotamii i zajęty wielbłądami Ereby zerkał co rusz w ich stronę z mieszaniną lęku i ciekawości, gotowy podbiec, gdyby czegoś potrzebowali. Ich największym skarbem był pieczołowicie przechowywany pożółkły papirus, zawierający prorocstwo o wielkim królu. Jego treść znali prawie na pamięć, odczytywali zwój i recytowali, pokrzepiając się zawartym w nim

przesłaniem. Wędrowali w kierunku, który pokazywała gwiazda od niedawna widoczna na nocnym niebie. Tajemne orędzie do niej się bowiem odwoływało.

Ereby dobrze pamiętał ostatnie tygodnie. Gwiazda z ciągnącym się za nią złotym ogonem pojawiła się bez zapowiedzi, nieomal z dnia na dzień, wywołując popłoch i budząc grozę. Plotkowano o niej z przejęciem na targowiskach i przyświątynnych placach oraz w domowych zaciszach. Szeptano o niej z trwogą, nie wiedziano bowiem, co zwiastuje i jak wpłynie na losy ludzkie. Miała większą moc niż inne gwiazdy, o których uczyli egipscy i syryjscy astrologowie, bo przewyższała je jasnością, zatem nie można było jej lekceważyć.

Obóz był rozbity i rozpoczęła się spokojniejsza krzątania. Stopniowo i ona ustawała, a wymęczeni wędrowcy zapadli w bezruch. Płonęły skąpe ogniska. Kolejna noc otulała ciemnością ziemię. Znużony Ereby wsunął się pod miękkie skóry i wpatrzył się w rozgwieżdżony firmament. Ogrom nieba zawsze go zachwycał i upajał się jego widokiem. Wierzył, że w górze przebywali wpływowi bogowie, niekiedy zstępujący na



ziemię, by pouczać śmiertelnych. W Aramie czczono Zeusa i Baala, ale byli też tam znani inni włodarze niebios, oddani bądź to siłom dobra, bądź to potędze zła.

Utkwiło mu mocno w pamięci tamto późne popołudnie, służył wtedy u kupca Joachima, kiedy ci trzej zatrzymali się na nocleg. Sprytnie ukryty za stertami zrolowanych barwnych tkanin, z duszą na ramieniu nadstawiał ucha, przysłuchując się królewsko odzianym przybyszom. Ci objaśniali Joachimowi treść pożółkłego papirusu. Opowiadali o tym, że Bóg bogów, Pan wszystkich stworzeń, lądów i mórz, ma zamiar zesłać na ziemię swego Syna. Mimo iż zdobywali w młodości tajemną wiedzę w Egipcie, nie utożsamiali Najwyższego z żadnym bogiem z państwa nad Nilem.

Wstrzymując oddech, łowił uchem dziwy, z którymi wcześniej nigdy się nie zetknął. Magowie ze Wschodu wyruszyli w drogę, chcąc dotrzeć tam, gdzie miał przyjść na świat Syn Boży, aby oddać Mu pokłon. Wędrowali, idąc za tajemną gwiazdą. Wieźli cenne podarki ze złota i brązu, ze srebra i szlachetnych kamieni, kadzidło, mirrę, ozdoby, kosztowne pachnidła i delikatne płótna. Chcieli uczcić Króla, który miał się pojawić w postaci nowo narodzonego dziecięcia. Chłopakowi z wrażenia serce biło tak mocno, iż obawiał się, że jego łomot zdradzi go przed tamtymi. Może nie powinien był ich podsłuchiwać i mieszać się do nie swoich spraw?

Ich słowa zapadły mu w pamięć i nie dawały mu spokoju. Od dawna skrycie marzył o niecodziennej wyprawie do nieznanych krain. Chciał zakosztować niezwykłych przygód, jak niemal każdy młokos w jego wieku. Bywało, że wybiegał z innymi wyróstkami za kute bramy miasta, by chłonać wzrokiem bezbrzeżną dal i witać lub żegnać karawany. Nie przespał owej nocy, przewracając się na posłaniu i rozpaczliwie bijąc się z myślami, a po wschodzie słońca odważył się i przypadł do stóp jednemu z przybyszy. Kasper z zastanowieniem uśmiechał się pod nosem, chwilę szarpał siwą brodę, a wreszcie pozwolił mu zabrać się z nimi. Szukał poganiacza wielbłądów i zapłacił Joachimowi za to, by ten zgodnie z prawem uwolnił młokosa. Erebowi nie trzeba było niczego więcej do szczęścia. Opuścił miasto bez żalu, z werwą poganiając zwierzęta i nie oglądając się za siebie. Nie miał ojca ani matki, nikogo, kto by go kochał, bowiem kapryśny los poskapił mu prawdziwego dzieciństwa. Zagrzebał się teraz w skóry, wiedząc, że pod rozgwieżdżonym pustynnym niebem może czuć się bezpieczny. Tu nikt sobie z niego nie

kpił, nie łypał na niego złym okiem, ani nie nakładał na niego obowiązków ponad miarę.

Gwiazdy zawirowały. Uciął obóz, czuwały tylko straż, a chłopakowi jak na komendę opadły powieki. Od czasu do czasu parskały juczne zwierzęta. Przygasały ogniska. Równy oddychał przez sen, zaś jego smagłą twarz rozjaśniał bezwiedny uśmiech, bowiem odkąd wyruszył w drogę, nie trapiły go nocne zmyry. Opuściło go poczucie osamotnienia. Ciągająca się za gwiazdą złota smuga przemieniała się w jego marzeniach sennych w gruby kobiecy warkocz. W nocnej scenerii powracała do niego młoda niewiasta o ujmującej twarzy. Ta serdecznie tuliła go do siebie jak ukochanego syna. Pieściła jego kędziory niby rodzona matka, szepcząc mu czule do ucha, że go miłuje.

Po dniach forsownego marszu utrudzeni wędrowcy pokonali szeroką rzekę, minęli Morze Słone i dotarli do pagórzystej Judei. Na drogach nie brakowało podróźnych z tobołami i kijami w rękach. Głównym tematem rozmów był spis ludności, zarządzony przez imperatora. Jedni podążali do miejsc urodzenia, inni wracali do opuszczonych miasteczek i wiosek, ciągnąc w stronę Galilei. Sarkano i szemrano, gardząc władcą Rzymu, który licząc dwanaście pokoleń Izraela, przywłaszczał sobie prerogatywy, należne Bogu. Jedynie Elohim, jak tu wierzano, miał prawo do swego ludu.

Mimo oporów spis się odbywał, choć nie bez pomocy wojska. Oddziały krążyły po drogach, gotowe zdusić każdą oznakę buntu, a Erebowi z otwartymi z przejęcia ustami gapił się na jezdnych, na zdobione czerwienią lśniącej hełmy, na naramienniki, na tarcze, włócznie i krótkie miecze. Przyglądał się jasnym czuprynom żołnierzy i ich mocno zbudowanym koniom o szerokich zadach. Przysłuchiwał się z zaciekawieniem twardo brzmiącej mowie.

Szeroko rozpościerająca się stolica Judy olśniła chłopaka. Znacząca się tu potęga zdawała się nie mieć sobie równych. Erebowi buszował po placach i targowiskach. Podziwiał zbudowaną z kremowo zabarwionych kamieni świątynię. Dotarł do zewnętrznego dziedzińca, na którym handlowano zwierzętami ofiarnymi i wymieniano pieniądze. Gwiazda znikła, zaś mędrcy zatrzymali się w dużej gospodzie. Szukali Króla Królów, wypytując urzędników i uczonych – i pewnego wieczora podeszły w latach Herod, władający Idumeą, Judeą, Samarią, Galileą i innymi krainami, zainteresował się nimi, przysyłając potajemnie sługę. Udali się do jego ogromnego

pałacu na zachodzie miasta. Tu przekonali się, że pozostałki papirus mówił prawdę.

Święte księgi Izraela przewidywały nadejście Mesjasza. Wzmiankowały Betlejem w Judzie – i magowie udali się bezzwłocznie w stronę tej niewielkiej miejscowości. Ereb poganiał wielbłądy, ochoczo pokrzykując. Czuł się kimś ważnym, bo tylko on, wraz z innym sługą, towarzyszył mędrcom, którzy pozostawili w Jeruzolimie swój dobytek, ludzi i zwierzęta. Pośpiech był uzasadniony. Kasper wyczuł bowiem fałsz w głosie Heroda. Władca nie považał świętych ksiąg i nie wierzył w to, co zapowiadały. A mimo to przeląkł się Króla Królów, któremu pragnęli oddać pokłon i dla którego pokonali tak długą drogę.

Zatrzymali się przed nieokazałą gospodą, a rzucona moneta rozwiązała język jej właścicielowi. Zaskakujące wieści rozchodziły się zwykle lotem błyskawicy. Wspominał o skromnych pasterzach z okolicznych wzgórz, o niezwykłym widzeniu aniołów i o dziecięciu, które się

narodziło. Wskazał im dom, w którym przebywali przybysze z Galilei.

Gwiazda rozbłysła z mocą, unaoczniając im, że dotarli do celu. Zdawała się im mówić o tym, o czym mogli słyszeć tylko nieliczni wybrani. Upadli na twarze i złożyli pokłon Niemowlęciu, kładąc przed Nim dary. Upadł na twarz i Ereb, przejęty do głębi tym, że tu się znalazł. A gdy podniósł wzrok, odkrył ze zdumieniem, że trzymająca w swych ramionach śpiące dziecko młodziutka kobieta ma oblicze z jego słodkich snów. Zaplecione w gruby warkocz ciemne włosy wydawały się rzucać złote błyski.

Maryja zachęcająco uśmiechnęła się do niego, widząc osłupienie w jego gapowatych oczach. A potem życzliwym gestem przywołała go do siebie, nakazując mu podnieść się, podejść i usiąść u swych stóp. Przemógł w sobie ostatnie opory i nie czekając na to, co powie Kasper, skwapliwie przysunął się do Jej kolan. Ogarnęło go raptem uczucie szczęścia. Poczuł się jak w rodzinnym domu i nieoczekiwanie zapragnął przy Niej pozostać.



KULIG

Zapowiadała się wystrzałowa zabawa, na którą od dawna wszyscy w klasie liczyli. Rzucony na lekcji wychowawczej pomysł był przebojowy i bez wahania pod nim się podpisali. Przerywał poświęconą nudę. Kto nie miałby ochoty na weekendowy kulig i figle na śniegu? Tym bardziej, że styczniowa aura zaczęła wreszcie sprzyjać. Po kilkudniowych roztopach kapryśna zima wróciła, pokazując surowe oblicze. Przestało chłupotać pod nogami. Nocą obficie sypnęło, zaś słupek rtęci utknął poniżej zera. W planie mieli sannę, dyskotekę i noleg w leśniczówce, potem śniadanie i powrót. Palce lizać! Z entuzjazmem zebrali się przed szkołą. Z hałasem podpięli do zaprzężonej bryki, walcząc o dogodne miejsca. Nikt nie chciał być na końcu, bo najbardziej rzucało. Ruszyli jak na skrzydłach, wiwatując. Migiem wyrwali się z miasteczka. Otaczała ich biel. Świeży puch pokrył pola i drogi, dachy domów i obejść, ogrody i sady. Drobne kryształki lodu skrzyły się w złotym słońcu na gałęziach drzew. Gdzieniedzie wyzierały spod śniegu zamrożone bruzdy, odsłonięte przez nagłe porywy nocnego wichru. Po dwu niedługich postojach znaleźli się w gęstym lesie, w którym królowały sosny, świerki, buki i jodły. Droga do leśniczówki była przetarta, ale nie zdążono posypać jej piaskiem. Bryka więc lekko sunęła, a posiwiały woźnica dziarsko pokrzykiwał na parsające kłaczki, postusznie pracę do przodu. Nie wypuszczał lejc z rąk. Dźwięczały dzwonki. Od czasu do czasu spozierał za siebie na sznur sanek, wijących się jak wąż jego śladem.

Kasia ciekawie wyglądała zza pleców Marka. Spod futrzanej czapki było widać tylko jej ciemne błyszczące oczy. Podniosła kołnierz półkożuszka. W zaróżowione policzki szczypał ją mróz, ale przejeżdża jazdą tego nie czuła. Chłopak zabrał ją na swoje sanki o szeroko rozstawionych płozach. Nie groziły im przewrotki. Wełniane rękawiczki przemokły dziewczynie, bowiem postoje dla rozprostowania kości prowokowały do dzikich harców. Solidne zimowe trzewiki wytrzymały. Obrzucali się gąłkami ze śniegu, gonili za sobą, ginąc w zaspach i nieomal tańczyli, znacząc za sobą głębokie ślady. Ulepili pokaźnego bałwana, nie mogąc potem z nim się rozstać i żegnając go z żalem. Osamotniony biedaczyna sterczał z boku drogi z nosem z długiej szyszki opuszczonym na kwintę. Nie miał nóg, więc nie mógł za nimi potruchtać, żeby zdążyć na kolację, choć żartem wołali, by się przyłączył.

Marek nie był tak uradowany jak Kasia. Skrycie liczył, że zabierze się z Dianą, ale ten diabeł w spodnicy zrezygnował z jego towarzystwa. Cwaniaczka wybrała duże sanie i poczesne miejsce obok woźnicy, zakopując się w wilczych skórach. Miała stamtąd lepszy widok na drogę i mijaną okolicę. Zawsze umiała się urządzać. Chwilami podnosiła się, obracała do tyłu i radośnie pokrzykiwała do kolegów, wymachując jak flagą zdjętym szalikiem.

Słońce było już nisko, gdy dojeżdżali do leśniczówki, a czerwieniejąca kula prawie dotykała szczytów sosen. Bordowe cinquecento wychowawcy stało przed wejściem. Furgonetka z ich bagażami była schowana za węglem, dwa kroki od drzwi kuchennych. Okazały drewniany dom z niedawno dobudowanym piętrem okalały strzeliste modrzewie. Budynek wyglądał imponująco. Próbowali jak psiarnia wdrzeć się z piskiem do przepastnej sieni, ale nauczyciel fizyki niby Rejtan stanął im na drodze, zasłaniając wejście swoim potężnym ciałem. Musieli najpierw zrzucić zaśnieżone obuwie. Wyfroterowane podłogi lśniły jak nowe, a w ogromnej sali na parterze czekał na nich posiłek. Stały dzbanki z gorącą herbatą, leżały talerze i tace z chlebem. W powietrzu unosiła się smakowita woń bigosu. Z kasetonowej powały lustrowały ich czerepy dzikich zwierząt, niedźwiedzi, dzików i wilków. Na piętrze były pokoje sypialne.

Marek zręcznie lawirował, licząc na to, że nadrobi zaległości. Cekał na sprzyjającą okazję. Marzył o tym, żeby klapnąć koło Diany i wreszcie mu się udało. Minę miał uradowaną, bo czuł, że złapał wiatr w żagle. Kątem oka widział, że Kasia błagalnie zezuje w jego stronę, a obok niej pozostało wolne miejsce jakby specjalnie dla niego, ale tym się nie przejmował. Z zapałem zajął się prześliczną sąsiadką, próbując wciągnąć ją w rozmowę. Raz i drugi trącił ją łokciem. Ta jednak dziwnie się nie kleiła, zaś złośnica wydawała się go nie dostrzegać. Rozpraszał jej uwagę. Nerwowo rozglądała się na wszystkie strony, słuchała dowcipów, padających z drugiego końca dębowego stołu, a jej koński ogon fruwał to w prawo, to w lewo. Wreszcie obrzuciła nagabującego ją chłopaka niechętnym spojrzeniem. W jej zielonych oczach zamigotały złe błyski. Zirytował boginię łowów, lasów, gór i księżycą.

– Zamknij się, wnerwiasz mnie – syknęła ze zniecierpliwieniem, strofując go jak brzdąca. – Musisz truć mi za uchem? Nie widzisz, że mnie to nie bawi?

Siedząca obok Jolka natychmiast ironicznie zachichotała. Przesadzała z makijażem i już sam widok tej puste dziewczyny go wkurzał.

– Ja? Przeszkadzam ci? Chyba żartujesz? – zaopiniował ze zdziwioną miną. Poczł się dotknięty. Nie cierpiał, jak ktoś wieszał na nim psy.

– Ciii... Jasne, że przeszkadzasz – prychnęła. – Nie kumas? Słucham, co gadają inni!

– Usiadłem koło ciebie, żeby...

– Kpisz sobie? Mam robić, co ty chcesz? – przerwała mu ze złością, idąc z nim na noże.

– A co? Ja nie jestem „inni”?

– Spadaj na drzewo, palancie! – syknęła jak żmija, z precyzją florecisty zadając mu cios.

Stracił rezon. Bigos nagle przestał mu smakować. Jolka nadal chichotała. Uwielbiała takie starcia słowne.

– Ta zniewaga krwi wymaga... – bezczelnie zarechotała. Zaraz jednak o nim zapomniała, obracając się w stronę dziewcząt.

Spuścił głowę, niemrawo grzebiąc widelcem w talerzu. „No, nie, przeholowała!” – obrażony zabulgotał do swoich myśli. Nie było wolno deptać jego uczuć. A tym bardziej w obecności osób trzecich.

Diana była ozdobą klasy, a chłopacy zabiegali o jej względy, ciągnąc za nią niby w dworskim orszaku. Jej modne ciuchy wywoływały cichą zazdrość koleżanek. Ostatnio faworyzowała Marka, wyróżniając go z grona

adoratorów i dając mu do zrozumienia, że tylko on naprawdę się liczy. Wysunął się prawie na czoło pędzącego peletonu, nie spodziewając się tego, że tuż przed metą nagle dojdzie do katastrofy. Totalna beznadzieja. Nie pojmował, co ją ugryzło. Nie zasługiwał na to, by traktować go jak zeszłoroczny śnieg.

Zarykiwała się do łez po ostatnim popisie słownym Bartka, ale Markowi nie było do śmiechu. Wreszcie porwała talerz i przeniosła się do tamtego towarzystwa. W rudzielcu obudziła się dusza kawalarza i sypał dowcipami jak z rękawa.

– Ty podła żmijo! – prychnął pod nosem, gdy już wstał od stołu. – Jeszcze ci pokażę. Będiesz błagać o zeszyt z matmy! Albo z polaka!

Przeżuwał w myślach obrazę. Czuł, że jej długo nie wybaczy. Był jedynakiem i nie znoził, gdy ktoś go lekceważył, poniżał i odtrącał.

Po kolacji Diana wyfrunęła na dwór i z wdziękiem goniła się z chłopakami. Pajacowała z Bartkiem i Grześkiem, wyczyniającymi harce pod jej dyktando. Szaleli, obrzucając się śnieżkami. Puszczony kantem i odpchnięty, zerknął za nią przez zamglone szybki w jadalni, nie mając ochoty na błazeńskie popisy. Wodził po szkle palcem, malując esy-floresy i ponuro dumając nad krwawą zemstą. Diana jego dziewczyną? Marzenie ściętej głowy! Rozczarowała go, a jego plany poszły w roz-





sypkę. Buty mu zresztą trochę przemokły i postawił je w dużej kuchni koło piekarnika, aby obeschły. Nie zadbał o to, żeby zabrać drugą parę na zmianę. Stracił też nadzieję na to, że przewidziana na wieczór potańcówka poprawi mu humor. Niebo stawało się powoli granatowe, a długie fioletowe cienie kładły się wokół leśniczówki.

Przygnębiony nie zauważył, że ktoś za nim stoi. Drgnął, słysząc ciche kasłanie.

– To ty, Kasiu? – ciekawie obejrzał się za siebie. – W tym hałasie nikogo nie słyszać.

Przyjęła milcząco jego usprawiedliwienie. W międzyczasie zdążyła się przebrać i przyzeglowała do niego w króciutkiej spódniczce i seksownym obcisłym sweterku w kolorowe pasy. Nie ta dziewczyna! W budzie nie pokazywała się w wystrzałowych ciuchach. Siedział w trzeciej ławce, Diana w pierwszej, a Kasia gdzieś z tyłu, więc rzadko miał ją przed oczyma.

– Wiesz co, Marku? – rzekła po chwili. – W naszym pokoiku na piętrze, w tym ostatnim po lewej w głębi korytarza, odbędzie się spotkanie modlitewne. Planujemy ewangeliczną rewizję życia. A może krąg biblijny. Nie miałbyś ochoty się przytelepać?

– Ja?! Czemu ja? – niewymownie się zdziwił. Nigdy nie wyjeżdżał na oazy wakacyjne, choć o nich słyszał. Nie pociągały go też działające w parafii grupy apostołskie ani służba liturgiczna. To nie było dla niego.

– Przytocz się, nie bądź frajerem – ciepło dodała. – Zobaczysz, nie pożałujesz. U nas jest całkiem fajnie. – Należała do świata, w którym ludzie nie lubili sobie deptać po odciskach. Zerknęła przez okno na dziedzińiec, gdzie rozhasana Diana nadal wodziła rej. – Póki co, na nic ciekawego tu się nie zanoszą.

Chcąc nie chcąc, musiał się z nią zgodzić.

– Dobrze – odpowiedział, choć z trudem mu to przeszło przez gardło. Odwrócił się od okna, powściągając wygórowane ambicje. Nie lubił piąć się po trupach do celu.

Gdy schodził po spotkaniu modlitewnym na dyskotekę, brzmiały mu jeszcze w uszach słowa z Listu św. Pawła do Koryntian: „*Czy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek innego czynicie, wszystko na chwałę Bożą czyńcie!*” Ogarnął go błogi spokój i zapomniał o tamtej egoistce oraz jej nieobliczalnych numerach. Tańczył z innymi dziewczętami, ciesząc się, że w ten sposób wielbi Stwórcę. Leśna bogini upomniała się jednak o swoją zdobycz. Podprowadziła Grzesia, z którym akurat kręciła się po parkiecie i staromodnym zwyczajem zarządziła odbijanego. Zręcznie wsunęła się w ramiona Marka.

– Ale z ciebie drań. Dlaczego za mną nie wybiegłeś? – surowo go skarciła.

– Gdzie? Kiedy? Po co? – zrobił wielkie oczy, udając, że nie wie, o co jej chodzi.

– No, po kolacji przed leśniczówką – kłapnęła.

– Tak?! – wykrzywił usta w podkówkę. – Miałem skakać koło ciebie jak idiota? – wycodził wykrętne, z lekceważeniem odwracając głowę.

– Co? – nie dosłyszała, bo podpłynęli w stronę trzęsącej się od dźwięków kolumny.

– Przemokły mi buty! – huknął jej przy uchu.

Gdy muzyka umilkła, chciał odturlać się pod ścianę, ale go nie puściła. Wyniosłe przytrzymała go za rękę, ściskając mu palce.

– Jeszcze ten kawałek – oznajmiła jak królowa, dziwiąc się, że nie ma ochoty na więcej.

Puszczono senną kołysankę i uwiesiła mu się na szyi, wyzywająco przywierając do niego rozgrzanym ciałem. Czy chciał, czy nie, musiał niby to tklawie objąć ją i przytulić. Nie poddał się jednak nastrojowi i kręcił się z nią ozięble jak z manekinem. Potrafił być uparty. Potem pchnął ją w stronę warującego w pobliżu Grzeska, odwracając się ze wzgardą plecami. Bez słowa odpłynął na drugi koniec sali do stołu z zakąskami i napojami. Zabawił tam około kwadransa, przypinając się do maleńkich kanapek z szynką, jajkiem i papryką. Sala taneczna mieściła się w piwnicach, ściany miała masywne, a wysoko ułożone okienka szczelne, z podwójnymi szybami, więc swą zabawą nie zakłócali spokoju lasu. Mogli szaleć do woli. Wreszcie udał się na górę. Obejrzał fragment filmu w telewizji i poszybował do swojego pokoju. Był zmęczony i zasnął jak kamień, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki.

Przyświecało słońce, trzymał lekki mróz, a powietrze było przejrzyste, więc wybrał się po śniadaniu na krótką przechadzkę. Diana nie pojawiła się w jadalni, pewnie odsypiała dyskotekę, która trwała do drugiej w nocy. Wyrosły przed nim stajnie. Przypominające nieco dorożkę postojowe sanie były kiedyś ozdobnie wykonane, jednak ząb czasu nadkruszył ich urodę. Tym niemniej nadal mogły wiernie służyć. Obchodząc je omal się nie zderzył z posiwiatym woźnicą, który akurat wyprowadzał ze stajni kłacz. Odwrócony plecami wieśniak w watowanej kufajce nie zwrócił na niego uwagi. Konie parskwały, przeczuwając, że czeka je jazda i wyciągały łby do owsa. Zagadywał do nich ciepło i serdecznie jak do starych wypróbowanych przyjaciół.

– Kocha je pan? – Marek odważył się i zapytał, chcąc jakoś usprawiedliwić swoją obecność.

Woźnica powoli się obejrzał. Wzrok miał przenikliwy, a spojrzenie głębokie. Wydawało się, że przewiercił chłopca na wylot.

– Jakżeby inaczej... – niespiesznie odparł. – Charakterne są.

Czuć było świeżymi końskimi odchodami.

– Nada je pan do nich jak na randce do dziewczyny... – roześmiał się, chcąc podtrzymać rozmowę. Nie bardzo wiedział, jak należy gawędzić ze starym. Urodził się przecież i wychował w mieście. Przypominał sobie, że nauczyciel wuefu zwracał się do niego per „Panie Józefie”.

Chłop się nie obraził. Jak się okazało, Marek trafił w dziesiątkę.

– One są jak kobity – potwierdził z najwyższą powagą. – I jedna, i druga! – Wyjął pozłacaną papierosnicę, otworzył ją, wyciągnął „klubowego” i zapalił. Nie częstował Marka. Dzieciakom się nie dawało. – Ta z prawej, z dłuższą grzywą – wskazał na kłacz, która cicho zarżała, jakby wiedząc, że o niej mowa – jest niepokojna, a bywa że narowista. Jej trzeba więcej serca. A ta z lewej – znowu wskazał – łagodna. O, tę można samą zostawić. Za wiele nie wymaga – ciągnął bez pośpiechu – ale lubi jak jest koło niej cicho...

Marek przytaknął, godząc się z wywoodem. Cóż zresztą innego mógł uczynić?

– Ta pierwsza jest ładniejsza – próbował rzucić kolejną trafną uwagę. Tym razem jednak chybił.

Stary zaciągnął się, zerkając na niego spode łba. Potem obrócił się do koni.

– Więcej jest warty charakter niżli uroda – powiedział z naciskiem. – Boć uroda przemija, a charakter zostaje...

Marek pochylił się i kopnął gałązkę sośniny. Pomyślał o Dianie i o Kasi, i nie wiadomo dlaczego wypłynął mu nagle na twarz rumieniec wstydu. Obejrzał się na plac przed leśniczówką. Pierwsza właśnie wybiegła, wymachując zielonym szalikiem niby znakiem rozpoznawczym. Nigdy nie traciła energii. Bez wahania wskoczyła na sanie, zajmując miejsce woźnicy. Próbowwała strzelić z bata. Ujrzała sterczącego w oddali chłopaka.

– Chodź! – krzyknęła do niego. – Jeszcze się zmieścisz.

Poczuł w sobie rosnący opór. Mimowolnie zacisnął pięści. Był przewrażliwiony na własnym punkcie i nie zamierzał tego zmieniać.

– Nie! – z jaśniepańską miną odkrzyknął, starając się, by to wypadło po męsku.

Postanowił zmyć się jej z oczu. Musiał się nauczyć słuchać głosu rozsądku. Włożył ręce do kieszeni i skreślił za zabudowania gospodarcze. Ktoś wspominał, że z tyłu są karmy dla saren. Dotarł przez gęsty śnieg do niewielkiej polanki i zaparło mu dech z wrażenia. Ujrzał jelenia i trzy dorodne łanie.

Nadszedł czas powrotu. Kiedy ruszyli z miejsca, krusząc śnieg i wiwatując, odwrócił głowę do siedzącej za nim Kasi.

– Wiesz, co?... – zawahał się. – Chętnie bym przyszedł jeszcze raz do was... na takie jak tu spotkanie. Z Pismem świętym – dodał, żeby nie miała wątpliwości.

Dziewczyna przytaknęła, nic nie mówiąc, a potem nagle objęła go w pół, przytulając się do jego pleców.



Skrzeń tajemnica,
Rozzłocień mus!
We mgle księżyc
Jarzy się mróz!

Okruchy śniegu
Siecią swych fal
Zasnuły w biegu
Bezbronną dal.

Zaprzepaszczone
W ciemni bez dróg –
Drzewom przez szrony
Złoci się – Bóg.

Bolesław Leśmian „Noc zimowa” (fragmenty)